Ramut:
Doktorant jako lider

Przybylski:
Habilitacja dla najlepszych?

Welfe i in.:
Komitety PAN – korpus ekspercki

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich **Nr 12/2025** PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)

Pieniądze dla nauki



Wróblewska:
Dekalog autora opisu wpływu

Komsta:
Nadchodzi „rozumnik”

Michalska:
Dźwięki z przeszłości

„**Forum Akademickie**” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

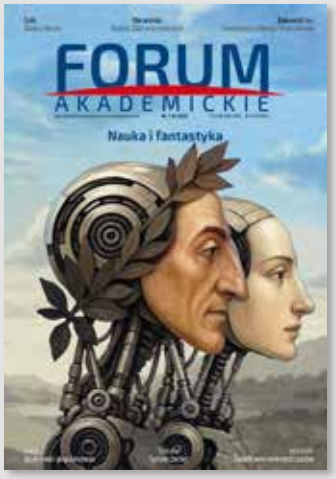
Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objaśniamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą. Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.

Do Czytelników spoza środowiska akademickiego kierujemy artykuły popularnonaukowe, zarówno zebrane w blokach tematycznych, jak i pojedyncze teksty pokazujące badania i dorobek polskich uczonych, również w kontekście historycznym.









Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2026

Szanowni Pa˜stwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2026 roku.
Roczna prenumerata wydania drukowanego (12 numerów w 11 zeszytach, w tym zeszyt ł˛czony 1-2) kosztuje **250 zł**; prenumerata numerów 1-6 kosztuje **118 zł**, a 7-12: **132 zł**.
Cena jednego egzemplarza wynosi **22 zł**. Cena zeszytu ł˛czonego (nr 1-2) wynosi **30 zł**.
Prenumerata wydania elektronicznego w roku 2026 (12 numerów w 11 zeszytach) kosztuje **165 zł**.

Redakcja



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia 2
Mapy ewaluacji
– *Krzysztof Kałamucki* 4
Retrakcje i ewaluacja
– *Piotr Stec* 5
Dwa rodzaje zagrożeń
– *Mariusz Karwowski* 6
RGNiSW w nowym składzie
– *Mariusz Karwowski* 7
Centralny System Oceny
– *Maciej Wnuk* 8
Habilitacja – potrzebna czy nie?
– *Marek Przybylski* 9
Mobilność hamuje rozwój kariery naukowej?
– *Mariusz Karwowski* 12
O potrzebie debaty
– *Robert Traba* 14
Najwyższa subwencja przekroczyła 1,5 mld zł
– *Piotr Kieraciński* 15
Gdy profesor zarabia więcej… 18
Subwencje 2020–2025 19
Medalowa zima 20
Nominacje profesorskie 31

ROZMOWA FORUM

Doktoranckie priorytety
– *rozmowa z mgr. inż. Rafałem Ramutem ze Szkoły Doktorskiej UP we Wrocławiu, przewodniczącym KRD* 22

KOMITETY PAN

Demokratyczna reprezentacja
– *Aleksander Welfe* 24
Woda wiele znaczy
– *Paweł Rowiński* 26
Dla konkurencyjności gospodarki
– *Sebastian Skoczypiec* 28
Humanistyka w działaniu
– *Paweł Próchniak* 30

ŻYCIE NAUKOWE

Musimy być szybcy i zrozumiali
– *Marta Wróblewska* 32
Akademicka eseistyka
– *Zbigniew Drozdowicz* 36

Z archiwum nieuczciwości naukowej (218)

Sprawiedliwość po toruńsku
– *Marek Wroński* 39

ŻYCIE AKADEMICKIE

Wyręczeni z myślenia
– *Łukasz Komsta* 45
Koszyńce i siatkańce
– *rozmowa z dr hab. Beatą Mak-Sobotą, prof. ASP we Wrocławiu, dziekanem Wydziału Ceramiki i Szkła* 49

Z LABORATORIÓW

Jesteśmy poznawczymi leniami
– *Monika Kuryło* 55
Czy służąca może słuchać muzyki?
– *Marta Michalska* 59

W STRONĘ HISTORII

Profesor Antoni Włodzimierz Wysokowicz (1854–1912)
– *Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało* 63

Portrety nauki polskiej

Ludoman na krańcu świata
– *Marcelina Smużewska* 68

OKOLICE NAUKI

Patroni 2025 roku

Silna i konsekwentna
– *Paulina Szymalak-Bugajska* 73

Książki

W głąb tunelu
– *Marek Misiak* 77
Szansa na odnowienie refleksji
– *Rafał Wierzchosławski* 77
Szlachetne zdrowie
– *Anna Jawor* 78
Entuzjastyczny polonista, czyli szkolny performer
– *Dariusz Rott* 78
Nieznośny ciężar męskości?
– *Jacek Hnidiuk* 79
Katharsis dzisiaj?
– *Bogdan Bernat* 79

FELIETON

Rozmowy o języku

Pułapki frazeologii
– *Krzysztof Goczyła* 80

Projekt okładki – *Sławomir Makal*

FORUM AKADEMICKIE **Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich** **Rok XXXII Nr 12 (385) Grudzień 2025**

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr. hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Akapit Intro Sp. z o.o.

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.

Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MNiSW Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki w ramach Programu Społeczna odpowiedzialność nauki II

Społeczna Odpowiedzialność Nauki II

Miliony na badania nad terapiami onkologicznymi

WROCŁAW W czwartym konkursie Wirtualnego Instytutu Badawczego najwyżej oceniono projekt PACMAN, zgłoszony przez konsorcjum jednostek naukowych z Wrocławia i Warszawy. Na jego realizację przeznaczono 72,8 mln zł ze środków Funduszu Polskiej Nauki. Liderem zespołu jest dr hab. inż. Marcin Poręba z Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej. Naukowcy będą pracować nad koniugatami, czyli specjalnymi połączeniami przeciwciał z lekiem (ADC), które – w przeciwieństwie do obecnych rozwiązań – nie muszą wnikać do komórek nowotworowych, żeby zadziałać. Zamiast tego będą aktywowane w mikrośrodowisku guza, dokładnie tam, gdzie znajdują się nadaktywne enzymy (metaloproteinazy MMP-2, MMP-9, MMP-14) typowe dla wielu nowotworów litych, takich jak rak trzustki, piersi czy czerniak. W praktyce oznacza to bardziej precyzyjne dostarczanie leków przeciwnowotworowych przy mniejszym ryzyku uszkodzenia zdrowych tkanek. Projekt zakłada również opracowanie narzędzi diagnostycznych do oceny aktywności MMP w materiale klinicznym oraz wykorzystanie algorytmów AI wspierających kwalifikację pacjentów do terapii. Dzięki temu możliwe będzie kompleksowe przedkliniczne zwalidowanie nowej strategii w kontekście terapii personalizowanej. Niezwykle ważną częścią projektu będzie stworzenie unikalnego w skali kraju biobanku. Znajdzie się w nim ponad 1000 próbek guzów litych oraz próbek krwi, wraz z pełnymi danymi klinicznymi. Badania potrwają 4,5 roku, a będzie je prowadzić 99 naukowców z: Politechniki Wrocławskiej, Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego PAN, Instytutu Chemii Fizycznej PAN, Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda PAN, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.



Fot. Łukasz Bera

Polskie akcenty w wirtualnym muzeum

GDAŃSK Dr hab. Aleksandra Rutkowska z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego znalazła się wśród blisko pięćdziesięciu kobiet z całego świata, których wkład w rozwój nauki przedstawiono na wystawie „Women in Science". Zorganizowało ją uruchomione właśnie Wirtualne Muzeum Nauki UNESCO. Wystawa, otwarta wirtualnie 15 grudnia, pokazuje dokonania badaczek na przestrzeni dziejów. Podzielono ją na trzy części obejmujące przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. W pierwszej (The Past – Foundations in the Shadows) zaprezentowano 12 bohaterek, które położyły fundamenty nauki i z podziwu godną wytrwałością wnosiły swój wkład w kształtowanie ludzkiego rozumienia świata. To m.in. Maria Skłodowska-Curie. W kolejnej sekcji (The Present – Redefining Frontiers) znalazło się 19 kobiet, które współcześnie poszerzają granice wiedzy i otwierają nowe ścieżki dla następczyń. Trzecia sekcja (The Future – Inspiring Generations) podkreśla znaczenie inkluzywności i widoczności, stanowiąc zachętę dla każdej dziewczyny, by zobaczyła siebie w nauce i przekształciła płynącą stąd inspirację w innowacyjne pomysły. Tutaj w gronie 15 kobiet znalazła się dr hab. Aleksandra Rutkowska z Zakładu Anatomii i Neurobiologii GUMed. W centrum jej zainteresowań naukowych znajdują się mechanizmy powstawania chorób ośrodkowego układu nerwowego wywołanych infekcjami wirusowymi. Przed dwoma laty zdobyła stypendium L'Oréal-UNESCO Dla Kobiet i Nauki za opracowanie metod stymulacji potencjału regeneracyjnego mieliny w ośrodkowym układzie nerwowym. Wywiad z badaczką dostępny jest na naszym portalu, a wystawę z jej udziałem można oglądać na stronie internetowej UNESCO.



Fot. Dominik Kulaszewicz

Prof. Marta Miączyńska przewodniczącą EU-LIFE

WARSZAWA Prof. Marta Miączyńska, dyrektor Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie, objęła funkcję przewodniczącej EU-LIFE – konsorcjum 16 instytutów badawczych z różnych krajów europejskich działających w obszarze nauk o życiu. MIBMiK jest jedyną polska instytucją w tym gronie. Polka będzie kierować konsorcjum wspólnie z Andersem H. Lundem, dyrektorem Biotech Research & Innovation Centre (BRIC) na Uniwersytecie w Kopenhadze. W trakcie dwuletniej kadencji oboje będą ściśle współpracować z Martą Agostinho, dyrektor wykonawczą EU-LIFE. Do kluczowych zadań stojących przed nowym kierownictwem należy kształtowanie agendy naukowej w kontekście wyzwań, które stoją przed europejskim sektorem badawczym. Obecne priorytety EU-LIFE to m.in. współudział w kształtowaniu kolejnego Europejskiego Programu Ramowego (FP10), wzmacnianie kultury badań naukowych na kontynencie, dalsze prace nad reformą oceny badań oraz promowanie doskonałości naukowej i odpowiedzialnych praktyk badawczych.



Źródło: MIBMiK

Prof. Marta Miączyńska jest biologiem molekularnym, specjalizuje się w biologii komórki. Pełni funkcję przewodniczącej Rady Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej EMBO. W latach 2016–2018 zasiadała w Radzie Narodowego Centrum Nauki. Należy do Academia Europaea.

Doktorat honoris causa – ks. dr Arkadiusz Nowak

POZNAŃ/ZIELONA GÓRA Ks. dr Arkadiusz Nowak z Katedry Humanizacji Medycyny i Seksuologii Uniwersytetu Zielonogórskiego otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Uhonorowano go w uznaniu jego szczególnego wkładu w budowanie dobra wspólnego na rzecz zdrowia publicznego, niezłomnej wiary w godność każdego człowieka, odwagi w walce ze stygmatyzacją i wykluczeniem. Ks. dr Arkadiusz Nowak jest duchownym Zakonu Posługujących Chorym (Kamilianów) oraz wybitnym działaczem społecznym i naukowcem, który od ponad trzech dekad z ogromną determinacją angażuje się w walkę z HIV/AIDS. Od lat aktywnie przeciwdziała narkomanii oraz wspiera ochronę praw pacjenta. Z Uniwersytetem Zielonogórskim związany zawodowo od 2018 roku. Rozprawę doktorską poświęcił społecznym, zdrowotnym i egzystencjalnym aspektom życia osób z HIV/AIDS. Pełni także funkcję prezesa Instytutu Praw Pacjenta

i Edukacji Zdrowotnej, a od 2022 roku przewodniczącego Rady Organizacji Pacjentów przy Ministrze Zdrowia.

Nowy dyrektor Instytutu Biologii Ssaków PAN

BIAŁOWIEŻA Dr hab. Tomasz Borowik objął z początkiem stycznia funkcję dyrektora Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży. Dotychczas T. Borowik był w IBS PAN zastępcą dyrektora ds. naukowych. Związany jest z placówką od 2004 roku. Jest absolwentem leśnictwa w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Jego zainteresowania badawcze związane są z ekologią populacyjną i biologią konserwatorską ssaków kopytnych oraz dużych drapieżników. Jest członkiem dwóch grup naukowych: Grupy Ekologii Chorób Zwierząt Dziko Żyjących oraz Grupy Ekologii Ewolucyjnej. Był współkoordynatorem programu Ogólnopolskiej Inwentaryzacji Wilka i Rysia w Nadleśnictwach i Parkach Narodowych. Realizował badania na temat potencjału rozrodczego jelenia Cervus elaphus w gradiencie produktywności środowisk, zagęszczeń populacji, poziomu śmiertelności oraz warunków klimatycznych w trzech puszczach północno-wschodniej Polski. Jego obecna działalność naukowa obejmuje problematykę z zakresu użytkowania przestrzeni oraz wybiórczości środowiskowej łosia w Biebrzańskim i Poleskim Parku Narodowym. Kadencja nowego dyrektora potrwa do końca grudnia 2029 roku.


Źródło: Researchgate

Instytut Biologii Ssaków to jedna z najstarszych instytucji naukowych PAN i jedyna na Podlasiu. Założony w 1952 r. przez prof. Augusta Dehnela, do 2010 roku funkcjonował jako Zakład Badania Ssaków PAN. Placówka realizuje prace w zakresie morfologii, taksonomii, systematyki, ewolucji, genetyki populacji, etologii i ekologii ssaków.

Nagroda NASK za cyberbezpieczeństwo

WROCŁAW Daria Pietraszko, absolwentka Wydziału Informatyki i Telekomunikacji Politechniki Wrocławskiej została laureatką nagrody NASK za najlepszą pracę dyplomową z zakresu cyberbezpieczeństwa. Wyróżnienie odebrała podczas XXXI Forum Teleinformatyki zorganizowanego w Ministerstwie Cyfryzacji. Uznanie ekspertów NASK zdobyła praca magisterska *Opracowanie rozwiązania opartego na introspekcji maszyn wirtualnych, służącego do wykrywania złośliwego oprogramowania typu rootkit* napisana przez Darię Pietraszko pod opieką dr. inż. Wojciecha Wodo. W uzasadnieniu podkreślono, że nagrodzona praca wyróżniała się nie tylko wysokim poziomem merytorycznym, ale także praktycznym potencjałem wdrożeniowym.

– Każdy projekt, który dziś rodzi się na uczelni, jutro może stać się fundamentem systemów chroniących administrację, biznes czy obywateli przed zaawansowanymi atakami. Dlatego tak ważne jest, abyśmy już na etapie studiów i pierwszych badań naukowych wspierali odwagę, kreatywność i odpowiedzialność młodych specjalistów – podkreślał w trakcie uroczystości Radosław Nielek, dyrektor NASK.


Źródło: NASK/PWr

Ta sama praca zdobyła także drugie miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Polskiego Towarzystwa Informatycznego na najlepsze prace magisterskie z informatyki.

Nagroda Felczaka i Wereszyckiego

KRAKÓW Nagroda, której patronami są profesorowie Wacław Felczak i Henryk Wereszycki, przyznawana jest przez krakowski oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego i Wydział Historyczny UJ autorom wyróżniających się prac książkowych dotyczących dziejów Europy Środkowo-Wschodniej i jej relacji z Polską od średniowiecza do współczesności. Nagrodę Główną otrzymał dr Pavel Dvořák za książkę *Apoštol demokracie: Československo a mytický obraz Edvarda Beneše*. Laureat pracuje w Muzeum Regionu Nowojičínskiego. Nagrodzona monografia powstała na podstawie rozprawy doktorskiej obronionej w 2021 r. Autor analizuje funkcjonowanie mitologicznego obrazu drugiego czechosłowackiego prezydenta, Edwarda Benesza. Dr Dvořák stworzył analityczną monografię tego, jakie treści i wyobrażenia wiązano z osobą (a także ideą) Edvarda Benesza. Nagrodę Honorową otrzymał docent Stefan Deczew z Nowego Uniwersytetu Bułgarskiego w Sofii za książkę *Syedinenijeto sreszczu zadkulisijeto. Politika i pamet (1885-1998)*. W nagrodzonej monografii podjął tematykę zjednoczenia Księstwa Bułgarii z Rumelią Wschodnią w 1885 r., a także analizę procesów zachodzących w bułgarskiej elicie.

Honorowy Rzeszowianin

RZESZÓW. Prof. dr hab. n. med. Artur Mazur, prorektor Uniwersytetu Rzeszowskiego ds. Collegium Medicum, otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Rzeszowa. Uroczystość wręczenia wyróżnienia miała miejsce podczas gali z okazji rocznicy lokacji Miasta Rzeszowa. Uhonorowanie to stanowi wyraz uznania dla dorobku naukowego prof. Mazura, jego działalności zawodowej oraz wkładu w budowanie prestiżu Rzeszowa jako ważnego ośrodka akademickiego i medycznego. Prof. Mazur jest pediatrą. Ukończył Akademię Medyczną w Krakowie. Na Uniwersytecie Rzeszowskim przed objęciem funkcji prorektora był dziekanem Wydziału Medycznego. Jest członkiem Komitetu Rozwoju Człowieka V Wydziału Nauk Medycznych Polskiej Akademii Nauk, członkiem zarządu Polskiego Towarzystwa Endokrynologii i Diabetologii Dziecięcej i wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego.


Źródło: UR2

Opracował Piotr Kieraciński

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl
oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X

Mapy do ewaluacji

Dr Krzysztof Kałamucki, prof. UMCS, pracownik Katedry Geomatyki i Kartografii Wydziału Nauki o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMCS, wiceprezes Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Geograficznego, mówi o znaczeniu map w badaniach naukowych i potrzebie uwzględnienia ich w ewaluacji.

Ministerstwo już od ładnych kilku lat nie uznaje mapy za dzieła naukowe. To jest tym bardziej zaskakujące, że niegdyś mapy były traktowane albo jako monografie, albo jako rozdział w monografii. Oczywiście, było bardzo precyzyjnie określone, kiedy mapa może być traktowana jako monografia, a kiedy jako rozdział monografii. Chodziło o spełnienie wymagań dotyczących objętości, czyli arkuszy wydawniczych, no a przede wszystkim o zakres merytoryczny. Mapy wieloaspektowe, a najlepiej zbiór map w postaci atlasu, mogły być traktowane jako monografie. Natomiast za rozdział w monografii mogło być uznane mniejsze objętościowo opracowanie kartograficzne. Oczywiście te mapy musiały spełniać wszystkie kryteria, jakie spełniały wówczas inne publikacje, a więc powinny być recenzowane, mieć podane źródła itd. No i przede wszystkim powinny być na wysokim poziomie merytorycznym.



Fot. Michał Żembrzycki

Jednak po reformie z 2018 roku mapy zostały wycofane z listy ministerialnej. Jednym z argumentów był fakt, że bardzo mało map wykazywano jako prace naukowe, zatem zlikwidowano taką możliwość, żeby uprościć procedurę. To dziwne tłumaczenie. Tym bardziej, że nie ilość się liczy, a jakość. Ta decyzja ma bardzo daleko idące skutki. Teraz ani kartografowie, ani inni naukowcy, którzy posługują się mapami, wykorzystują je, robią mapy, nie mogą ich wykazywać jako dzieła naukowe.

Mapy i wszystkie opracowania kartograficzne są utworami, są dziełami w myśl ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych. To znaczy, że realizują cechę twórczości. Natomiast niewątpliwie nie wszystkie mapy są pracami naukowymi. Geografowie od dawna doceniali mapę. Max Eckert-Greifendorff już w 1921 roku uważa mapę, dosłownie cytuję, za „oko geografii, bez którego nie jest możliwy prawidłowy poglądowy opis geograficzny i jakiekolwiek studium geograficzne". Przez wiele lat uważano, że mapa jest fenomenalnym sposobem prezentacji wyników badań. Jest to nic innego, jak forma wypowiedzi naukowców – geografów, którzy zajmują się przestrzenią, ale i innych badaczy, którzy badane zjawiska chcą analizować w przestrzeni. Trudno mi w tym kontekście zrozumieć decyzję ministerstwa o tym, że mapa nie jest uznawana za dzieło, gdyż mapy dzisiaj są publikowane i stanowią przedmiot badań wielu naukowców z wielu dziedzin. Mapa dzisiaj zrobiła bardzo dużą karierę. Jest wszędzie. Wykorzystują ją i publikują nie tylko geografowie. Od dawna mapy wykorzystywali historycy, wykonywali je archeolodzy i historycy, astronomowie, socjologowie, ekonomiści, którzy badają przestrzenne zjawiska ekonomiczne. Wszyscy chętnie prezentują wyniki swoich badań w formie map, czyli w ujęciu geograficznym, przestrzennym. Warunkiem umieszczenie informacji na mapie, prezentacji wyników badań w formie mapy jest to, że badania i ich wyniki mają aspekt przestrzenny, mają atrybut lokalizacji. W formie mapy mogą być prezentowane wszystkie zjawiska, które dzieją się w przestrzeni. I nie mówimy tylko o przestrzeni ziemi, miasta, wsi, kraju, bo może to być skala makro, ale także mikro przestrzeń. Kartografowie współpracują z mikrobiologami, którzy obrazują przestrzeń komórkową i międzykomórkową, bo tam też można robić analizy przestrzenne. Mimo takiej powszechności użycia map w badaniach naukowych, nie można ich wykazać jako prace naukowe, badacze nie mogą ich włączyć ani do dorobku własnego w celu oceny indywidualnej, ani do parametryzacji swoich jednostek.

Sprawa jest tym bardziej trudna, że kartografowie nie mają swojej dyscypliny. Zostali umieszczeni w kilku różnych. Sama geografia została również podzielona na geografię społeczno-ekonomiczną w dziedzinie nauk społecznych i geografię fizyczną w naukach o ziemi i środowisku. Już tylko mapa, jako obrazowanie przestrzenne, jest ogniwem scalającym geografię. Geografowie fizyczni za pomocą map obrazują zjawiska przyrodnicze w aspekcie przestrzennym. Geografowie społeczno-ekonomiczni stosują mapy do analizy i obrazowania zjawisk społeczno-gospodarczych w aspekcie przestrzennym.

Ponieważ mapa nie jest traktowana jako dzieło naukowe, naukowcy wykonują coraz mniej map. A są one potrzebne w wielu dziedzinach praktycznych: turystyka, urbanistyka, planowanie przestrzenne, ale także bezpieczeństwo publiczne, choćby zapobieganie skutkom katastrof naturalnych, to oczywiste miejsca zastosowania map. Trzeba koniecznie zachować i rozwijać umiejętność ich tworzenia. To jest specyficzna dziedzina działalności, a nauka – kartografia – ma wiele do powiedzenia.

Nieuwzględnianie map w dorobku naukowym doprowadziło do tego, że nawet w publikacjach geografów jest coraz mniej map. Ich sporządzenie wymaga specjalistycznych kompetencji i włożenia pewnego wysiłku. A przecież mapa, niezależnie od swojej formy i nośnika, to istotny element obrazowania zjawisk w przestrzeni. Naukowcy, którzy badają zjawiska przestrzenne i wynikiem ich badań jest właśnie mapa, najczęściej publikują monografię, do której dołączają mapy. Monografia ma odpowiednią objętość tekstu i dołączone do niego mapy, zatem jest punktowana, ale to nie jest typowe, klasyczne opracowanie kartograficzne. Na liście wydawnictw punktowanych nie ma żadnego wydawnictwa kartograficznego, czyli specjalizującego się w wydawaniu map i atlasów.

Wielu kartografów, geografów i innych specjalistów zajmuje się dzisiaj mapami cyfrowymi. Grafika cyfrowa stwarza olbrzymie możliwości prezentacji wyników badań. Możemy na takiej mapie przedstawić dynamikę zjawisk, czyli na przykład rozprzestrzenianie się jakiegoś zjawiska w czasie i w przestrzeni. Możemy to publikować w internecie. Tworzone są portale, wizualizacje, geowizualizacje, wizualizacje kartograficzne. Często ucieka się – mówię teraz o nauce – od samej nazwy mapa, bo mapa nie jest oceniana, zamiast tego stosuje się inne określenia, np. wizualizacja, opracowanie przestrzenne.

Skoro jest problem, dlaczego zainteresowani nie mówią o tym? Ano dlatego, że kartografowie, którzy są najbardziej zainteresowani tym, żeby mapę zaliczać do dzieł naukowych, są rozproszeni po wielu dyscyplinach i dziedzinach. Nie mamy jednej dyscypliny, która by wszystkich kartografów łączyła. Do ewaluacji wykazują inne dyscypliny, na przykład geografię społeczno-ekonomiczną czy fizyczną, gospodarkę przestrzenną, nauki społeczne, nauki o ziemi i środowisku, inżynierię lądową, geodezję. Ale mapy wykorzystują też historycy, archeolodzy, przyrodnicy, językoznawcy, etnografowie. W zasadzie można powiedzieć, że mapa jest dzisiaj dość uniwersalnym narzędziem do prezento-

wania wyników badań w wielu różnych dyscyplinach, od humanistycznych, przez ekonomiczne, społeczne, po ściśle przyrodnicze.

Ktoś może mi w tej kwestii zarzucić, że kartografowie jednak tworzą własne środowisko, bo przecież działa Stowarzyszenia Kartografów Polskich, którego jestem członkiem założycielem. Jednak jest to stowarzyszenie bardziej zawodowe, a nie naukowe, nawet jeśli naukowcy do niego należą. Jest też Oddział Kartografii Polskiego Towarzystwa Geograficznego, który, jak się okazuje, ma być rozwiązany.

Dzięki temu, że powstaje i jest użytkowana w wersji cyfrowej, mapa przeżywa obecnie renesans. Nie jest już tylko ilustracją, służy do analiz przestrzennych w rozmaitych modelach numerycznych.

Dlaczego mapa jest dziełem naukowym? Bo stanowi niezaprzeczalne źródło informacji, które w wielu przypadkach jest niezastąpione. Mapy są fantastycznym narzędziem badań. Nie ma możliwości mówienia o cyrkulacji powietrza, prognozach pogody bez mapy. Mapa jest sposobem prezentacji wyników badań. Studentom pokazuję na mapie jedną linię. Mówię, że to jest zasięg występowania jakiegoś zwierzęcia, jakiegoś gatunku. Niech to będzie ćma, która żyje trzy dni w ciągu roku. Ile pracy musi poświęcić biolog, żeby stwierdzić, że ta ćma występuje w zakreślonych linią na mapie miejscach. Sama mapa nie jest bardzo złożona, ale treści jakie pokazuje, badania, jakie trzeba przeprowadzić, żeby ją wykonać, nie są ani proste, ani błahe. Mapa potrafi przekazać treści, które w innej formie wymagają bardzo obszernego opisu, a i tak ten opis nie odda należycie i klarownie treści. Oczywiście to można rozszerzyć na inne dyscypliny: czy bez map moglibyśmy zobrazować zagrożenia powodziami i suszami? Czy bez dynamicznych map moglibyśmy modelować zjawiska klimatyczne? Nie! Potrzebujemy map jak najlepszych i najnowocześniejszych. Żeby ten obszar badań mógł się rozwijać, mapy powinny wrócić na listę prac naukowych.

Notował Piotr Kieraciński

Retrakcje i ewaluacja

Na portalu forumakademickie.pl opublikowaliśmy artykuł poświęcony retrakcjom artykułów polskich naukowców. Rozgorzała dyskusja o ich roli w ewaluacji. analizę tego problemu poprosiliśmy prof. Piotra Steca, prawnika z Uniwersytetu Opolskiego. Jak się okazuje, sprawa ma wiele zaskakujących wątków.

Kilka dni temu krajowy naukowy światek obiegła kolejna informacja o retraktowaniu artykułów, których współautorami byli polscy uczeni. Natychmiast pojawiło się pytanie, jak należy zareagować, ponieważ teksty te zostały już wprowadzone do państwowych systemów informacyjnych i zapewne zostaną wykorzystane w ewaluacji. Nasze przepisy ewaluacyjne, choć tworzone w szkole „nadzorować i karać", nie przewidują takiej sytuacji. Wątpliwa wydaje się więc dopuszczalność ich dyskwalifikacji przez Komisję Ewaluacji Nauki. Prawo wprawdzie umożliwia nieuwzględnienie osiągnięcia, w przypadku gdy do systemu POLoN zostały nieprawidłowo wprowadzone informacje charakteryzujące to osiągnięcie, a w szczególności gdy nie budzi wątpliwości to, że nie jest ono związane z badaniami naukowymi lub pracami rozwojowymi prowadzonymi w ewaluowanym podmiocie w danej dyscyplinie naukowej. Jednak otwarte pozostaje pytanie, czy dotyczy to retraktowanych tekstów. Jeśli tak, to dotyczyłoby to tylko szczególnych przypadków artykułów produkowanych przez „papiernie" bez udziału badaczy z danego ośrodka. Chodzi o ten przypadek, gdy badacz płaci lub odwdzięcza się w jakikolwiek sposób za umieszczenie go jako współautora tekstu, nie ingerując w jego treść. Tak samo potraktowałbym sytuację, w której badacz przypisał sobie autorstwo cudzej pracy, czyli plagiat. Pozostałe nieprawidłowości wymagałyby jednak głębszego namysłu, bo zwykle osiągnięcia te będą pozostawały w związku z badaniami prowadzonymi w jednostce, nawet jeśli będą błędne lub zmanipulowane. Potrzebny zatem jest mechanizm pozwalający radzić sobie z takimi problemami.

Myślę, że najprostszym mechanizmem byłoby potraktowanie prac retraktowanych tak, jakby ich autor niczego nie opublikował w okresie ewaluacyjnym. Czyli każdego współautora retraktowanej pracy traktowalibyśmy w drodze fikcji prawnej jako należącego do N0. W konsekwencji, każdy retraktowany artykuł zmniejszałby pulę tekstów zgłaszanych przez dany ośrodek o trzykrotność liczby afiliowanych w jednostce/dyscyplinie współautorów retraktowanych tekstów. Ponieważ retrakcje wydają się być problemem w szczególności w STEM, gdzie współautorstwo jest normą, sankcja taka byłaby bardzo dotkliwa.

Konieczne jest tu jednak kilka zastrzeżeń. Po pierwsze, nie mamy danych o tym jak bardzo retraktowane prace wpływają na wynik ewaluacji. Nie wiemy więc, czy problem jest ewaluacyjnie istotny. Baza danych Retraction Watch (https://retractiondatabase.org/) zawiera 168 tekstów z polskimi afiliacjami za lata 2022-2025, dotkniętych różnego rodzaju nieprawidłowościami wymagającymi retrakcji lub korekty.

Po drugie, jak słusznie wskazuje COPE w swoim przewodniku, retrakcje nie są narzędziem sankcji, a zarządzania jakością (https://publicationethics.org/guidance/guideline/retraction-guidelines). Czasem autorzy sami zauważają błąd w swoich badaniach i wnoszą o ich retraktowanie. Przy zastosowaniu zaproponowanej tu sankcji autorzy i ich pracodawcy byliby karani za uczciwość. Po trzecie wreszcie, retrakcje i korekty nie zawsze są powiązane z nierzetelnością badawczą. Wspomniane wyżej zasady retrakcji COPE wskazują także jako przyczynę naruszenie prywatności czy proces o zniesławienie, a także naruszenie praw autorskich. W przypadku prac historycznych to może być poważny problem. Antoon de Baets w swoim artykule *Defamation Cases Against Historians* w „History and Theory" 41 (October 2002), 346-366 (https://www.jstor.org/stable/pdf/3590690.pdf) analizuje 21 takich spraw z lat 1965-2000. Zdarzają się one także i w Polsce. Procesy takie wywołują efekt mrożący, a dodatkowo karanie uczelni za retrakcje mogłoby zniechęcać do podejmowania ryzykownych tematów. Również nie każde naruszenie praw autorskich ma tę samą wagę. Inaczej podejdziemy do uczonego, który w dobrej wierze uzyskał licencję np. na wykorzystanie w tekście rysunków od osoby nieuprawnionej, inaczej do plagiatora. We wspomnianej wyżej bazie jeden z artykułów z polską afiliacją ma podany jako przyczynę retraktowania błąd wydawcy: tekst został opublikowany dwukrotnie (Duplication of Content through Error by Journal/Publisher).

Gdyby więc wprowadzić do naszego systemu sankcje za retrakcje, wypadałoby je ograniczyć do sytuacji, w których nie ulega wątpliwości, że tekst jest skażony nierzetelnością naukową.

Dwa rodzaje zagrożeń

Poznaliśmy rekomendacje ministerialnego Zespołu doradczego ds. nieuczciwych praktyk publikacyjnych, pracującego pod kierunkiem prof. Piotra Jedynaka, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Powołanie tego gremium było reakcją na ujawniane coraz częstsze przypadki podejrzanych praktyk związanych z udziałem badaczy w tzw. papierniach, ale też opisywane już od dawna zjawiska publikowania w „drapieżnych" czasopismach. Głównym zadaniem 11-osobowego ciała doradczego miała być identyfikacja i zdefiniowanie nagannych praktyk publikacyjnych oraz analiza rozwiązań przeciwdziałających tego typu aktywnościom.

Jak czytamy w przygotowanym raporcie, wyróżniono dwojakiego rodzaju problemy. Po pierwsze, oszustwa naukowe – w postaci np. fałszowania wyników, fabrykowania danych, nieuzasadnionego (współ)autorstwa publikacji itd. Drugą kategorię tworzą publikacje w czasopismach „drapieżnych" i udział w tzw. papierniach. Nie zdefiniowano ich jednak, zaznaczając, że działalność publikatorów „drapieżnych" i „papierni", choć etycznie naganna, odbywa się w prawnej „szarej strefie". Jak podkreślono, trudno więc sobie wyobrazić powszechnie akceptowane legalne definicje tych zjawisk.

Oba rodzaje postępowań należy uznać za niewłaściwe, z tym, że pierwszego rodzaju praktyki (oszustwa naukowe – przyp. MK) są wyjątkowo naganne i powinny być zdecydowanie piętnowane poprzez wyciąganie surowych konsekwencji w stosunku do naukowców je stosujących. Drugiego rodzaju praktyki co prawda nie są podstawą do kar dyscyplinarnych, jednak powodują marnowanie środków przeznaczonych na badania naukowe, stanowią zatem również przykłady niewłaściwego postępowania. Można je jednak skutecznie ograniczać poprzez określenie warunków, które nie sprzyjają takim sposobom postępowania – napisali członkowie zespołu.

Ich zdaniem praprzyczyną tego typu zjawisk jest system ewaluacji oparty głównie na ocenie ilościowej. Szczególnie wyraźnie widoczne jest to w dyscyplinach, w których prowadzi się prace zespołowe. Dodatkowo, zaważają eksperci, sytuację pogarsza fakt, że opublikowanie wybitnej pracy naukowej nie jest odpowiednio odzwierciedlone w punktacji. Chodzi o to, że „prace w najbardziej renomowanych czasopismach, stosujących wymagania najwyższej jakości badań, aby ich wyniki mogły zostać opublikowane (200 pkt), są w ewaluacji oceniane podobnie jak prace w czasopismach przyjmujących zdecydowanie niższe kryteria (np. 140 pkt)".

Wydaje się zatem, że w celu wyeliminowania warunków sprzyjających drugiej z wymienionych form niewłaściwych praktyk publikacyjnych konieczna jest diametralna zmiana zasad ewaluacji jednostek naukowych. Nacisk powinien być położony na jakość, a nie liczbę osiągnięć naukowych – postulują członkowie zespołu, sugerując, że ocena powinna mieć charakter ekspercki, a brane pod uwagę osiągnięcia – nieliczne, za to najważniejsze.

Podobna ocena jakości osiągnięć naukowych kandydatów musi także być podstawą decyzji o awansach naukowych. W raporcie wskazano, że obecnie ekspercka ocena wartości naukowej osiągnięć kandydatów jest stosowana przez Radę Doskonałości Naukowej (procedure wnioski o tytuł profesora) i tak samo powinny wyglądać praktyki w zakresie stopni doktora i doktora habilitowanego w podmiotach uprawnionych do ich nadawania.

Skupienie się na ocenie jakości osiągnięć naukowych, bez stosowania kryteriów ilościowych i minimalizacji znaczenia wskaźników bibliometrycznych, będzie najprawdopodobniej powodować odejście większości naukowców od publikowania dużej liczby prac o miernym znaczeniu naukowym, a skoncentrowanie się na prowadzeniu badań na jak najwyższym poziomie merytorycznym i publikowaniu kompleksowych prac, opisujących ważne dokonania naukowe – sugerują eksperci.

Zespół wskazał, że na podobnych zasadach powinna być oparta okresowa ocena pracowników naukowych w uczelniach i instytutach. Ministerialni doradcy zastrzegają, że kluczową sprawą jest jednak postawa etyczna pracowników nauki, a także wypełnianie przez nich swojej misji poprzez dążenie po poznania prawdy o zasadach funkcjonowania badanych obiektów, procesów czy zjawisk, a nie dostosowywanie się do aktualnych zasad ewaluacji poprzez kładzenie nacisku na uzyskanie lepszej oceny (np. wyższej punktacji) kosztem jakości prowadzonych badań.

Na koniec członkowie Zespołu przygotowali kilka rekomendacji. Postulują zatem utworzenie funkcji Rzecznika Rzetelności Naukowej (na wzór podobnych instytucji w innych krajach, np. Finlandii czy Wielkiej Brytanii), którego obowiązki miałyby charakter prewencyjny oraz kontrolny. Sugerują scalenie (zlikwidowanie progów punktowych) wykazów czasopism i wydawnictw naukowych. Proponują: zmianę zasad ewaluacji działalności naukowej na model wyłącznie jakościowy; zmniejszenie liczby slotów na osiągnięcia naukowe w ramach procesu ewaluacji; wydłużenie okresu ewaluacji jakości działalności naukowej; zmniejszenie liczby kategorii naukowych do dwóch: kategorii z uprawnieniami akademickimi oraz kategorii bez uprawnień; zwiększenie znaczenia publikacji jednoautorskich.

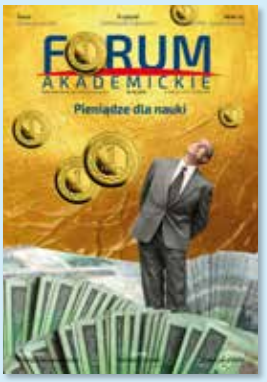
Jak nas poinformowało biuro prasowe resortu nauki, część wniosków, które pozostawały w zgodzie z wynikiem prac Zespołu ds. opracowania nowego modelu ewaluacji jakości działalności naukowej, uwzględniono. Chodzi o wydłużenie okresu objętego ewaluacją do 5 lat, zwiększenie roli oceny eksperckiej w procesie ewaluacji, zmodyfikowanie zasad tworzenia wykazów na bardziej transparentne (jednak bez usunięcia progów punktowych), zmniejszenie limitu liczby osiągnięć naukowych sprawozdawanych przed podmiot podczas ewaluacji jakości działalności naukowej. W ministerstwie prowadzone są jeszcze analizy dotyczące postulatu wprowadzenia funkcji Rzecznika Rzetelności Naukowej.

Mariusz Karwowski

Prenumerata „Forum Akademickiego" w 2026

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego",
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego" w 2026 roku. Roczna prenumerata wydania drukowanego (12 numerów w 11 zeszytach, w tym zeszyt łączony 1-2) kosztuje **250 zł**; prenumerata numerów 1-6 kosztuje **118 zł**, a 7-12: **132 zł**. Cena jednego egzemplarza wynosi **22 zł**. Cena zeszytu łączonego (nr 1-2) wynosi **30 zł**. Prenumerata wydania elektronicznego w roku 2026 (12 numerów w 11 zeszytach) kosztuje **165 zł**.

Redakcja



RGNiSW w nowym składzie

Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego zainaugurowała prace w nowej kadencji. To najważniejszy organ przedstawicielski środowiska akademickiego w Polsce. Opiniuje i doradza w sprawach polityki naukowej państwa oraz współdziała z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego i innymi organami władzy i administracji publicznej w ustalaniu polityki państwa w tym zakresie. Swoich przedstawicieli do składu Rady deleguje 11 organizacji przedstawicielskich środowiska akademickiego i środowisk interesariuszy nauki i szkolnictwa wyższego.

W składzie 32-osobowego gremium na kadencję 2026–2029 znaleźli się:

- z ramienia Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich: prof. Jacek Witkoś, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; prof. Agnieszka Merkisz-Guranowska, Politechnika Poznańska; prof. Paweł Strumiłło, Politechnika Łódzka; prof. Agnieszka Zimmermann, Gdański Uniwersytet Medyczny; prof. Małgorzata Ożgo, Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie; prof. Szymon Cyfert, Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu; prof. Tomasz Grzyb, Uniwersytet SWPS; prof. Klaudiusz Baran, Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina; dr hab. Marcin Pałys, Uniwersytet Warszawski; ks. prof. Wojciech Jan Zyzak, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie; prof. Romuald Zabielski, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie;
- z ramienia Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych: dr hab. Krzysztof Rejman, Państwowa Akademia Nauk Stosowanych im. ks. Bronisława Markiewicza w Jarosławiu;
- z ramienia Konferencji Rektorów Zawodowych Szkół Polskich: prof. Marcin Krawczyński, Akademia Ateneum w Gdańsku;
- przedstawiciele Polskiej Akademii Nauk wybrani przez Prezydium PAN: prof. Zbigniew Błocki, Uniwersytet Jagielloński; dr Anna Maria Górska, Akademia Leona Koźmińskiego; prof. Artur Zdunek, Instytut Agrofizyki im. Bohdana Dobrzańskiego PAN w Lublinie;
- przedstawiciele Akademii Kopernikańskiej: dr hab. Grzegorz Górski, Akademia Jagiellońska w Toruniu; prof. Mariusz Andrzejewski, Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie; prof. Witold Mazurek, Uniwersytet Ignatianum w Krakowie;
- przedstawiciele instytutów badawczych i państwowych instytutów badawczych wybrani przez Radę Główną Instytutów Badawczych: prof. Dorota Konopacka, Instytut Ogrodnictwa – Państwowy Instytut Badawczy; prof. Przemysław Oszukowski, Instytut „Centrum Zdrowia Matki Polki" w Łodzi;
- przedstawiciel Sieci Badawczej Łukasiewicz: prof. Rafał Łukasik, Centrum Łukasiewicz;
- studenci wybrani przez Parlament Studentów Rzeczypospolitej Polskiej: Agata Andrzejczyk, Warszawski Uniwersytet Medyczny; Maciej Korab, Uniwersytet Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Krakowie; Kamil Bonas, Uniwersytet Warszawski; Jan Wrona, Politechnika Rzeszowska im. Ignacego Łukasiewicza;
- doktoranci wybrani przez Krajową Reprezentację Doktorantów: mgr Małgorzata Kuczera, Akademia Sztuki Wojennej; mgr inż. Michał Klimczyk, Politechnika Rzeszowska im. Ignacego Łukasiewicza;
- przedstawiciele pracowników wybrani przez reprezentatywne organizacje związków zawodowych: dr Dominik Szczukocki, przewodniczący Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność"; dr Janusz Szczerba, prezes Rady Szkolnictwa Wyższego i Nauki ZNP;
- przedstawiciele pracodawców wybrani przez reprezentatywne organizacje pracodawców: prof. Jerzy Witold Pietrewicz, Szkoła Główna Handlowa; prof. Radosław Koszewski, Politechnika Warszawska.

Na inauguracyjnym posiedzeniu wybrano także przewodniczącego RGNiSW. Został nim, po raz drugi z rzędu, dr hab. Marcin Pałys z Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 2012–2020 rektor tej uczelni. Od ubiegłego roku pełni funkcję wiceprezydenta European University Association. Od 2021 r. zasiada w Radzie Zarządzającej Magna Charta Observatory, organizacji działającej na rzecz poszanowania i ochrony fundamentalnych wartości akademickich.

Organy władzy publicznej zasięgają opinii RGNiSW w sprawach: zasad działania i kierunków rozwoju systemu szkolnictwa wyższego i nauki, zarządzania uczelniami oraz w sprawach studentów, doktorantów i kadry naukowej; projektu budżetu państwa w części dotyczącej szkolnictwa wyższego i nauki; projektów aktów prawnych dotyczących systemu szkolnictwa wyższego i nauki.

Zgodnie ze statutem Rada wyraża z własnej inicjatywy opinie w sprawach dotyczących szkolnictwa wyższego, nauki, kultury i oświaty; może również zwracać się w tych sprawach do organów władzy publicznej, jednostek naukowych i uczelni.

Mariusz Karwowski



Fot. MNiSW

Centralny System Oceny

Prof. Maciej Wnuk, prodziekan ds. nauki Wydziału Biotechnologii w Collegium Medicum Uniwersytetu Rzeszowskiego, zastanawia się, czy centralizacja systemu oceny kadr naukowych nie pomogłaby w poprawie polskiej nauki, m.in. poprzez przejście od feudalnego przywiązania do etatu w stronę dynamicznej giełdy talentów.

Od lat w polskiej przestrzeni akademickiej trwa debata nad mechanizmami promującymi jakość i innowacyjność. Mimo licznych reform podejmowanych przez kolejne rządy, proponowane zmiany często okazują się kompromisami odzwierciedlającymi interesy dominujących w danym czasie grup wpływów. W efekcie, zamiast radykalnej poprawy jakości, obserwujemy utrwalanie się systemowych wad. Niezależnie od opinii na temat kondycji polskiej nauki panuje zgoda co do jednego: sektor ten cierpi na chroniczne niedofinansowanie. Na przełomie 2025 i 2026 roku nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe w Polsce oscylują wokół 1,0 – 1,1% PKB. To wynik drastycznie niższy od średniej unijnej (ok. 2,3%) i daleko odbiegający od liderów innowacji, takich jak Dania, Niemcy czy USA, gdzie nakłady te przekraczają 3%. W obecnej sytuacji geopolitycznej zamiast poprzestawać na corocznych protestach i petycjach, należy postawić także pytanie: jak w sposób racjonalny i efektywny wykorzystać środki, którymi już dysponujemy?



Fot. Arch. prywatne

Finansowanie a rzeczywistość akademicka

Uczelnie publiczne funkcjonują głównie w oparciu o zintegrowaną subwencję z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Algorytm naliczania wartości subwencji dla uczelni obejmuje m.in. składnik studencki, kadrowy, badawczy oraz umiędzynarodowienie. Kluczowym problemem jest jednak tzw. składnik kadrowy. Uzależnienie części finansowania od samej liczby zatrudnionych profesorów i doktorów habilitowanych sprawia, że uczelniom opłaca się utrzymywać tzw. samodzielnych pracowników nauki, nawet jeśli ich aktywność badawcza wygasła lub jest niska.

Feudalizm i bezpieczne trwanie

Hierarchiczna struktura polskiej nauki boryka się z kryzysem, który można określić mianem akademickiego feudalizmu. Autonomia uczelni, sama w sobie bardzo cenna, bywa wykorzystywana do unikania bolesnych, lecz koniecznych restrukturyzacji. Efektem jest blokowanie etatów przez osoby trwające w systemie. Zjawisku temu towarzyszyć mogą patologie etyczne, takie jak guest authorship (dopisywanie się do publikacji podwładnych). Wykorzystywanie hierarchii do budowania sztucznego dorobku niszczy relację mistrz-uczeń i promuje osoby, które nie wniosły realnego wkładu w rozwój wiedzy. Kolejną barierą jest zastój kompetencyjny. Potrzeba znajomości nowoczesnych technik badawczych przez kadrę, szczególnie w dziedzinach nauk inżynieryjno-technicznych, nauk medycznych i nauk o zdrowiu, nauk rolniczych, nauk ścisłych i przyrodniczych, nauk weterynaryjnych, jest warunkiem sine qua non przetrwania uczelni jako instytucji naukowo-dydaktycznej. Bez tego uniwersytet produkuje bezrobotnych teoretyków, zamiast innowatorów zdolnych rozwiązywać globalne problemy. Jednocześnie bez mechanizmów realnej weryfikacji umiejętności kadry uczelnie ryzykują stanie się muzeami nauki zamiast centrami innowacji.

Wada obecnego systemu ocen

Zgodnie z art. 128. ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce ocena okresowa pracownika odbywa się co najmniej raz na cztery lata. Teoretycznie ocena zależy od decyzji uczelni, a zatem w skali kraju jest zdecentralizowana. Jednak na poziomie uczelni system ten jest głęboko scentralizowany. To rektorzy i senaty ustalają kryteria oceny w swoich jednostkach, a jednocześnie kryteria te są nieporównywalne między ośrodkami – dobry naukowiec może na jednej uczelni być oceniany gorzej niż przeciętny pracownik na innej, stosującej łagodniejsze mierniki.

Postulat centralizacji: kierunek na giełdę talentów

Skoro stawki minimalne wynagrodzeń są regulowane ustawowo, a środki pochodzą z budżetu państwa, dlaczego kryteria oceny jakości pracy mają pozostawać uznaniowe? Wprowadzenie Centralnego Systemu Oceny mogłoby stać się katalizatorem innowacyjności, gdyż kryteria byłyby standaryzowane dla kraju i jednakowe dla każdego, bez względu na wielkość, typ i ogólnie rozumiany prestiż uczelni. Dalej, jeśli naukowiec byłby oceniany według tych samych wskaźników w całym kraju, łatwiej byłoby mu zmieniać miejsce pracy. Następnie, uczelnie nie tworzyłyby regularnie skomplikowanych regulaminów wewnętrznych, co odciążyłoby działy kadr i rady naukowe. Konsekwentnie centralny krajowy system mógłby wzmocnić rolę naszych publikacji naukowych w obiegu globalnym, co przynajmniej w teorii podniosłoby prestiż i widoczność polskiej nauki na świecie.

CSO pozwoliłby na stworzenie ogólnopolskiego standardu doskonałości. Naukowiec z wysoką oceną, porównywalną w skali kraju, stawałby się atrakcyjnym kandydatem do transferu między uczelniami, co wymusiłoby zdrową konkurencję o talenty (headhunting). CSO wzmocniłby także tzw. trzecią misję, ponieważ realny wpływ na gospodarkę (wdrożenia, patenty, start-upy) mógłby premiować wyżej niż masową produkcję teoretycznych artykułów o niskim znaczeniu. W końcu CSO pozwoliłby na opracowanie przejrzystej standaryzowanej ścieżki kariery (tenure track). Jasne, sześcioletnie – cztery lata to chyba jednak za krótki okres – cykle awansowe wzorowane na modelach zachodnich, gdzie utrzymanie zatrudnienia zależy od obiektywnych wyników, a nie nastroju rady wydziału. Przewidywalność kariery pozwala skupić się na długofalowych innowacyjnych badaniach zamiast na produkowaniu szybkich publikacji dla zadowolenia lokalnej komisji oceniającej. W końcu CSO pozwoliłby na sporządzanie tzw. benchmarkingu międzynarodowego. System taki mógłby być automatycznie zintegrowany z globalnymi bazami danych (jak Scopus czy Web of Science). Pozwoliłoby to na bieżąco weryfikować, jak polscy naukowcy wypadają na tle kolegów z Czech, Niemiec czy USA w tej samej dyscyplinie.

Podsumowując, wprowadzenie centralnej oceny nie musi oznaczać zniszczenia autonomii uczelni. Ostateczna decyzja o zatrudnieniu czy profilu badań pozostałaby w gestii jednostki, jednak ocena aktywności i efektywności pracowników stałaby się porównywalna w skali kraju i świata. W obliczu ograniczonych zasobów finansowych, jedyną drogą do innowacyjności jest profesjonalizacja kadr. Polska nauka potrzebuje przejścia od feudalnego przywiązania do etatu w stronę dynamicznej giełdy talentów, która promuje wybitność, a eliminuje apatię.

Habilitacja – potrzebna czy nie?

Prof. dr hab. inż. Marek Przybylski, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, w latach 2013–2025 dyrektor Akademickiego Centrum Materiałów i Nanotechnologii AGH, włącza się w dyskusję o habilitacji, którą odbyli na łamach „Academii" profesorowie Andrzej Jajszczyk i Dariusz Jemielniak.

Przeczytałem uważnie *Dwugłos o habilitacji* opublikowany w „Academii", portalu Polskiej Akademii Nauk, zapoznając się z poglądami zarówno prof. Andrzeja Jajszczyka, jak i prof. Dariusza Jemielniaka. Prof. Jajszczyk sprzeciwia się habilitacji, postrzegając ją przez pryzmat obecnych realiów („Już od dawna stopień doktora habilitowanego ma niewielki związek z jakością badań uprawianych przez legitymujących się nim naukowców, dając jednocześnie niektórym z jego posiadaczy złudne poczucie wielkości"). Z kolei prof. Jemielniak opowiada się za jej zachowaniem ze względu na to, czym habilitacja powinna być („Co zatem należy zrobić z habilitacją? Nie likwidować, ale reformować. Poprawić i ujednolicić standardy"). Pozornie obie wypowiedzi są sprzeczne. Jednak mają wspólny mianownik: „tak" dla habilitacji, ale tylko jeśli będzie ona miała rzeczywisty sens.



Fot. Arch. prywatne

Rynkowa weryfikacja

Środowisko akademickie wytwarza dwa zasadnicze rodzaje dóbr: absolwentów (licencjatów, inżynierów, magistrów, doktorów) oraz wyniki badań naukowych. Absolwenci podlegają teoretycznie jasnej weryfikacji rynkowej: uczelnie muszą dostosowywać ofertę kształcenia do potrzeb gospodarki, oczekiwań pracodawców oraz aspiracji kandydatów na studia, którzy w przyszłości wejdą na rynek pracy, jakkolwiek w czasach gwałtownego postępu technologicznego, szybko zmieniającego się rynku pracy i pewnych „słabości systemowych" nie zawsze ten rynkowy mechanizm jest skuteczny.

Znacznie gorzej wygląda sytuacja w przypadku „rynkowej" weryfikacji wyników badań naukowych. W warunkach polskich można mieć poważne wątpliwości, czy taka weryfikacja w ogóle ma miejsce. Jeśli badania są poprawne, mogą pozostawać na poziomie elementarnym, wtórnym lub przyczynkowym, ponieważ polska gospodarka i życie społeczne w niewielkim stopniu opierają się na krajowych osiągnięciach naukowych. System oceny wartości tych badań, zarówno na poziomie indywidualnych naukowców, jak i jednostek naukowych, ma charakter ilościowo-parametryczny i jest podatny na wypaczenia. W praktyce realnym zewnętrznym kryterium oceny poziomu polskiej nauki pozostają granty Unii Europejskiej. Tam nie finansuje się projektów niestanowiących wyzwania, a mechanizmy przyznawania środków są niezależne od krajowych okoliczności i procedur. Niestety, na tym polu wypadamy słabo.

Trudno się więc dziwić sceptycyzmowi polityków wobec finansowania nauki: tylko niewielka część środków, które Polska wpłaca do unijnego budżetu na badania, wraca do naszych zespołów badawczych. Tym bardziej, że nie jest łatwo wskazać przełomowe technologie/rozwiązania w gospodarce będące efektem rodzimych prac badawczych. Co więcej, nawet w tak perspektywicznej dziedzinie jak sztuczna inteligencja jesteśmy już wyraźnie spóźnieni, mimo że mamy bardzo dobrych informatyków. Pojawia się więc pytanie, czy są oni równie dobrzy jako kreatorzy rynku, a nie jedynie wykonawcy. Warto zauważyć, że w skali globalnej rozpoznawalna jest właściwie jedna polska firma informatyczna (i to niezwiązana z AI): CD Projekt, twórca serii gier *Wiedźmin*. Wniosek? Skoro rynek w niewielkim stopniu weryfikuje efekty polskich badań naukowych, konieczny wydaje się centralny, a nie lokalny, mechanizm oceny rzetelności i jakości badań. Habilitacja mogłaby stanowić jego istotny element. Nie należy rozpatrywać jej w oderwaniu od całokształtu rozwiązań funkcjonujących w polskiej nauce i szkolnictwie wyższym.

Wśród tych rozwiązań warto zwrócić uwagę chociażby na obowiązek zatrudnienia naukowca – najczęściej adiunkta – na czas nieokreślony najpóźniej po 33 miesiącach od nawiązania stosunku pracy. Podobnie ostrożnie podchodziłbym do argumentów odwołujących się do rozwiązań przyjętych w innych krajach. Owszem, w Niemczech habilitacja funkcjonuje (na co wskazuje prof. Jemielniak), podczas gdy w Stanach Zjednoczonych jej nie ma (jak zauważa prof. Jajszczyk), jednak oba modele są głęboko zakorzenione w odmiennych, całościowych systemach: ich historii, potencjale oraz specyfice organizacyjnej.

Dlaczego jakość habilitacji spada?

Rację mają ci, którzy wskazują na spadek poziomu habilitacji, co samo w sobie podważa zasadność ich przeprowadzania. Skąd bierze się ten problem? Moim zdaniem zasadniczą przyczyną jest fakt, że habilitacja jest koniecznością, a to pociąga za sobą szereg konsekwencji. Tak, robienie habilitacji jest w praktyce obowiązkowe. Wynika to z przepisów ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, która co prawda dopuszcza zatrudnienie doktora na stanowisku profesora uczelni, a więc teoretycznie umożliwia kontynuowanie kariery naukowej bez habilitacji, ale jednocześnie wprowadza drugą, uprzywilejowaną kategorię profesorów uczelni – tych posiadających habilitację. Profesorowie uczelni z habilitacją mogą być promotorami doktoratów, recenzować rozprawy doktorskie i habilitacyjne, opiniować wnioski o nadanie tytułu profesora oraz ubiegać się o ten tytuł. Tymczasem uprawnienia profesorów uczelni bez habilitacji w sprawach naukowych w praktyce niewiele różnią się od uprawnień doktorów zatrudnionych na stanowisku adiunkta. Z jednej strony stanowi to przejaw niekonsekwencji ustawy, z drugiej zaś tworzy możliwość zatrudniania na stanowisku profesora uczelni osób spoza akademii, na przykład praktyków z doświadczeniem w przemyśle.

Konsekwencją konieczności habilitowania się, rozumianej jako „podążanie naturalną ścieżką rozwoju naukowego", są niekończące się dyskusje dotyczące samej procedury habilitacyjnej. Ustawa dość jednoznacznie odwołuje się do „znacznego wkładu w rozwój określonej dyscypliny". Jednak szczegółowa analiza prawna rzeczywiście nie wyklucza zaliczenia doktoratu jako części dorobku uwzględnianego w postępowaniu habilitacyjnym. Trudno nie zauważyć, że od doktora oczekujemy czegoś innego („umiejętności samodzielnego prowadzenia badań") niż od doktora habilitowanego. Zastanawiamy się, czy „jeden cykl powiązanych tematycznie artykułów naukowych" oznacza pięć publikacji czy siedem (typowo ilościowe podejście). Mamy też problem współczesnych patologii systemu publikacyjnego, takich jak drapieżne czasopisma czy szerzej – łatwe i szybkie publikowanie w płatnych periodykach (jakkolwiek często legitymujących się już wysokimi wskaźnikami wpływu). Gdy możliwość takiego publikowania jest finan-

sowo wspierana ze środków publicznych, u wielu recenzentów postępowań habilitacyjnych rodzą się dodatkowo wątpliwości natury etycznej.

Coraz głośniej mówi się także o problemie tzw. spółdzielni publikacyjnych — zjawisku nastawionym na sztuczne mnożenie dorobku autorów i instytucji, mającym też swoją polską specyfikę wynikającą ze sposobów liczenia punktów za publikacje, mającym swoją polską specyfikę. Pisząc o polskiej specyfice mam na myśli system ewaluacji jakości działalności naukowej, który udział dopisanego autora premiuje tyle razy bardziej ilu jest autorów w jednostce/dyscyplinie, w której ta publikacja powstała. Ustawa wymaga również „istotnej aktywności naukowej realizowanej w więcej niż jednej uczelni (instytucji naukowej), w szczególności zagranicznej". Powstaje więc pytanie, czy tygodniowy pobyt w innej uczelni, określany mianem stażu naukowego, rzeczywiście realizuje intencję ustawodawcy. Zgodnie z ustawą, kolokwium habilitacyjne „przeprowadza się w zakresie osiągnięć naukowych osoby ubiegającej się o stopień doktora habilitowanego", ale już sposób przeprowadzenia kolokwium regulują przepisy wewnątrzuczelniane, a one znacząco różnią się pomiędzy uczelniami. Nie wspominam już o habilitacjach uzyskiwanych za granicą, gdzie pojęcie habilitacji może oznaczać zupełnie coś innego. Obniżanie wymogów formalnych przekłada się na obniżenie poziomu merytorycznego habilitacji oraz często ograniczone doświadczenie habilitantów w różnych aspektach pracy naukowej. Rodzi się wreszcie pytanie, czy „robienie habilitacji" nie zaczęło funkcjonować jako coś odrębnego od prowadzenia wartościowych badań naukowych. A przecież nie chodzi o mechaniczne spełnienie wymogów ustawowych, interpretowanych wyłącznie przez pryzmat ich litery, a nie ducha. Wszystko to nie oznacza jednak, że habilitacja jest pozbawiona sensu.

W argumentacji prof. Jajszczyka wielokrotnie pojawia się postulat zastąpienia habilitacji rzetelnym konkursem. W praktyce może tu chodzić o konkurs na stanowisko profesora uczelni, adiunktów zatrudnia się bowiem zazwyczaj krótko po uzyskaniu stopnia doktora, a profesorów uczelni po nadaniu tytułu profesora „automatycznie" przenosi się na stanowisko profesora. Otwarte konkursy na stanowiska profesora należą do rzadkości. W moim przekonaniu konkurs nie stanowi remedium na merytorycznie uzasadnione obsadzanie stanowisk i nie jest w stanie zastąpić wymagającej, centralnie nadzorowanej habilitacji. Dotyczy to nie tylko ograniczeń formalnych, takich jak ustawowy brak możliwości przeprowadzenia drugiego konkursu w tym samym miejscu zatrudnienia, lecz także samej istoty konkursu. Jego celem jest bowiem wyłonienie kandydata najlepiej spełniającego określone wymagania i oczekiwania w danym miejscu i czasie. Te wymagania powinny być pochodną potrzeb dydaktycznych uczelni (kształcenia specjalistów w określonych obszarach), uwarunkowań otoczenia gospodarczego (na przykład rozwoju regionalnych centrów technologicznych), planów umiędzynarodowienia badań czy merytorycznego profilowania jednostek organizacyjnych uczelni. Ale…

Jeśli wysokość subwencji otrzymywanej przez uczelnię zależy od struktury stanowisk (im większa liczba profesorów, tym wyższe finansowanie), to nie zawsze można oczekiwać, by awansowanie lub zatrudnianie na stanowisko profesora uczelni dotyczyło wyłącznie osób o ponadprzeciętnym dorobku naukowym. Najistotniejsze jest jednak to, że konkurs stanowi sensowne narzędzie wyboru tylko wtedy, gdy istnieje rzeczywista konkurencja, a więc gdy o stanowisko ubiega się wielu mocnych kandydatów, a nie jeden. Wygląda więc na to, że problem mamy nie tylko z habilitacją, ale także z konkursami. Nie oznacza to oczywiście, że konkursy nie mają sensu.

Konkursy, konkursy…

Zacznijmy od konkursów. Powinny one mieć zawsze charakter otwarty, a liczba dobrze wynagradzanych stanowisk profesorskich powinna być limitowana rzeczywistymi potrzebami dydaktycznymi uczelni, uwarunkowaniami otoczenia społeczno-gospodarczego oraz innymi strategicznymi celami rozwojowymi. Zdecydowanie zwiększyłbym konkurencję w obsadzaniu stanowisk profesorskich, tak aby mogły je obejmować wyłącznie osoby najlepsze i to spoza środowiska określanego przez prof. Jemielniaka jako „świat akademickiej pracy pozorowanej, bez jakiegokolwiek wpływu na rozwój nauki".

Po pierwsze, ograniczyłbym liczbę stanowisk profesorskich do rzeczywistych potrzeb kształcenia studentów oraz prowadzenia badań naukowych, przywracając obecnie odwróconą „do góry nogami" piramidę stanowisk (na przykład poprzez odpowiednie zmiany w ministerialnym algorytmie podziału subwencji). Po drugie, wprowadziłbym obowiązek posiadania habilitacji dla osób obejmujących stanowisko profesora uczelni, z przewidzianymi wyjątkami dla naukowców z zagranicy – którym należałoby zapewnić określony czas (np. 12 miesięcy) na przeprowadzenie habilitacji lub przeprowadzenie procedury uznającej ich dorobek za równoważny polskiej habilitacji – oraz w szczególnych przypadkach praktyków przychodzących z przemysłu. Szczerze mówiąc, nie dostrzegam racjonalnego uzasadnienia dla istnienia dwóch równoległych stanowisk: adiunkta i profesora uczelni dla osób bez habilitacji, stanowisk o zbliżonych uprawnieniach i nie do końca jasno zdefiniowanych kryteriach różnicujących.

Innymi słowy, postulowałbym: (1) stworzenie mechanizmu, w którym możliwość ubiegania się o habilitację byłaby oferowana wyłącznie najlepszym, tym, którzy mają realne szanse zwycięstwa w konkursach na limitowaną liczbę stanowisk profesora uczelni; (2) uczynienie stanowiska profesora uczelni elitarnym i prestiżowym, jednoznacznie kojarzonym z wysokim poziomem zarówno prowadzonych badań, jak i dydaktyki (a także godziwym wynagradzaniem, a może nawet przenoszeniem „w stan spoczynku" zamiast standardowej emerytury…), tak aby w konkursach na to stanowisko startowało wielu kandydatów.

Przyznam, że za interesujące uważam rozwiązanie funkcjonujące w Niemczech, zgodnie z którym o stanowisko profesora można aplikować wszędzie tam, gdzie ogłoszono konkurs, z wyjątkiem uczelni, na której kandydat uzyskał stopień doktora habilitowanego. Byłby to realny mechanizm mobilności akademickiej, sprzyjający w szczególności zatrudnianiu najlepszych badaczy w uczelniach, które dopiero aspirują do czołówki. Taki system mógłby przyczynić się do wyrównania szans w dostępie do programów takich jak „Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza", a także w pozyskiwaniu grantów i utalentowanych studentów. No i może jeszcze uwaga dotycząca konkursów w uczelniach niezwiązanych z habilitacją. Szkoda, że tak rzadko uczelnie sięgają do konkursów jako narzędzia do wyłaniania najlepszych kandydatów do pełnienia funkcji dziekanów, dyrektorów etc., którzy po zwycięstwie w konkursie byliby powoływani na te funkcje przez rektora.

Jeżeli zaś chodzi o habilitację: postulując, że warunkiem przystąpienia do konkursu na stanowisko profesora powinna być habilitacja, mam na myśli habilitację o ujednoliconych wymaganiach, nadzorowaną przez organ zewnętrzny (nie tylko poprzez powoływanie recenzentów, ale z możliwością niezatwierdzania decyzji organu habilitującego), który skutecznie przeciwdziała dewaluacji oczekiwań, zwłaszcza – jak zauważa prof. Jemielniak – w systemie „podatnym w wielu miejscach na manipulację".

Po pierwsze dlatego, że habilitacja zapewnia kandydatowi określone uprawnienia. Skoro „naukę robią doktoranci", profesor bez habilitacji nie powinien nas szczególnie interesować, ponieważ nie może on pełnić roli promotora pracy doktorskiej ani nawet jej recenzenta. Ale przede wszystkim dlatego, że habilitacja stanowi (czy też

powinna stanowić) gwarancję wysokiego poziomu naukowego kandydata. Rolą habilitacji jest bowiem potwierdzenie „wniesienia znacznego wkładu w rozwój określonej dyscypliny", a tego nie sposób dokonać bez naukowej dojrzałości, umiejętności formułowania istotnych problemów badawczych, ich rozwiązywania na światowym poziomie, tworzenia kompetentnych zespołów, współpracy oraz prezentowania własnych osiągnięć w szczególności na forum międzynarodowym. Taka habilitacja mogłaby również skuteczniej odróżniać rzeczywisty dorobek naukowy od dorobku „pozorowanego", niemającego realnego znaczenia dla rozwoju nauki.

Istotą habilitacji powinno być formalne potwierdzenie wysokiego poziomu naukowego, rzeczywistego doświadczenia badawczego (w tym tego wszystkiego, o czym powyżej), wreszcie uznania środowiska, czyli uzyskania krajowej i międzynarodowej rozpoznawalności. Przez lata pracy w Niemczech przyzwyczaiłem się, że istotnym potwierdzeniem wniesienia istotnego wkładu w rozwój dyscypliny są zaproszone referaty na cyklicznych konferencjach o zasięgu światowym, organizowanych przez instytucje akademickie, a nie podmioty komercyjne. Jeśli ktoś rzeczywiście wniósł znaczący wkład w rozwój danej dyscypliny, gremia naukowe odpowiedzialne za program takich konferencji powinny to zauważyć. Taka osoba powinna być zapraszana i to nie tylko na konferencje.

I wreszcie: czy oraz co należałoby zmienić w habilitacji? W samej procedurze niewiele albo nic, przynajmniej w świetle przepisów obowiązującej ustawy. Warto jedynie bardziej restrykcyjnie interpretować nie zawsze precyzyjne zapisy (albo je poprawić, ograniczając pole do „twórczych" interpretacji) oraz dostosować merytoryczne oczekiwania i wymagania do standardów obowiązujących w innych krajach Unii Europejskiej (w których habilitacja funkcjonuje). Tak czy inaczej, habilitacja ma być formalnym, ale silnym potwierdzeniem istotnych osiągnięć naukowca. Należy też zauważyć, że mimo istnienia innych możliwości prawnych na wielu polskich uczelniach warunkiem awansu na stanowisko profesora uczelni pozostaje habilitacja i często nawet ona okazuje się niewystarczająca. Moje doświadczenie podpowiada ponadto, że weryfikacja umiejętności dydaktycznych, wciąż praktykowana w Niemczech, ma swoje uzasadnienie, zwłaszcza w czasach, gdy uczelnie konkurują o studentów, a jakość oferowanej dydaktyki nabiera coraz większego znaczenia. Praktykowane w uniwersytetach połączenie nauki z dydaktyką ma głęboki sens. Być może warto również nieco uprościć dokumentację załączaną do wniosku o nadanie stopnia doktora habilitowanego, słusznie bowiem zauważa prof. Jajszczyk, że „proces habilitacyjny pochłania znaczne ilości czasu na czynności administracyjne, odciągając uczonych od pracy naukowej i dydaktycznej".

Wzorce i wartości

Prof. Jemielniak pisze również: „Tymczasem kultura akademicka zmienia się powoli, przez pokolenia, poprzez praktykę, wzorce i wartości. Żadna reforma legislacyjna nie sprawi, że recenzenci zaczną pisać rzetelne, krytyczne recenzje. Żadna ustawa nie zmusi środowiska do nagradzania rzeczywistej doskonałości zamiast pozorów aktywności". To trafna diagnoza. Problem polega jednak na tym, że przestrzeganie owych „wzorców i wartości" musi się opłacać albo przynajmniej nie może opłacać się ich celowe („pragmatyczne") ignorowanie. Stąd z jednej strony potrzeba ich kodyfikacji (jakkolwiek stabilnej, czyli unikanie zbyt częstych zmian), ale z drugiej, ważniejszej strony stworzenie mechanizmu, który pewne nasze zachowania po prostu by wymuszał. To stąd powyższe propozycje ograniczonej liczby stanowisk profesorskich, a zarazem podniesienia ich środowiskowego i ogólnospołecznego prestiżu, i wynikającej z tego elitarności habilitacji (bo niewielu osobom będzie potrzebna), czyli poszukiwanie mechanizmu, który w konsekwencji spowoduje podniesienie poziomu habilitacji.

Tymczasem coraz wyraźniej widoczny jest niepokojący trend zauważony przez prof. Jemielniaka: „galopująca inflacja uprawnień do nadawania stopnia doktora habilitowanego". Habilitacja traci bowiem znaczenie także w sytuacji, gdy zbyt wiele słabych ośrodków uzyskuje prawo jej nadawania. W praktyce uprawnienia te są chyba jedynym realnym sensem prowadzonej co cztery lata ewaluacji dyscyplin naukowych w jednostkach badawczych. Podział subwencji został bowiem na tyle spłaszczony, że lepszy wynik ewaluacji ma dziś niewielkie przełożenie na finansowanie instytucji. Jeśli hierarchiczność uczelni i instytutów, wynikająca z kategorii naukowych nadanych prowadzonym w nich dyscyplinom, rzeczywiście ma odzwierciedlać jakość prowadzonych badań, to przynajmniej ograniczmy uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego wyłącznie do tych jednostek, w których dana dyscyplina posiada kategorię A+ lub A. Natomiast jeśli tak nie jest, to mamy do czynienia z tym samym problemem systemowym. Skoro chcemy naprawić habilitację, między innymi poprzez „mniejszy nacisk na wkład ilościowy, który łatwo poddaje się manipulacji" (jak zauważa prof. Jemielniak), to analogicznie powinniśmy podjąć próbę naprawy systemu ewaluacji dyscyplin i jednostek badawczych – w tej sprawie słyszę bowiem argumenty bardzo podobne, jeśli nie identyczne.

Niezależnie od istnienia habilitacji hierarchiczność w nauce i tak pozostanie,zarówno ze względu na strukturę stanowisk, jak i, w jeszcze większym stopniu, na pełnione funkcje (dziekana, dyrektora i inne), które nadal w największym stopniu determinują pozycję naukowca na polskiej uczelni. Nie podzielam opinii, że „habilitacja zmniejsza uzależnienie pracownika naukowego od władzy rektora i dziekana – feudał co prawda nadal może zwolnić z pracy, ale nie może odebrać niezależnej certyfikacji" (prof. Jemielniak). W rzeczywistości rektor czy dziekan często nie mogą zwolnić pracownika z pracy, co stanowi kolejną słabość polskiego systemu. Jedyną ustawową możliwością jest dwukrotna negatywna ocena okresowa, której na większości uczelni stosunkowo łatwo uniknąć, ponieważ wewnętrzne wymagania konieczne do uzyskania pozytywnej oceny często nie są szczególnie wygórowane. Argumentem za utrzymaniem habilitacji nie jest więc dla mnie istnienie „głęboko zakorzenionej kultury hierarchicznej, w której relacje mistrz–uczeń bywają bardziej feudalne niż partnerskie", na którą wskazuje prof. Jemielniak. Zapisy ustawy – w szczególności silna pozycja rektora – dotyczą bowiem wszystkich pracowników akademickich, zarówno tych bez habilitacji, jak i tych, którzy ją posiadają.

I na koniec: nie twierdzę, że brak habilitacji (jak proponuje prof. Jajszczyk) jest rozwiązaniem fundamentalnie złym. Taki model funkcjonuje bardzo dobrze w warunkach amerykańskich. Jednak realia polskie są zasadniczo odmienne. W Polsce jakość badań naukowych praktycznie nie podlega weryfikacji rynkowej, konkurencja pomiędzy naukowcami i instytucjami badawczymi jest słaba, a system ocen i awansów nie zawsze był budowany w sposób spójny i rygorystyczny. W tych warunkach trudno zakładać, że mechanizmy samoregulacji zadziałają automatycznie. Wydaje się więc – przynajmniej na obecnym etapie – że potrzebne są silne autorytety naukowe, które będą pilnować standardów i porządku. W przeciwnym razie nawet najlepsze idee reform mogą przegrywać z dobrze znaną polską umiejętnością „dostosowywania się" do „litery" reguł, zjawiskiem powszechnym i bynajmniej nieograniczonym do uczelni słabszych, występującym także w instytucjach wiodących i uznanych.

Mobilność hamuje rozwój kariery naukowej?

Spowolnienie rozwoju karier naukowych uczestników międzynarodowej mobilności sugeruje, że system awansów w Polsce nie jest w pełni oparty na zasadach merytokratycznych. Decyzje w tym zakresie są być może podejmowane w większym stopniu na podstawie lokalnych zależności i znajomości, z których wyjeżdżający na pobyty naukowcy zdają się być wykluczeni – piszą w najnowszym raporcie eksperci z Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego.

Jak zauważają autorzy raportu, choć mobilność zawsze była pożądaną aktywnością w społeczności akademickiej, to obecnie, w związku z rosnącą konkurencją, staje się niemal obowiązkowym punktem w karierze naukowej. I to na każdym jej etapie. Pozwala rozwinąć wiedzę, kompetencje, ale także nawiązywać kontakty niezbędne do naukowego rozwoju. Nie bez znaczenia jest także większa dzięki niej widoczność i rozpoznawalność badacza w środowisku międzynarodowym.

Ale mobilność ma też swoje ciemne strony. Czasowe kontrakty powodują, że badacze poświęcają czas na szukanie kolejnego miejsca pracy lub źródła finansowania zamiast angażować się w rozwiązywanie aktualnych problemów naukowych. Realia te powodują, że czasami mobilność nie jest wyborem, ale koniecznością wynikającą z potrzeby zapewnienia sobie finansowania badań i satysfakcjonującego wynagrodzenia – czytamy w raporcie OPI PIB.

Analizując czynniki instytucjonalne i indywidualne, które wpływają na udział w programach mobilności, eksperci szukali odpowiedzi na pytanie, jakie znaczenie ma mobilność akademicka na rozwój kompetencji, aktywność badawczą, sieci współpracy czy tempo awansu naukowego.

Uzyskane przez nas wyniki wskazują, że chociaż na poziomie deklaratywnym w polskim systemie szkolnictwa wyższego i nauki w ostatnim czasie mobilność jest promowana, to działania te mają charakter fasadowy. Dowodzi tego spowolnienie rozwoju karier naukowych uczestników międzynarodowej mobilności – zwracają uwagę autorzy raportu.

Spośród 1458 przepytanych naukowców, którzy nie byli do tej pory beneficjentami programów mobilnościowych, ponad połowa (55%) nigdy nie aplikowała o udział w takich konkursach (u mężczyzn to 57%, u kobiet 53%). Znamienne, że nie garną się do tego młodzi naukowcy, wśród których aż 64% w ogóle nie składało wniosków (u doświadczonych to niespełna połowa). Uwzględniając dziedziny, szczególną niechęć do mobilności wykazują reprezentanci nauk inżynieryjno-technicznych, ścisłych i przyrodniczych (58%), a także nauk medycznych i o zdrowiu oraz rolniczych (57%). W HS nie aplikowała połowa z badanych. Nie ma przy tym szczególnego znaczenia wielkość ośrodka, z którego pochodzą – zarówno w dużych, jak i małych odsetek niepodejmujących wyzwania oscyluje wokół 54–55%. Co ciekawe, przeważająca większość programy takie kojarzy raczej z oferty Narodowego Centrum Nauki (70%) niż Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej (37%), choć to ta druga jest bardziej ukierunkowana na ten cel.

Dlaczego nie aplikują? Co dziesiąty ankietowany deklaruje wprost: to niepotrzebna przerwa w karierze. Jako powód podawana jest także sytuacja osobista (57% wskazań), brak wiedzy o możliwościach finansowania mobilności wyjazdów (44%), prowadzenie badań niewymagających wyjazdu (43%) oraz niewystarczający poziom finansowania pobytu (39%). Pytani o to, czy w najbliższych dwóch latach zgłoszą swój udział w programach tego typu, odpowiadają, że nie mają takiego zamiaru (39%), przy czym u mężczyzn „nie" mówi blisko połowa (47%), u kobiet co trzecia (33%). Chęć wyraża tylko niespełna 1/3 badanych (29%), a myśli o tym 39% młodych naukowców, głównie z dużych ośrodków (32%).

Uczestników badania poproszono także o ocenę dostępnej w Polsce oferty programów mobilnościowych (pobyty krótko– i długoterminowe, możliwość udziału w konferencjach, szkołach letnich czy warsztatach, wyjazdy naukowe). W przypadku doktorantów połowa z doświadczeniem wyjazdowym i 43% bez niego uznała ofertę za wystarczającą. Kiedy adresatami byli naukowcy posiadający co najmniej stopień doktora, proporcje się odwróciły i to „niemobilni" częściej uznawali ofertę za co najmniej wystarczającą (32% vs. 30%). W przypadku starszych stażem podobnie (36% vs. 23%). Jeśli chodzi o ocenę dokumentacji konkursowej, istotnie różnicującym było doświadczenie mobilności. We wszystkich analizowanych elementach (warunki udziału, zasady składania wniosku, formularz, finansowanie, kryteria oceny, rozliczanie), mobilni częściej niż osoby, które nie zakwalifikowały się do wyjazdów, wystawiali wyższe oceny. Wskazano też obszary do poprawy: w NAWA to zasady rozliczania wyjazdu, w NCN kryteria oceny wniosku. W programach finansowanych przez NCN trudności na etapie aplikowania zgłosiło 33% uczestni-



Rys .1 .Powody wyboru ośrodka goszczącego według etapu kariery naukowej .
Adnotacja .Naukowcy mogli zaznaczyć więcej niż jeden powód wyboru ośrodka goszczącego .* $p < 0{,}05$ .Ilustracja z monografii *Mobilność akademicka a kariery naukowców.*

ków (NAWA ponad 20%). Najczęściej wskazywano problemy związane z komunikacją z instytucją wysyłającą oraz ograniczonym czasem na przygotowanie dokumentów.

Kluczowym czynnikiem determinującym wybór ośrodka goszczącego była możliwość współpracy z wybitnymi specjalistami (85% respondentów). To kryterium dominuje we wszystkich grupach wiekowych, ale to młodzi przywiązują do niego większą wagę (86% vs. 77%). Znaczącą rolę odgrywa również renoma instytucji goszczącej (69%) oraz specjalizacja naukowa ośrodka (68%). Dostępność infrastruktury badawczej jest ważna głównie dla młodych naukowców.

Z raportu OPI wynika, że zdecydowana większość pobytów zagranicznych polskich naukowców związana była z prowadzeniem badań naukowych (93%) i podnoszeniem kompetencji badawczych (76%). Przy okazji organizacji takiego wyjazdu najczęściej mierzono się z ustaleniem formalnego statusu w macierzystym podmiocie podczas nieobecności (19%), uzgodnieniem kwestii realizacji obowiązków (14%) oraz uzyskaniem zgody na wyjazd (10%). Jedną z częściej wskazywanych trudności było również dopełnienie formalności związanych z legalizacją pobytu w kraju docelowym (13%). Kobiety częściej niż mężczyźni miały problemy z otrzymaniem zgody na wyjazd (15% vs. 6%). Częściej spotykało to też naukowców z uczelni, którzy w przeciwieństwie do kolegów z instytutów PAN wykonywali, obok naukowych, również obowiązki dydaktyczne.

Uczestnicy programów mobilnościowych najczęściej (65%) wyjeżdżali za granicę w towarzystwie partnera/partnerki i dzieci. Kobiety i młodzi naukowcy częściej wyjeżdżali tylko z osobami, z którymi byli w związku. Na wyjazd tylko z dzieckiem lub dziećmi decydowały się głównie doświadczone badaczki, korzystające z 3-miesięcznych pobytów. Z całymi rodzinami częściej wyjeżdżają mężczyźni, doświadczeni naukowcy, beneficjenci programów NAWA oraz osoby wybierające najkrótsze (trwające do 3 miesięcy) i najdłuższe (ponad półroczne) pobyty. W ich trakcie zmagano się głównie z trudnościami natury materialno-bytowej. Co trzecia osoba doświadczyła problemów z organizacją miejsca zamieszkania. Niewiele rzadziej wskazywano na niewystarczające względem realnych kosztów utrzymania środki finansowe. Problemy nastręczała także organizacja opieki lub edukacji dla dzieci.

Autorzy raportu wskazują, że osoby, które w ośrodku goszczącym spędziły ponad pół roku, wyraźnie częściej deklarowały problemy finansowe związane z wysokością stypendium lub środków na pokrycie kosztów pobytu. W ogóle odsetek badanych, którzy deklarowali, że przyznane im fundusze pokryły całość kosztów pobytu za granicą, wyniósł tylko 41%. Co ciekawe, w tej grupie dominowali młodzi naukowcy. Rzadziej deklarację taką składali badacze HS. Jak sobie wobec tego radzono? Dla ponad połowy główną strategią było korzystanie z oszczędności lub bieżącego wynagrodzenia. Niemal co piąty sięgał po dodatkowe stypendium. Byli też i tacy, którzy musieli sięgać po pożyczki i kredyty!

A co ich czekało po powrocie? Nadrabianie zaległości, rozliczanie wyjazdu, problemy z ponowną adaptacją w macierzystej jednostce.

Działania na rzecz zwiększenia poziomu uczestnictwa polskich naukowców w międzynarodowej mobilności akademickiej powinny obejmować niwelowanie wyzwań związanych z wyjazdami. Trafnie zaprojektowana pomoc powinna wynikać bezpośrednio ze zdiagnozowanych trudności i oczekiwań związanych ze wsparciem ze strony różnych instytucji. Od instytucji wysyłającej naukowcy oczekują wsparcia w zakresie ustalenia ich formalnej sytuacji na czas wyjazdu, realizowania obowiązków administracyjnych, organizacyjnych i naukowo-dydaktycznych na rzecz tego podmiotu oraz radzenia sobie z ponownym dostosowaniem się do warunków pracy w kraju. Instytucje finansujące powinny ich zdaniem wspierać mobilnych naukowców w zakresie formalności i dokumentów projektowych oraz w niwelowaniu trudności związanych z niewystarczającym lub niewypłacanym na czas finansowaniem – wskazują eksperci.

Wato na koniec zapytać o efekty mobilności. Ta kwestia również była przedmiotem zainteresowania autorów badania. Respondenci najczęściej wskazywali, że udział w programie mobilności przyczynił się do rozwinięcia ich wiedzy dziedzinowej (75%, tu głównie przedstawiciele nauk inżynieryjno-przyrodniczych oraz nauk ścisłych i przyrodniczych) oraz podniesienia kompetencji w zakresie stosowania nowych metod i technik badawczych (65%). Z kolei w kontekście nawiązywania współpracy najczęściej referowano takie efekty, jak: rozszerzenie sieci międzynarodowych kontaktów (90%) i podniesienie umiejętności pracy w zespole międzynarodowym (86%).

Jak zaznaczono w raporcie, z otrzymanych danych wynika, że przedstawiciele nauk medycznych, nauk o zdrowiu i nauk rolniczych jako efekt zagranicznych wyjazdów akademickich częściej deklarują rozwój kompetencji z zakresu przygotowywania wniosków grantowych oraz związanych z doskonaleniem warsztatu dydaktycznego niż zgłaszają to humaniści i reprezentanci nauk społecznych oraz naukowcy zajmujący się naukami inżynieryjno-technicznymi oraz naukami ścisłymi i przyrodniczymi. Zaobserwowano jeszcze jedną prawidłowość: na efekt w postaci włączenia się w prace międzynarodowej grupy badawczej wskazują najczęściej badacze z nauk inżynieryjno-technicznych oraz ścisłych i przyrodniczych, nieco rzadziej przedstawiciele nauk medycznych, nauk o zdrowiu i nauk rolniczych, a najrzadziej humaniści i osoby prowadzące prace badawcze w naukach społecznych.

Raport OPI przynosi jeszcze jedną ciekawą konkluzję: tymczasowe zagraniczne wyjazdy akademickie zamiast przyśpieszać awanse naukowców, spowalniają tempo osiągania przez nich kolejnych szczebli kariery średnio o 7,6% czasu w stosunku do osób, które nigdy nie brały udziału w mobilności. Co więcej, bardziej szczegółowe analizy pokazują, że naukowcom z doświadczeniem mobilności uzyskanie stopnia doktora zajmuje około 10% czasu więcej w porównaniu z badaczami niemobilnymi, a stopnia doktora habilitowanego około 26% czasu więcej.

Przy założeniu, że naukowcy, którzy stają się stypendystami agencji finansujących programy i konkursy mobilnościowe, są starannie wybierani na podstawie swoich dotychczasowych osiągnięć naukowych, a w efekcie zagranicznych pobytów dodatkowo rozwijają wiedzę i kompetencje, a także zwiększają produktywność naukową, można by wnioskować, że system awansów naukowych w Polsce nie jest w pełni oparty na zasadach merytokratycznych. Decyzje w tym zakresie są być może podejmowane w większym stopniu na podstawie lokalnych zależności i znajomości, z których mobilni naukowcy – z racji swojego pobytu zagranicznego – mogą być wykluczeni – czytamy w raporcie.

Zdaniem jego twórców, bez transparentnych procedur awansowych i faktycznego uznania doświadczenia zdobytego w ramach mobilności jako atutu w systemie awansu akademickiego, trudno oczekiwać, by naukowcy garnęli się do zagranicznych wyjazdów. W efekcie, ich zdaniem, będzie na tym cierpiał cały system szkolnictwa wyższego i nauki.

Raport *Mobilność akademicka a kariery naukowców* przygotowali: dr Marzena Feldy, dr Anna Łobodzińska, dr Jacek Bieliński, Joanna Mirosław, dr Jolanta Buczek, Bartosz Pawlik. Jest dostępny na stronie internetowej OPI PIB.

Mariusz Karwowski, źródło: OPI

O potrzebie debaty

Robert Traba, profesor nauk społecznych i historyk z Instytutu Studiów Politycznych PAN, dyrektor-założyciel Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie i wieloletni współprzewodniczący Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej, zastanawia się, jak doszło do tego, że wobec wątpliwości dotyczącej publikacji naukowej dr. Grzegorza Rossolińskiego-Liebe zamiast poważnej debaty i recenzji – choćby krytycznych – mamy w kraju szum medialny i walkę na petycje.

Lawina zaczęła przybierać na sile, gdy w połowie listopada Dom Polsko-Niemiecki w Berlinie postanowił zaprezentować książkę dr. Grzegorza Rossolińskiego-Liebe *Polnische Bürgemeister und der Holokaust. Besatzung, Verwaltung und Kollaboration* (*Polscy burmistrzowie i Holokaust. Okupacja, administracja i kolaboracja*). Po interwencji polskiej ambasady wycofano się z tego pomysłu. Później było już tylko gorzej. Z jednej strony pojawiły się oskarżenia o polską polityczną cenzurę, z drugiej o niemieckie szkalowanie społeczeństwa polskiego o współudział w zbrodni Holokaustu. Na koniec powstał rodzaj petycji, apel zatytułowany: *List otwarty dotyczący stygmatyzacji polskich ofiar niemieckiego nazistowskiego reżimu i bezczeszczenia pamięci żydowskich ofiar holokaustu*, przygotowany przez warszawską Fundację Kulskich. Jego treść została zamieszczona na oficjalnej stronie Polskiej Akademii Nauk. Ja sam stałem się obiektem szantażu moralnego. Skoro jestem historykiem w PAN, to taki protest powinienem podpisać, a jeżeli nie podpisuję, to wytłumaczyć się publicznie ze swojej decyzji. Absurd sięgnął zenitu!



Przez półtora roku książka Grzegorza Rossolińskiego-Liebe o polskich burmistrzach w Generalnym Gubernatorstwie, mimo że była w otwartym dostępie, nie doczekała się dyskusji. IPN kazał ją przetłumaczyć, następnie powstała najpierw ekspertyza, a potem bardzo krytyczna recenzja autorstwa dr. Damiana Sitkiewicza. Na koniec część środowiska (również dobrzy historycy) dostali wzmożenia obrony polskości przed jedną książką, która rzekomo nie tylko narusza prawdę historyczną, ale też szkaluje godność Polaków, i podpisali wspomniany protest. Sygnowało go ponad 150 osób. Scenariusz działania przypominał historię *Dalej jest tylko noc* (2018) pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego, kiedy IPN powołał quasi grupę śledczą, by udowodnić szkalowanie narodu polskiego. Pojedyncze osoby zaczęły skarżać autorów o naruszenie godności.

Nie wykluczam, że Rossoliński-Liebe się myli, popełnia błędy, może jest tendencyjny, bo zbyt szablonowo (co znam z wcześniejszych publikacji) traktuje kolaborację, nie odróżniając jej np. od funkcjonalnej współpracy (Dieter Pohl) na terenach okupowanych. Tylko gdzie jest naukowa riposta? Publiczna debata? Zwyczajna debata naukowców, którzy znają temat? Dlaczego, skoro temat był i jest tak ważny, tak długo leżał badawczym odłogiem? Jak to się dzieje, że dr Damian Sitkiewicz, historyk z IPN – sądząc po publikacjach – z niewielkim doświadczeniem badawczym (wcześniej Instytut Pileckiego, doktorat w Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach w grudniu 2024) staje się aż takim autorytetem, że wyznacza standard polskiej historiografii w odniesieniu do badań nad Holokaustem i niemiecką okupacją? Naprawdę nikt więcej tym tematem się nie zajmuje?

Gdy przed laty Grzegorz Ossoliński-Liebe napisał krytyczną biografię Stepana Bandery, to większość tzw. środowiska historycznego cieszyła się, że wreszcie ktoś dał odpór „ukraińskiemu nacjonalizmowi". Fragmenty książki z lubością cytowane były na prawicowych portalach. Przy okazji wytykano polityczne traktowanie historii w Ukrainie (i słusznie), bo Rossoliński-Liebe stał się persona non grata u naszego wschodniego sąsiada.

A teraz co? Czy za pomocą petycji chcemy uprawiać historię? Kto z sygnatariuszy petycji przeciw książce zna niemiecki? Kto przeczytał ponad tysiącstustronicową (!) książkę i z pełną odpowiedzialnością może powiedzieć, że jest ona antypolskim paszkwilem? Na jakiej naukowej podstawie PAN umieszcza na swojej stronie list otwarty Fundacji Kulskich? Czy zasięgnięto opinii kompetentnych badaczy, np. z Instytutu Historii PAN, Instytutu Filozofii i Socjologii PAN czy Instytutu Studiów Politycznych PAN? PAN nie jest monolitem. Składa się z kilkudziesięciu samodzielnych instytutów. Czyżbyśmy ze standardów naukowej krytyki przechodzili na konkurencję emocji i petycji? Na koniec szantaż w jednej z lokalnych gazet, która zażądała ode mnie wytłumaczenia się, z jakiego powodu nie podpisałem petycji. W domyśle była sugestia, że skoro jestem historykiem, to mam moralny obowiązek to zrobić. Otóż nie.

W 2016 roku wspólnie z prof. Anną Wolff-Powęską i dr Katarzyną Woniak wydaliśmy książkę *Fikcyjna rzeczywistość. Codzienność, światy przeżywane i pamięć niemieckiej okupacji w Polsce* (Warszawa – Berlin: ISP PAN i CBH PAN). Była ona pokłosiem całodziennego sympozjum na XIX Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Szczecinie w roku 2014. Mój artykuł wprowadzający *O potrzebie nowych badań nad niemiecką okupacją w Polsce w czasie II wojny światowej* ukazał się także w czasopismach po polsku i niemiecku. Postulowaliśmy m.in. właśnie większe pochylenia się nad badaniami nie tyle działań wojskowych, partyzanckich, co życia codziennego, postaw społeczeństwa polskiego, które tak trafnie wyraził Kazimierz Wyka tytułem swojej książki *Życie na niby*, i które prekursorsko już w latach 70. badali i opisywali tacy historycy jak Czesław Madajczyk, Czesław Łuczak czy Tomasz Szarota.

Po dekadzie od czasu wydania *Fikcyjnej rzeczywistości*. . ., oprócz intensywnych badań wokół problematyki Zagłady, nasze postulaty pozostają aktualne. W 2014 roku dorobek IPN-u w dziedzinie badań nad codziennością okupacji był niewielki. Potem był wielki inaczej, bo zamiast badaniami Instytut bardziej zajmował się pseudo prawnymi ustaleniami mającymi niby chronić Polaków przed szkalowaniami. Wsparcie Instytutu Pileckiego niewiele pomogło. Postulowaliśmy przed 10 laty, by w Polsce powstał Międzynarodowy Ośrodek Badań nad Okupacjami. Żaden demokratyczny kraj w Europie nie ma tak dramatycznych doświadczeń wojennych jak Polska. Być może mamy też jedną z najbogatszych baz źródłowych. Gdyby powstał taki ośrodek, z pewnością mielibyśmy już niezły krytyczny dorobek badawczy. Powstałby on nie w oparciu o „historię życzeniową" czy – jak pisał profesor Krzysztof Pomian – „historię urzędniczą", lecz rzetelne, wielostronne badania. Na pewno byłyby lepsze niż apele i petycje. Tym bardziej, że właśnie z Niemcami mamy znakomitą tradycję dyskusji na najtrudniejsze tematy od lat 70., od czasów powstania Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej Historyków i Geografów. Tyle, że dialog przestał być w cenie. Wbrew sceptykom uważam, że książka Rossolińskiego-Liebe może być dobrym impulsem do krytycznej debaty, tym bardziej, że jej echa pojawiają się zarówno na portalach internetowych, jak w mediach głównego nurtu w Polsce i w Niemczech.

Najwyższa subwencja przekroczyła 1,5 mld zł

W ustawie budżetowej na 2025 rok szkolnictwo wyższe i naukę przeznaczono 42,5 mld zł. Nietrudno się domyślić, że największa część środków na subwencje na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego oraz potencjału badawczego – tak brzmi pełna nazwa tej metody i celu finansowania budżetowego instytucji naukowych – trafiła do dyspozycji ministra nauki. Przez cały rok 2025 opublikował on 18 komunikatów dotyczących podziału i zwiększeń subwencji, z czego 7 dotyczy naliczenia i podziału, w tym jeden – przyznania subwencji dwóm instytutom po raz pierwszy, a 11 zwiększeń subwencji. Jednak sprawa nie jest taka prosta.

Zawiłości naliczeń i komunikatów

Aż trzy komunikaty dotyczą uczelni związanych z konkursem Inicjatywa Doskonałości Uczelnia Badawcza, a dwa z nich – zwiększeń subwencji dziesięciu uczelni, które uczestniczyły w konkursie IDUB i jedenastu uczelni, które spełniają obecnie kryteria udziału w tym konkursie (które w międzyczasie uległy zmianie). W tych dwóch komunikatach chodzi o dodatek do subwencji na rok 2025 w wysokości 2% subwencji z 2019 roku. Uwzględnione są w nich nie tylko uczelnie podległe MNiSW, ale także innym resortom. Tymczasem w komunikacie MNiSW o subwencji dla laureatek konkursu Inicjatywa Doskonałości Uczelnia Badawcza mowa jest o dziewięciu uczelniach podległych MNiSW, nie uwzględnia on bowiem Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, podległego Ministerstwu Zdrowia, którego subwencja podstawowa ze zwiększeniem wyniosła w 2025 r. niecałe 290 mln zł. Nawiasem mówiąc, po zmianie warunków udziału w konkursie IDUB nie będzie on mógł w nim uczestniczyć, niezależnie od oceny realizacji aktualnego programu IDUB. Ta sytuacja ułatwi zadanie MNiSW, bo przed kolejnym konkursem do odrzucenia z obecnych 10 laureatek zostanie tylko jedna uczelnia, o ile nie zostaną zmienione warunki rywalizacji (o co walczy aktualna dziesiątka zwycięzców pierwszego konkursu).

I jeszcze jedna zawiłość: o ile uczelnie, które spełniały w 2019 roku lub spełniają obecnie kryteria udziału w konkursie IDUB, mają osobno naliczone subwencje na rok 2025, a osobno dodatki w wysokości 2% subwencji z 2019 roku, które to dodatki nie wchodzą do podstawy naliczania subwencji na kolejny rok, o tyle laureatki IDUB mają ów 10-procentowy dodatek, liczony od subwencji z 2019 roku, wypłacony na podstawie umowy i nie ma go w komunikatach o subwencjach. Nie będzie on brany pod uwagę przy naliczaniu wysokości subwencji na kolejny rok. Jedynie kwoty wskazane 7 komunikatami o naliczeniu subwencji zostaną wzięte pod uwagę oraz kwoty zwiększeń subwencji określone w komunikacie z 25 lutego 2025 będą brane pod uwagę przy naliczaniu subwencji na rok 2026. To był pierwszy ubiegłoroczny komunikat MNiSW dotyczący subwencji. Zwiększył on wysokość środków finansowych przeznaczonych z budżetu państwa dla podlegających Ministerstwu Nauki uczelni publicznych i prowadzonych przez związki wyznaniowe z przeznaczeniem na podwyżki wynagrodzeń o 3%. Zauważmy, że w tym komunikacie nie przyznano środków na podwyżki dla pracowników instytutów badawczych, instytutów PAN, dla uczelni niepublicznych i Polskiej Akademii Umiejętności. Te trzy grupy instytucji – a łącznie jest ich 160 – otrzymują subwencje jedynie na utrzymanie potencjału badawczego.

Algorytmy i tunele

Choć to algorytm, a właściwie grupa algorytmów – zresztą o odmiennych parametrach i wagach, zależnie od typu instytucji naukowej – są podstawą naliczania subwencji, to ta czynność nie rządzi się jedynie algorytmem. Jego działanie jest ograniczone tzw. tunelem, czyli ograniczeniem działania algorytmu. Jest ono ograniczone od dołu odsetkiem subwencji z poprzedniego roku, poniżej którego nie może spaść subwencja liczona na dany rok, i od góry – odsetkiem subwencji ubiegłorocznej, powyżej którego nie może być naliczona subwencja aktualna. Jedni tracą – ci, których subwencja wedle bezwzględnego algorytmu byłaby wyższa od górnej granicy tunelu, drudzy zyskują – ci, których subwencja wedle algorytmu byłaby niższa niż dolna granica tunelu. Ów tunel został określony rozporządzeniu ministra nauki z 29 kwietnia 2025 roku. Dla uczelni publicznych – z wyjątkiem dziewięciu laureatek konkursu IDUB – wynosi 100-105%, a dla instytutów PAN 100-110%. W tym drugim przypadku, jeśli instytut nie posiada kategorii naukowej lub posiada kategorię C, subwencja na rok 2025 nie mogła być wyższa niż ubiegłoroczna. W przypadku instytutów badawczych tunel wynosi 95-110%. Jest zatem znacznie szerszy niż ten, który obowiązuje przy naliczaniu subwencji uczelniom publicznym i jednostkom PAN. Kilka instytucji potraktowano specjalnie, tj. do naliczania subwencji nie zastosowano typowych algorytmów, chodzi o Polską Akademię Umiejętności oraz dwa nowe instytuty badawcze: Państwowy Instytut Medyczny MSWiA i Instytut Badawczy IDEAS. O ile subwencje naliczane są zasadniczo według algorytmu opisanego w rozporządzeniu ministra nauki, o tyle zupełnie innymi zasadami rządzą się wszelkie zwiększenia subwencji. Są one opisane w poszczególnych komunikatach. Już tylko powyższe uwagi pokazują, jak skomplikowane są zasady naliczania i przyznawania subwencji i ich zwiększeń.

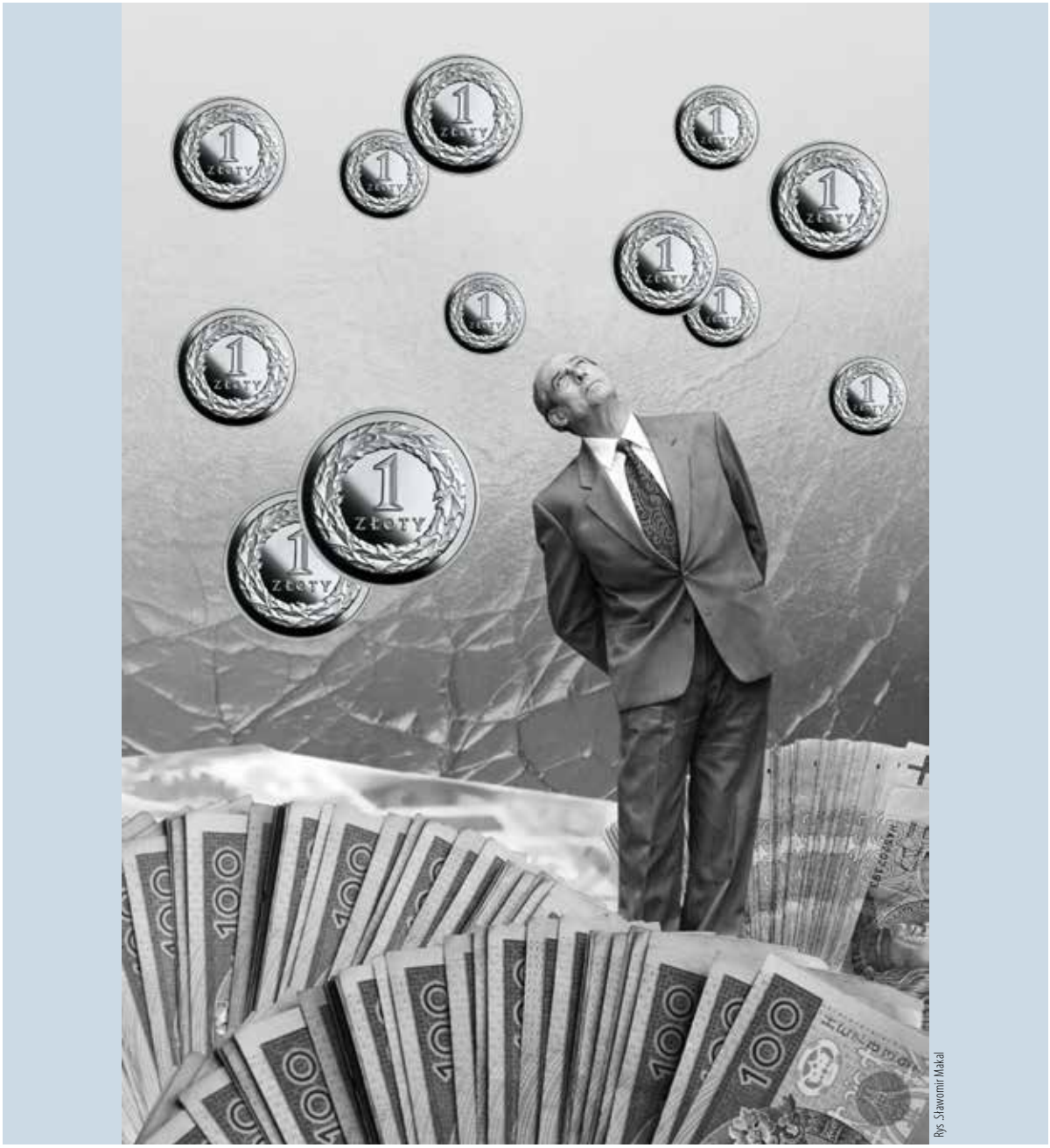
Komu, komu?

W 18 komunikatach na temat subwencji opublikowanych w 2025 roku minister nauki przyznał subwencje, a potem je zwiększał 275 instytucjom naukowym. Są to 264 instytucje podległe MNiSW – z zastrzeżeniami, o których poniżej – i 11 uczelni podległych innym resortom. Należy zauważyć, że także instytuty badawcze w większości nie podlegają ministrowi nauki, podobnie jak instytuty PAN, jednak praktyka naliczania im subwencji przez MNiSW i wypłacania ich z budżetu tego resortu każe traktować je razem z uczelniami nadzorowanymi przez resort nauki. Te pierwsze to: 64 publiczne uczelnie akademickie; 31 publicznych uczelni zawodowych; 27 akademickich uczelni niepublicznych (w ostatnich pięciu latach ich liczba wzrosła o 10, w 2020 roku było ich 17); 5 akademickich uczelni kościelnych i 1 zawodowa uczelnia kościelna (Wyższe Prawosławne Seminarium Duchowne w Warszawie); 67 instytutów PAN i 1 instytut międzynarodowy; 67 – w tym 2 nowe – instytutów badawczych oraz Polska Akademia Umiejętności. Oprócz „starych" instytutów badawczych zaliczam do tej grupy 2 nowo powstałe, czyli Państwowy Instytut Medyczny nadzorowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Instytut Badawczy IDEAS nadzorowany przez ministra cyfryzacji i MON. Informacja o wysokości subwencji dla PAU została podana w komunikacie dotyczącym subwencji dla instytutów badawczych. W gronie pozostałych 11 uczelni, tych którym subwencje naliczają i wypłacają inne resorty, jest 7 podległych ministrowi zdrowia, 1 ministrowi obrony narodowej, 1 ministrowi infrastruktury i 2 ministrowi kultury. Uczelnie podległych innym resortom są w komunikatach o zwiększeniach subwencji z tego powodu, że uczestniczą one w realizacji programów ministra nauki (lub aspirują do tego, jak w przypadku IDUB).

Kwoty i sumy

Komunikaty na temat podstawowej wysokości subwencji dla instytucji nadzorowanych przez MNiSW – w sumie 7 komunikatów – pojawiły się w maju, lipcu i grudniu 2025 roku. Wszystkie kwoty podane w tych komunikatach będą brane pod uwagę przy naliczaniu subwencji na rok 2026. Jako pierwsze 26 maja pojawiły się komunikaty o wysokości subwencji na utrzymanie potencjału badawczego dla: 65 instytutów badawczych i PAU – 416 372 500 zł; 67 instytutów PAN i Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej – 1 148 453 300 oraz dla 27 niepublicznych uczelni akademickich – 18 387 800 zł. Dwa dni później, 28 maja, MNiSW opublikowało komunikaty o subwencjach dla 55 uczelni akademickich (bez laureatek IDUB) i 5 akademickich uczelni kościelnych – 12 141 421 900 zł oraz o subwencjach dla 31 publicznych uczelni zawodowych i 1 zawodowej uczelni kościelnej – 997 001 500 zł. Laureatki IDUB doczekały się komunikatu o naliczeniu swoich subwencji 1 lipca – 7 592 238 800 zł, a 2 wspomniane nowe instytuty dopiero 2 grudnia – 9 232 000 zł. W sumie zatem minister nauki naliczył wskazanym instytucjom naukowym 22 323 307 800 zł subwencji. Od razu trzeba wskazać, że pierwszy, wspomniany już komunikat nt. subwencji ukazał się 25 lutego 2025 r., a opiewał na kwotę 806 703 200 zł. Kwota ta została wyliczona na podstawie funduszy wynagrodzeń tych uczelni z poprzedniego roku, a nie algorytmu. Środki te będą uwzględnione w naliczaniu subwencji na rok 2026, podobnie jak wartości podstawowych subwencji. Łącznie zatem wartość subwencji na rok 2026 dla instytucji, którym nalicza ją MNiSW, wynosi 23 130 011 000 zł.

Zwiększenia subwencji dla 10 uczelni, które uczestniczyły w pierwszym konkursie IDUB – komunikat z 3 kwietnia 2025 r. – mają od 2020 roku tę samą wartość, która nie podlega żadnym rewaloryzacjom, a wynosi 49 083 200 zł. Kolejne 11 uczelni spełnia dziś nowe warunki konkursu IDUB – powinien zostać ogłoszony w 2026 roku i będą one mgły do niego przystąpić – wskutek tego należy im się zwiększenie subwencji o 2% jej wartości z 2019 roku. Komunikatem z 20 maja minister nauki przyznał im 32 829 059,78 zł. Kolejny komunikat z 19 maja dotyczy zwiększenia subwencji dla laureatek konkursu w programie Regionalna Inicjatywa Doskonałości. Do 27 uczelni akademickich, w tym 4 nadzorowanych przez innych ministrów, trafiło 71 447 536,23 zł.



Rys. Sławomir Makal

Minister dwukrotnie – 6 sierpnia i 17 grudnia 2025 r. – ogłosił komunikaty zwiększające subwencję na utrzymanie i rozwój potencjału badawczego instytutów PAN. Faktycznie chodziło głównie o wzrost wynagrodzeń pracowników tych instytucji, bowiem pozostają one daleko w tyle za płacami naukowców w uczelniach publicznych. Pojawiające się od czasu do czasu podwyżki płac w szkołach wyższych nie dotyczą, lub rzadko dotyczą, pracowników placówek PAN. Te dwa komunikaty starają się nieco poprawić sytuację, aczkolwiek doraźnie, bowiem przyznane w nich instytutom kwoty nie będą brane pod uwagę przy naliczaniu subwencji na rok 2026. W pierwszym komunikacie minister przyznał 39 instytutom PAN 35 mln zł, a w drugim 56 instytutom PAN i Międzynarodowemu Instytutowi Biologii Molekularnej i Komórkowej 50 mln zł. Sposób podziału tych środków wzbudzał gorące dyskusje, jak to bywa w sytuacjach niedoborów.

Komunikatem z 30 października minister przyznał 1 mln 50 tys. zł trzem uczelniom (AGH, PG i UEKr), które są liderami projektu w programie Water European Institute of Innovation & Technology Water. Kwoty tych „zwiększeń wysokości subwencji odpowiadają części kosztów jakie poniesione zostały przez uczelnie w związku z przygotowaniem wniosku zakładającego inicjatywę European Institute of Innovation & Technology (EIT) Water z siedzibą główną w Polsce" – czytamy w komunikacie.

W grudniu ponownie sypnęło komunikatami, było ich aż 6. Dwa już omówiłem. W komunikacie z 4 grudnia minister nauki przyznał 200 mln zł 101 uczelniom, w tym 95 publicznym i 6 prowadzonym przez kościoły. Jak czytamy w dokumencie: „Przyznane środki finansowe przeznaczone są na wsparcie uczelni w realizacji zadań w zakresie zwiększenia poziomu bezpieczeństwa osób i mienia w nadzorowanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego podmiotach". Kwoty zwiększeń zostały ustalone w oparciu o proporcje: liczby studentów stacjonarnych i niestacjonarnych w poszczególnych uczelniach, liczby pracowników oraz liczby doktorantów (łącznie z cudzoziemcami) kształcących się w szkołach doktorskich. Maksymalną wartość zwiększenia ustalono na 5 mln zł. Są to dodatki jednorazowe.

Komunikatem z 23 grudnia minister przyznał zwiększenia subwencji o łączną kwotę 20 mln zł nadzorowanym przez siebie 18 uczelniom, w tym 16 akademickim, jednej kościelnej i jednej zawodowej, prowadzącym kierunki lekarski i lekarsko-dentystyczny. Te uczelnie nie są finansowane z budżetu ministra zdrowia. To zwiększenie „ma na celu wsparcie podmiotów prowadzących kształcenie na kierunku lekarskim oraz lekarsko-dentystycznym ze względu na fakt, że należą one do najbardziej kosztochłonnych spośród wszystkich kierunków".

Pod sam koniec roku, 24 grudnia, minister zwiększył subwencje 92 podmiotom, w tym 62 publicznym uczelniom akademickim, 5 uczelniom akademickim prowadzonym przez kościoły, 8 niepublicznym uczelniom akademickim, 15 instytutom PAN i 2 instytutom badawczym. Środki te mają być przeznaczone na „wsparcie podmiotów prowadzących szkoły doktorskie w początkowym okresie ich funkcjonowania w celu zapewnienia wysokiego poziomu kształcenia doktorantów". Łącznie było to 50 mln zł.

I w końcu 29 grudnia minister nauki przyznał zwiększenia subwencji łącznie o 6 350 000 zł czterem publicznym uczelniom technicznym, „które kształcą studentów na kierunkach energetyka jądrowa lub energetyka wodorowa, przy czym wiodącą dyscypliną naukową (w której uzyskiwane są efekty uczenia się w co najmniej 50%) jest dyscyplina: *inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka*".

Łącznie minister nauki przyznał różnym uczelniom w postaci zwiększeń subwencji z przeznaczeniem na różne cele 515 759 796 zł. Laureatki konkursu IDUB dostały na podstawie umów w MNiSW ponad 437 mln zł. Te środki nie będą wliczane do podstawy naznaczania subwencji na rok 2026. Wszystkie subwencje i ich zwiększenia przyznane przez MNiSW w 2025 roku (łącznie z dodatkami IDUB na podstawie umów) miały wartość ponad 24 mld zł.

Najwięksi i najmniejsi

Kilka lat temu raportowałem przekroczenie wartości miliarda złotych przez największe subwencje dla uczelni. W roku 2025 najwyższa subwencja przekroczyła kolejną „barierę" – 1,5 miliarda złotych. Co prawda Uniwersytet Jagielloński nie dostał podstawowej subwencji w tej wysokości, bowiem wyniosła ona 1 434 392 800 zł, ale doliczając do tego zwiększenia, pierwsze na trzyprocentowe podwyżki płac o wartości 54 689 500 – najwyższe zwiększenie przyznane w całym 2025 roku – i kolejne o wartościach: 5 mln zł na bezpieczeństwo, 2 mln zł na kształcenie lekarzy i 4 314 500 zł na szkołę doktorską, subwencja UJ przekroczyła 1,5 mld zł. Należy jeszcze pamiętać, że UJ ma dodatek na podstawie umowy z MNiSW w wyniku konkursu IDUB. Jest to „tylko" nieco ponad 79 mln zł, ale to znaczy, że krakowska Alma Mater zbliża się do 1,6 mld zł subwencji. Jest to historyczny rekord.

Laureatki konkursu IDUB są niemal bezkonkurencyjne pod względem wysokości subwencji. Z pozostałych uczelni akademickich – czyli tych, które mają najwyższe subwencje – tylko Politechnika Wrocławska z subwencją podstawową i zwiększeniem na podwyżki płac, które będą brane pod uwagę przy naliczaniu subwencji na rok 2026 o wartości ponad 872 mln zł wdziera się do tego niewielkiego grona liderów, w którym każda uczelnia ma podstawową subwencję wyższą niż 500 mln zł. Po UJ jest Uniwersytet Warszawski, który z subwencją podstawową (już z dodatkiem IDUB-owym) o wartości 1 271 296 200 zł i jej zwiększeniami przekracza 1,3 mld zł, a nawet zbliża się do 1,4 mld zł. Do miliardowych subwencji (ze wszystkimi zwiększeniami, w tym 10-procentowymi IDUB) powoli zbliżają się już Politechnika Warszawska i Akademia Górniczo-Hutnicza. Do 900 mln zł subwencji podchodzą Politechnika Wrocławska i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza.

Wypada jeszcze wskazać największe subwencje w każdej z grup placówek naukowych. W gronie publicznych uczelni zawodowych była to Akademia Tarnowska z subwencją podstawową w wysokości 73 487 100 mln zł. W gronie niepublicznych uczelni akademickich tradycyjnie nie do pobicia był Uniwersytet SWPS z subwencją w wysokości 6 239 500 zł. Wśród instytutów PAN – krakowski Instytut Fizyki Jądrowej im. H. Niewodniczańskiego z subwencją podstawową w wysokości 81 003 300 zł. W grupie instytutów badawczych na czele pod względem wysokości subwencji jest tradycyjnie Narodowe Centrum Badań Jądrowych z subwencją w wysokości 43 120 400 zł. Od kilku lat liderzy w poszczególnych grupach się nie zmieniają.

Najmniejsze subwencje od ministra nauki otrzymały naprawdę nieduże placówki. Wśród instytutów badawczych jest to Instytut Badań Edukacyjnych (otrzymał tylko 16 300 zł subwencji) oraz Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej (20 600 zł). Wśród niepublicznych uczelni akademickich najmniej dostała Międzynarodowa Wyższa Szkoła Logistyki we Wrocławiu – 74 500 zł. Wśród placówek PAN tradycyjnie – Europejskie Centrum Ekohydrologii, ale to już jest ponad 2 mln zł. W grupie publicznych uczelni zawodowych najmniejszą subwencję miała w 2025 r. Publiczna Uczelnia Zawodowa w Grudziądzu, a w gronie uczelni akademickich – Szkoła Główna Mikołaja Kopernika z 3,8 mln zł.

Subwencje kulturalne

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa narodowego nadzoruje i finansuje działalność 19 uczelni artystycznych. W roku 2025 na subwencje dla nich przeznaczyło 1 051 813 892 zł. Ogłosiło to w 7 komunikatach, w tym 1 dotyczącym wysokości subwencji i 6 dotyczącym zwiększeń subwencji. Wszystkie kwoty przyznane uczelniom w postaci subwencji i jej zwiększeń będą uwzględnione przy naliczaniu subwencji na rok 2026. Podobnie, jak w przypadku MNiSW, pierwszy komunikat (z 31 marca) dotyczył zwiększeń subwencji z przeznaczeniem

na podwyżki wynagrodzeń brutto średnio o 5% w odniesieniu do wykonania wynagrodzeń w tych uczelniach w roku 2023. W przyznanych kwotach uwzględniono również pochodne opłacane przez pracodawców. Podstawowe subwencje przyznane komunikatem z 2 kwietnia mają łączną wartość1 016 037 600 zł. najwyższe subwencje – ponad 70 mln zł – trafiły do uczelni warszawskich: Akademii Sztuk Pięknych (79 mln zł) i Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina (79 mln zł) oraz do Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie (75 mln zł). Najniższe subwencje (poniżej 40 mln zł) otrzymały: Akademia Teatralna w Warszawie (30, 2 mln zł), Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach (34 mln zł) i Akademia Sztuk Teatralnych w Krakowie (36 mln zł). Pomiędzy 40, a 50 mln zł otrzymało 5 uczelni, 50 - 60 mln zł – 5 uczelni, a między 60 a 70 mln zł – 3 uczelnie. Minister kultury w 4 komunikatach przyznał też zwiększenia subwencji na pokrycie kosztów uruchomienia nowych kierunków i specjalności. Trafiły one do: Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach – 210 tys. zł na uruchomienie kierunku arteterapia; Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu – 200 tys. zł na uruchomienie kierunku zarządzanie w sztuce; Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu – 489,3 tys. zł na uruchomienie 4 kierunków: obraz i działania interdyscyplinarne, rysunek, projektowanie interdyscyplinarne i projektowanie ubioru; Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi - 146 150 zł na kierunek reżyseria dźwięku w formach audiowizualnych; Akademii Muzycznej w Katowicach – 460 tys. zł na uruchomienie dwóch nowych specjalności na studiach II stopnia: musical (na wokalistyce wokalistyka) oraz realizacja dźwięku (na kierunku jazz i muzyka estradowa). Ostatnim ubiegłorocznym komunikatem minister kultury rozdysponował 97 400 zł między 7 uczelni. Uczelnie artystyczne otrzymały też dotację na zadania związane z działalnością kulturalną w łącznej wysokości 17 900 000 zł. Najwyższe dotacje otrzymały: warszawskie ASP (1,5 mln zł) i UMFC (1,3 mln zł). Powyżej milina dostało jeszcze 5 innych uczelni. Najniższe dotacje trafiły do ASP w Katowicach (581 400 zł) i AT w Warszawie (543 600 zł).

Subwencje na zdrowie

Minister zdrowia wydał dwa komunikaty dotyczące subwencji dla 9 uczelni medycznych, które nadzoruje. Komunikatem z 25 kwietnia przyznał im 2 864 509 300 zł, z czego 2 2 817 854 600 zł stanowiła subwencja podstawowa, a 46 654 700 zł – zwiększenie subwencji. W przypadku uczelni medycznych tzw. tunel wynosił między 98 a 106 proc. subwencji z roku 2024 (algorytm ten został ostatnio zmieniony i w roku 2026 subwencja będzie naliczana według nowych zasad). Jak się okazało, tylko Gdański Uniwersytet Medyczny spełnił warunki, które pozwoliły na naliczenie subwencji o wartości porównywalnej do tej z 2024 roku, pozostałym ośmiu wyszła subwencja niższa niż ta z 2024 roku. Z tego powodu minister zdrowia przyznał im zwiększenia o wskazanej powyżej wartości. Kwoty te będą brane pod uwagę przy naliczaniu subwencji na rok 2026. W rezultacie najwyższą łączną subwencję otrzymał Warszawski Uniwersytet Medyczny – ponad 424 mln zł. Na kolejnych miejscach znalazły się Uniwersytet Medyczny w Łodzi - 393,6 mln zł i Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach – 374,3 ml zł. Najniższą subwencję tradycyjnie otrzymał Pomorski Uniwersytet Medyczny – 172,5 mln zł.

Pod koniec roku, komunikatem z 19 grudnia minister rozdysponował między „swoje" uczelnie jeszcze 15 921 000 zł. Te zwiększenia miały premiować „uczelnie, które kształcą większy odsetek studentów na studiach stacjonarnych (z wyłączeniem cudzoziemców), a więc w większym stopniu kształcą studentów, których koszty kształcenia pokrywane są z budżetu państwa". Te zwiększenia nie będą uwzględnione w naliczaniu subwencji na rok 2026.

Piotr Kieraciński

Gdy profesor zarabia więcej…

Minimalne miesięczne wynagrodzenie zasadnicze profesora w uczelni publicznej wzrasta od 1 stycznia o około 3%, czyli tyle, ile minimalne krajowe wynagrodzenie za pracę – tak przewiduje projekt rozporządzenia ministra nauki. Z minimalnym wynagrodzeniem profesora skorelowane są wynagrodzenia nauczycieli akademickich i pracowników naukowych PAN oraz inne świadczenia w systemie szkolnictwa wyższego. I to właśnie ich wysokość wymaga dostosowania do zmieniającej się pensji minimalnej profesora tytularnego.

W 2024 r. podstawa wynagrodzenia profesora w uczelni publicznej wynosiła co najmniej 9370 zł. Pensja nauczyciela akademickiego na innym stanowisku nie może być niższa niż 50% tej stawki, przy czym profesor uczelni nie może dostawać mniej niż 83%, zaś adiunkt nie mniej niż 73%. Przy wskazanej powyżej stawce profesorskiej podstawa wynagrodzenia asystenta wynosiła 4685 zł (50% wynagrodzenia profesora), a to mniej niż od stycznia wynosi minimalne wynagrodzenie za pracę, które wzrosło do 4806 zł (+3%). W związku z tym konieczna stała się korekta.

W ministerialnym rozporządzeniu podwyższono zatem, również o około 3%, minimalne wynagrodzenie profesora do 9650 zł (+280 zł), dzięki czemu pensja asystenta nie będzie mogła być niższa niż 4825 zł (co stanowi 50% nowej najniższej stawki profesorskiej i 19 zł więcej niż płaca minimalna). Po planowanej podwyżce podstawowe wynagrodzenie profesora tytularnego nie będzie niższe od 9650 zł (wzrost kwotowy o 280 zł); w przypadku profesora uczelni będzie to 8009,50 zł (wzrost kwotowy o 232,4 zł); adiunkt zarobi nie mniej niż 7044,50 zł (wzrost kwotowy o 204,4 zł); asystent i wykładowca zarobią mnie mniej niż 4825,00 zł (wzrost kwotowy o 140 zł).

Wraz ze wzrostem wynagrodzenia profesora do góry pójdzie też miesięczne stypendium doktoranckie. Przed oceną śródokresową (37% wynagrodzenia profesora) wynosić będzie 3570,50 zł (wzrost z 3466,90 zł), a po ocenie (57%) 5500,50 zł (wzrost z 5340,90 zł).

Oprócz tego wzrosną także wynagrodzenia wypłacane promotorom, recenzentom oraz członkom komisji habilitacyjnych w postępowaniach w zakresie awansu naukowego. W przypadku stopnia doktora wynagrodzenie promotora wzrośnie do 8009,50 zł, promotora pomocniczego do 4825 zł, zaś recenzenta do 2605,50 zł. Jeśli chodzi o stopień doktora habilitowanego to wynagrodzenie przewodniczącego oraz sekretarza komisji habilitacyjnej wzrośnie do 3184,50 zł, członka komisji habilitacyjnej będącego równocześnie recenzentem do 4825 zł, zaś członka komisji bez powierzonych dodatkowych zadań do 1640,50 zł. W postępowaniu w sprawie nadania tytułu profesora wynagrodzenie każdego z 5 recenzentów wzrośnie do 3860 zł.

Projektowane rozporządzenie ma wejść w życie nazajutrz po ogłoszeniu, z mocą od 1 stycznia 2026 roku.

MK

Subwencje 2020–2025

Żeby sprawdzić, czy sytuacja finansowa nauki jest dobra czy zła, czy się poprawia, czy pogarsza, warto zwrócić się do kilku źródeł. Jednym z nich jest porównanie wysokości subwencji w przeszłości, np. w roku 2020 i subwencji z roku 2025. W poniższych tabelach przedstawiamy subwencje kilkunastu wybranych instytucji, naukowych, nadzorowanych i finansowanych przez ministra odpowiedzialnego za naukę i szkolnictwo wyższe w latach 2020 i 2025.

Subwencje w roku 2025 w relacji do subwencji z roku 2020 wybranych losowo instytucji naukowych wahają się one od nieznacznych spadków do ponad stuprocentowych podwyżek. Wyraźnie widać, że najlepiej mają się uczelnie publiczne, gdzie dużych wzrostów jest sporo, często znacznie powyżej skumulowanej inflacji. Al podpowiedziała, że w okresie 2020-2025 znacznie przekroczy ona 50 %, ale jest to informacja szacunkowa, bowiem ostateczne dane za rok 2025 nie są jeszcze znane. Wzrost subwencji instytutów PAN, może poza wyjątkami, jest niższy niż prognozowana skumulowana inflacja w badanych okresie. Najgorsza pod względem wzrostu wysokości subwencji jest sytuacja instytutów badawczych, bowiem w niektórych przypadkach subwencje po prostu maleją. Wzrost subwencji niepublicznych uczelni akademickich jest nieco niższy od przewidywanej skumulowanej inflacji, ale wybija się w tej grupie – i nie tylko tu, ale w ogóle - Uniwersytet SWPS, którego subwencja wzrosła najbardziej ze wszystkich instytucji naukowych, sporo przekraczając w 2025 roku dwukrotność subwencji z roku 2020.

Budżet państwa wzrósł z 504 mld 800 mln zł w roku 2020 do 921 mld 620 mln zł w roku 2025, czyli o 82,6 %. Byłoby dobrze, gdyby nakłady na szkolnictwo wyższe i naukę rosły razem z budżetem państwa, a ponadto stanowiły coraz wyższy odsetek w krajowym PKB. Tymczasem nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe wzrosły w owym okresie z 30,3 mld zł w 2020 roku do 42,5 mld zł z roku 2025, czyli o 40,3 procenta. Myślę, że to poniżej potrzeb - nie tylko nauki, lecz przede wszystkim państwa.

(Opracowanie powstało na podstawie komunikatów ministra nauki. Nie rości sobie pretensji to kompletności, ma charakter poglądowy.)

Opr. Piotr Kieraciński

Nazwa instytucji	Subwencja 2020	Subwencja 2025	Zmiana subwencji kwotowo	Zmiana subwencji procentowo
Uczelnie publiczne				
Uniwersytet Jagielloński	839 514 700	1 489 082 300	+ 649 567 600	+ 77,4 %
Uniwersytet Warszawski	772 475 100	1 325 765 100	+ 553 290 000	+ 71,6 %
Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie	562 060 900	894 714 900	+ 332 654 000	+ 59,2 %
Akademia Pedagogiki Specjalnej	40 529 700	74 478 500	+ 33 948 800	+ 83,8 %
Akademia Pomorska/Uniwersytet Pomorski w Słupsku	46 962 900	84 818 900	+ 37 856 000	+ 80,6 %
Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie	275 003 500	432 523 500	+ 157 520 000	+ 57,3 %
Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	168 316 600	284 862 600	+ 116 546 000	+ 69 %
Politechnika Świętokrzyska	81 813 400	133 110 400	+ 51 297 000	+ 62,7 %
Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II	160 367 700	256 573 900	+ 96 206 200	+ 60 %
Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa/Akademia Nauk Stosowanych w Elblągu	23 459 000	36 646 300	+ 13 187 100	+ 56,2 %
Państwowa Wyższa Szkoła Informatyki i Przedsiębiorczości Akademia Łomżyńska	19 060 200	35 636 900	+ 16 576 700	+ 87 %
Instytuty Polskiej Akademii Nauk				
Instytut Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego w Krakowie	56 991 100	81 003 300	+ 24 249 300	+ 45,8 %
Instytut Badań Literackich	12 249 300	16 448 100	+ 4 198 800	+ 34,3 %
Instytut Geofizyki	15 368 000	19 554 200	+ 4 168 200	+ 27 %
Instytut Matematyczny	17 118 400	23 900 000	+ 6 781 600	+ 39,6 %
Instytut Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego	33 781 800	52 712 100	+ 18 930 300	+ 56 %
Instytut Katalizy i Fizykochemii Powierzchni im. Jerzego Habera	13 361 400	20 505 800	+ 7 144 400	+ 53,4 %
Instytuty badawcze				
Centralny Instytut Ochrony Pracy - PIB	6 343 200	8 343 600	+ 2 000 400	+ 31,5 %
Instytut Badawczy Leśnictwa	5 656 900	7 440 700	+ 1 783 800	+ 31,5 %
Narodowe Centrum Badań Jądrowych	43 952 100	43 120 400	- 831 700	- 2 %
Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych	17 648 400	16 654 700	- 993 700	- 5,6 %
Państwowy Instytut Weterynaryjny - PIB	12 860 200	14 710 800	+ 1 850 600	+ 14,4 %
Ośrodek Przetwarzania Informacji - PIB	5 231 200	6 880,8	+ 1 649 600	+ 31,5 %
Niepubliczne uczelnie akademickie				
Uniwersytet SWPS	2 808 100	6 239 500	+ 3 414 400	+ 121 %
Uczelnia Łazarskiego	348 600	520 700	+ 172 100	+ 49,4 %
Polsko-Japońska Akademia Technik Komputerowych	785 800	1 216 700	+ 430900	+ 54,8 %

Medalowa zima

Podczas drugich Akademickich Mistrzostwach Europy w sportach zimowych, rozegranych w dniach 15–18 grudnia 2025 roku w Val di Zoldo we Włoszech, polska ekipa zdobyła 19 medali (7 złotych, 4 srebrne, 8 brązowych), wygrywając klasyfikację medalową. W zawodach uczestniczyło 315 osób z 16 państw i 56 uczelni. Blisko 70-osobowa ekipa z Polski składała się ze studentów UJ Kraków, SGH Warszawa, UW Warszawa, PWr Wrocław, AGH Kraków, AWF Katowice, AWF Warszawa, UŚ Katowice, PW Warszawa i SUM Katowice. Rywalizowano w trzech dyscyplinach: narciarstwie alpejskim, snowboardzie i siatkówce na śniegu.

Już pierwszy dzień zmagań przyniósł Polsce 7 medali. Narciarki Maja Chyla (UJ Kraków) i Patrycja Florek (AWF Katowice) zdobyły odpowiednio złoty i brązowy medal w gigancie. M. Chyla poprawiła swój wynik sprzed dwóch lat, gdy w gigancie zdobyła srebro.

– W tym roku medal jest dla mnie większą niespodzianką, bo konkurencja była większa. Nawet pokonanie dziewczyn z Polski było wyzwaniem. W drugim swoim przejeździe bardziej zaatakowałam i może to mi dało wygraną, bo po pierwszym przejeździe byłam trzecia. W porównaniu do AME sprzed dwóch lat mamy bardzo mocną ekipę, bo są tu zawodniczki, które jeździły do niedawna w kadrze – powiedziała Maja Chyla, która do swojego dorobku dołożyła też brąz w slalomie.

Polscy snowboardziści zdobyli 13 z 15 medali przyznanych w tej dyscyplinie. Wśród kobiet w gigancie zwyciężyła uczestniczka zimowej uniwersjady Olga Kaciczak (UJ Kraków), a trzecia była Zuzanna Sokalska (PWr Wrocław). Obie zawodniczki powtórzyły swoje lokaty dzień później w slalomie gigancie równoległym. W zmaganiach panów spokojnie można by zorganizować nieoficjalne Akademickie Mistrzostwa Polski. Złoty medal po dwóch przejazdach zdobył Michał Lachowicz (UW Warszawa), nieznacznie wyprzedzając Bartłomieja Kaciczaka (AGH Kraków). Trzeci był Gabriel Seroczyński (UW Warszawa). W slalomie gigancie równoległym kolejne złoto dla rodzeństwa wywalczył Bartłomiej Kaciczak, który w finale pokonał Seroczyńskiego. Drużynowo w gigancie równoległym złoto zdobyła Politechnika Warszawska (Zofia Całka i Konstanty Jonak).

– Rywalizacja była bardzo przyjemna i świetnie się bawiłam. Pierwszego dnia pogoda nam sprzyjała, natomiast w środę spadł deszcz i było zdecydowanie chłodniej. Oba dni rywalizacji stały na bardzo podobnym poziomie, co potwierdzają zbliżone miejsca medalowe. Faktycznie koledzy walczyli głównie we własnym gronie i wśród kobiet też widoczna była przewaga Polek, ale nie zabrakło zawodniczek z Niemiec, Włoch, Ukrainy czy Turcji – oceniła snowboardzistka Olga Kaciczak, zdobywczyni dwóch złotych medali.

Przez trzy dni na dwóch boiskach rozgrywany był turniej siatkówki na śniegu. Złoty medal zdobyły studentki Uniwersytetu Warszawskiego (Julia Jaroszczak, Patrycja Jundziłł, Martyna Wiśniewska, Maja Kruczek), które w finale pokonały 2:0 Uniwersytet Wiedeński. Polki w całych mistrzostwach nie straciły nawet seta. Ich koledzy z UW (Szymon Beta, Aleksander Czachorowski, Tomasz Jaroszczak, Michał Korycki) zdobyli srebro, przegrywając w finale z Uniwersytetem w Klagenfurcie. Na koniec trzeciego dnia z brązowego medalu w drużynowym gigancie cieszyła się reprezentacja Uniwersytetu Warszawskiego w narciarstwie alpejskim.

Tym samym przedstawiciele polskich uczelni prócz siedmiu złotych krążków wywalczyli we Włoszech także cztery srebra i siedem brązów. Podczas wszystkich 17 imprez z cyklu Akademickich Mistrzostw Europy rozgrywanych w 2025 roku studenci z Polski zdobyli aż 92 medale: 25 złotych, 29 srebrnych i 38 brązowych. Tym samym zajęli drugie miejsce w klasyfikacji łącznej, ulegając tylko Turcji jednym złotym krążkiem. Przypomnijmy, że trzy wydarzenia rangi Akademickich Mistrzostw Europy rozgrywane były w Polsce: biegi na orientację w Łodzi, sporty walki w Warszawie i wioślarstwo w Bydgoszczy.

(opr. pasja.azs.pl, fot. EUSA)



Materiał powstał we współpracy z Akademickim Związkiem Sportowym







AKADEMICKIE MISTRZOSTWA EUROPY 2025 W SPORTACH ZIMOWYCH:

Klasyfikacja medalowa – uczelnie

1. Uniwersytet Jagielloński (3-0-1)
2. Uniwersytet Warszawski (2-3-4)
3. Uniwersytet w Innsbrucku (AUT) (1-2-0)
4. Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie (1-1-0)
6. Politechnika Warszawska (1-0-0)
12. Politechnika Wrocławska (0-0-2)
13. Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach (0-0-1)

Klasyfikacja medalowa – państwa

1. Polska 19 (7-4-8)
2. Austria 7 (4-3-0)
3. Niemcy 4 (1-0-3)

Polscy medaliści:

Złoto: Olga Kaciczak (UJ Kraków): snowboard – slalom gigant równoległy, slalom gigant; Maja Chyla (UJ Kraków): narciarstwo alpejskie – slalom gigant; Bartłomiej Kaciczak (AGH Kraków): snowboard – slalom gigant równoległy; Michał Lachowicz (UW Warszawa): snowboard – slalom gigant; Politechnika Warszawska 1 (Zofia Całka, Konstanty Jonak): snowboard – drużynowy slalom gigant; Uniwersytet Warszawski (Julia Jaroszczak, Patrycja Jundziłł, Martyna Wiśniewska, Maja Kruczek): siatkówka na śniegu

Srebro: Bartłomiej Kaciczak (AGH Kraków): snowboard – slalom gigant; Gabriel Seroczyński (UW Warszawa): snowboard – slalom gigant równoległy; Uniwersytet Warszawski 2 (Zuzanna Milczarska, Michał Lachowicz): snowboard – drużynowy slalom gigant; Uniwersytet Warszawski (Szymon Beta, Aleksander Czachorowski, Tomasz Jaroszczak, Michał Korycki): siatkówka na śniegu mężczyzn

Brąz: Patrycja Florek (AWF Katowice): narciarstwo alpejskie – slalom gigant; Gabriel Seroczyński (UW Warszawa): snowboard – slalom gigant; Zuzanna Sokolska (PWr Wrocław): snowboard – slalom gigant, slalom gigant równoległy; Michał Lachowicz (UW Warszawa): snowboard – slalom gigant równoległy; Maja Chyla (UJ Kraków): narciarstwo alpejskie – slalom; Uniwersytet Warszawski 1 (Klaudia Nowak, Gabriel Seroczyński): snowboard – drużynowy slalom gigant; Uniwersytet Warszawski (Mikołaj Sosnowski, Karolina Dębicka, Maja Woźniczka, Bartosz Dajda) – narciarstwo alpejskie drużynowe





Rozmowa z mgr. inż. Rafałem Ramutem ze Szkoły Doktorskiej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, który od stycznia przewodniczy Krajowej Reprezentacji Doktorantów.

Doktoranckie priorytety

Nie każdy doktorant zostanie w nauce, część wybierze zatrudnienie w przemyśle czy biznesie .Warto ich wyposażyć w różne, przekrojowe kompetencje, w tym umiejętności przywódcze, po to, by byli liderami nie tylko naukowymi, ale i w innych obszarach .Jednym słowem, by mogli się realizować na każdej płaszczyźnie .

Środowisko doktorantów jest podzielone?

Nie nazwałbym tego podziałem, choć niewątpliwie stoi przede mną, jako przewodniczącym KRD, wyzwanie odnalezienia jednej perspektywy na sprawy doktoranckie. Nasze środowisko jest różnorodne, ale przyświecają nam te same cele i sądzę, że kiedy emocje powyborcze już na dobre opadną, znajdziemy wspólny język. Tym bardziej, że tę kadencję chcę zacząć od ściślejszej współpracy tak z porozumieniami lokalnymi, jak i branżowymi. Jestem przekonany, że wszyscy, nawet osoby, które nie oddały na mnie głosu, będą mogły po moich działaniach zobaczyć, że funkcję tę postrzegam jako misję i realnie spełniam złożone obietnice. Będę też otwarty na konstruktywny dialog.

Skąd się więc wzięły tak ostre reakcje po pana wyborze?

Podczas kampanii konfrontują się różne wizje i perspektywy działania KRD. Całą swoją kampanię budowałem na haśle „Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość", bo zależy mi na pielęgnowaniu tego, co dotychczas było dobre. Jednocześnie patrzę przed siebie. Nie chcę realizować wyłącznie swojego programu, pozostaję otwarty również na inne postulaty środowiskowe, w tym moich kontrkandydatów. Myślę, że to dobry punkt wyjścia do współpracy. Oczywiście nie oznacza to, że nie chcę wyciągać wniosków z błędów, które zostały wcześniej popełnione.

Pogodzenie tych różnych ścierających się frakcji to trudne zadanie. Podoła pan?

Żadne środowisko, nie tylko doktoranckie, nie jest jednolite, w każdym zderzają się różne koncepcje działania. Ostatnie wybory były pewnym novum. Przez dwa ubiegłe lata mieliśmy do czynienia w zasadzie z plebiscytem „za" lub „przeciw" jednemu przedstawionemu programowi. Tym razem głosujący mogli realnie wybierać między różnymi wizjami swojej reprezentacji. Chciałbym jednak podkreślić, że Krajowej Reprezentacji Doktorantów nie tworzy jedynie przewodniczący. Działam ze swoim Zarządem. Podczas kampanii odbywałem spotkania z doktorantami w różnych zakątkach Polski (i nie tylko). W efekcie tych rozmów modyfikowałem również swój program, by jak najbardziej dopasować się do potrzeb środowiska. Jak wspomniałem, funkcję przewodniczącego postrzegam głównie jako misję i jestem świadom odpowiedzialności, jaka ciąży na mnie i na moim zespole.

Co pana skłoniło do kandydowania w wyborach na przewodniczącego KRD?

Uznałem, że jestem już gotowy do tego, by wystartować i realizować konstruktywną wizję silnego środowiska doktoranckiego. Mam naturalną zdolność do nawiązywania kontaktów, rozmowa z ludźmi sprawia mi prawdziwą przyjemność, umiem słuchać. O tym, jak ważne jest słuchanie innych, przekonałem się w trakcie kampanii. Funkcjonujemy na różnych uczelniach, mierzymy się na co dzień z różnymi problemami, ale nic tak nie przemawia do ludzi, jak to, że ktoś do nich przyjedzie i chce ich wysłuchać.

Co pan na tych spotkaniach obiecywał?

Mój program oparłem na trzech głównych filarach: nauka, umiędzynarodowienie i rozwój osobisty. Nauka jest dla mnie najważniejsza, ale jeśli mamy ją robić dobrze, to niezbędne są też wsparcie i prawa doktorantów. Chodzi o to, by zapewnić wszystkim równy start, niezależnie od ścieżki, którą obrali: tradycyjnej bądź wdrożeniowej.

Realizację którego z postulatów postawił pan sobie za punkt honoru?

Wszystkie są dla mnie ważne, bo razem tworzą spójną całość. Niemniej chciałbym wyróżnić program „Beyond the PhD". Podobny, pod inną nazwą, realizowałem wraz z samorządem doktorantów na swojej uczelni, czyli Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu. W mikroskali sprawdził się znakomicie, dlatego pomyślałem, żeby przenieść ten pomysł na grunt ogólnopolski, poszerzyć go i udoskonalić. Program będzie składał się z czterech ścieżek rozwoju: postdokowej, akademickiej, przemysłowej oraz klinicznej, która zaadresowana jest do doktorantów nauk medycznych, lekarzy. Warto podkreślić, że w programie mogą wziąć udział także doktoranci różnych ścieżek i miejsc kształcenia, w tym z instytutów Polskiej Akademii Nauk.

Dlaczego ta inicjatywa jest dla pana tak istotna?

Każdy, poszukując pracy, staje przed wyzwaniem stworzenia swojego CV. Obecnie w pierwszych etapach rekrutacji często wykorzystuje się algorytmy sztucznej inteligencji. Wielu doktorantów nie jest przygotowanych na te zmiany. Przyjście im z pomocą uważam więc za potrzebne. Nie każdy doktorant zostanie w nauce, część wybierze zatrudnienie w przemyśle czy biz-

nesie. Warto ich wyposażyć w różne, przekrojowe kompetencje, w tym umiejętności przywódcze, po to, by byli liderami nie tylko naukowymi, ale i w innych obszarach. Jednym słowem, by mogli się realizować na każdej płaszczyźnie. Będziemy także prowadzić szkolenia i warsztaty, także w języku angielskim, bo – jak wspomniałem – stawiam też na umiędzynarodowienie. Doktorantów zagranicznych jest coraz więcej, chcemy wychodzić naprzeciw ich oczekiwaniom, rozwiązywać ich problemy, stąd inkluzywny charakter tego programu, w którym naprawdę będzie mógł wziąć udział każdy doktorant.

Co jeszcze znalazło się w pana ofercie zaproponowanej doktorantom?

W pierwszym miesiącu skupimy się na strategii wdrażania postulatów środowiska doktoranckiego. Chciałbym w miarę szybko, w porozumieniu ze środowiskiem, stworzyć dokument programowy z najważniejszymi, aktualnymi postulatami. Jest dla mnie szczególnie ważne, żeby ich realizowanie miało wymiar systemowy i przemyślany. Jednym z priorytetów jest chociażby kwestia zawieszenia kształcenia. Obecnie mamy do tego dwie przesłanki: ustawową i regulaminową, z której jednostki prowadzące kształcenie w szkole doktorskiej mogą korzystać w ramach swojej autonomii. Niestety, bardzo często rozwiązanie takie nie odpowiada potrzebom doktorantów, np. w przypadku wystąpienia u nich długotrwałej choroby. Projekt ustawy w tym zakresie jest już procedowany i będziemy pilnować, by został doprowadzony do końca. Podobnie jak ustawowe umocowanie Rzecznika Praw Doktoranta.

A co z postulatem, by status doktoranta obowiązywał aż do obrony rozprawy doktorskiej, a nie – jak teraz – tylko do jej złożenia? Będzie pan lobbował w tej sprawie?

Zdecydowanie tak. Warto zaznaczyć, że chodzi tu o zachowanie niektórych uprawnień doktoranckich, istotnych również w toku trwającego postępowania awansowego. Jest to kwestia podnoszona przez KRD już od pewnego czasu. Zwracam uwagę na jeszcze jeden postulat: uwzględnianie stypendium doktoranckiego jako dochodu przy ocenie zdolności kredytowej. W tej chwili, nawet po ocenie śródokresowej, nie mogę kupić oficjalnie telefonu na raty, nie mówiąc już o zaciągnięciu kredytu mieszkaniowego. To czyste kuriozum. Ta sprawa też jest na liście moich priorytetów.

Jest szansa na podwyższenie wysokości stypendiów doktoranckich?

Ten postulat jest przedmiotem rozmów i działań KRD od kilku lat, bodajże już od kadencji mgr. inż. Michała Klimczyka. Przed oceną śródokresową proponujemy wzrost z 37% na 48% pensji profesorskiej, przy czym nie mniej niż najniższa krajowa. Po ocenie – wzrost z 57% na 68% pensji profesorskiej, przy czym nie mniej niż średnia krajowa. Biorąc pod uwagę medianę zarobków wszystkich pracowników na różnych szczeblach, jest nad czym pracować. Chcielibyśmy, żeby ze zwiększeniem wysokości stypendiów szło całościowe zwiększenie nakładów na szkolnictwo wyższe, co umożliwiłoby zachowanie balansu i przeciwdziałało dysproporcjom. Ze swojej strony zaproponowałem również wzrost stypendium doktoranckiego o kwotę inflacji rok do roku poprzez waloryzację pensji profesorskiej. Jeśli nasze stypendium odnosi się do tej kwoty, to uczciwe byłoby, żeby ona rosła. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby coś w tej materii zmienić.

Chce pan również wprowadzić przedstawiciela doktorantów do Komisji Ewaluacji Nauki. Dlaczego?

Dzięki ewaluacji możemy zidentyfikować obszary, które funkcjonują słabiej i zastąpić je dobrymi praktykami z innych



Fot. Tomasz Tarkowski

jednostek. Doktoranci pełnią rolę ekspertów do spraw ewaluacji szkół doktorskich i wydaje się, że ich perspektywa byłaby niezwykle cenna również na etapach koncepcyjnych podczas prac KEN. Nasi przedstawiciele są bardzo dobrze przygotowani do ewaluacji, odbywamy co roku szkolenia na podstawie autorskiego programu szkoleniowego. Jednocześnie do KRD wpływa wiele zgłoszeń doktorantów, które dotyczą różnych obszarów kształcenia w szkole doktorskiej. Trzeba pamiętać, że ewaluacja powinna służyć w głównej mierze właśnie doktorantom jako podmiotom tego procesu. Dlatego nasz głos nie może być w tym zakresie pomijany, a wręcz przeciwnie – należy dążyć do jego umocnienia. W całorocznym raporcie z ewaluacji można by opisać złe i dobre praktyki i to byłaby znakomita pomoc w rozmowach z władzami podmiotów kształcących.

A co sądzi Pan o polityce komunikacyjnej KRD? Czy tu również będzie chciał Pan coś zmienić?

Ten temat jest mi wyjątkowo bliski. Uważam, że widoczność KRD w przestrzeni akademickiej powinna być wyraźniejsza. I być może pana zaskoczę, ale zamierzam wkrótce powołać rzecznika prasowego. Chcę bardziej otworzyć KRD na media.

Jest pan doktorantem III roku w Szkole Doktorskiej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Jak pan odbiera te studia?

Muszę przyznać, że doktorat całkowicie spełnia moje oczekiwania. Już na samym początku promotor, prof. Bernard Gałka, uprzedzał mnie, że nie będzie łatwo, ale dzięki temu wiedziałem, na co się piszę. Granie w otwarte karty uważam za kluczowe w tej kwestii. Od studiów inżynierskich zajmuję się dyscypliną rolnictwo, ogrodnictwo, kolejne etapy kształcenia traktuję jako naturalny krok w rozwoju, poszerzenie horyzontów.

Czyli nie żałuje pan rozpoczęcia doktoratu?

Uważam to za najlepszą decyzję w moim życiu.

Wiąże pan przyszłość z karierą akademicką?

Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale na razie zmierzam w tym właśnie kierunku. Chciałbym jednak przez pewien czas spróbować swych sił także np. w przemyśle. Myślę, że zebranie praktycznego doświadczenia jest odpowiednim bagażem do wykorzystania na uniwersytecie, np. w kształceniu studentów czy prowadzeniu badań naukowych.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Aleksander Welfe

Demokratyczna reprezentacja

Komitety PAN to możliwie najlepszy korpus ekspertów, gdyż są oni wskazani jako najlepsi przez samych naukowców, swoich kolegów z branży .

Komitety PAN dzielą się na naukowe, problemowe i narodowe. Te nazwy nie są przypadkowe, o czym za chwilę. Zacznę od tych ostatnich, które są potrzebne po to, aby polscy uczeni mieli reprezentację w organizacjach międzynarodowych; chodzi o działalność w gruncie rzeczy techniczną, czyli możliwość płacenia przez nasz kraj składek członkowskich i uczestnictwa w pracach gremiów międzynarodowych i kandydowania do gremiów zarządczych tych organizacji międzynarodowych, których Polska jest aktywnym członkiem.

Dwa pozostałe rodzaje komitetów, które funkcjonują w Akademii, mają fundamentalne znaczenie dla środowiska naukowego w kraju. Komitety naukowe, a jest ich obecnie 71, powstają w wyniku powszechnych wyborów wśród samodzielnych pracowników nauki, czyli doktorów habilitowanych i profesorów, którzy mają bierne i czynne prawo wyborcze. Ostatnie wybory w roku 2024 odbyły się przy wsparciu specjalnie skonstruowanego elektronicznego systemu, a zatem nie było żadnej obsługi papierowej. Wszystko odbyło się zdalnie. Wzięło w nich udział ponad dziesięć tysięcy osób. Przez głosowanie na poszczególnych kandydatów wyłoniono reprezentacje w 71 subdyscyplinach naukowych. Należy podkreślić, że jest to jedyna taka reprezentacja środowiska naukowego wybrana w demokratycznych wyborach. Nie ma żadnej innej. Zatem, o ile polska nauka, poszczególne subdyscypliny, potrzebują demokratycznie wybranej reprezentacji, to komitety naukowe PAN są absolutnie fundamentalną strukturą.

Komitety naukowe są potrzebne środowisku naukowemu w Polsce, a nie Polskiej Akademii Nauk. One opiniują akty prawne, programy nauczania, organizują konferencje, działalność wydawniczą, czasami przyznają nagrody. To są bardzo aktywne grupy, które działają w sposób możliwie najmniej skrępowany. Nikt nie nadzoruje bezpośrednio pracy komitetów, nakładając jakiś gorset na ich aktywności. Same sobie wybierają sposób funkcjonowania, częstotliwość oraz formy spotkań i debat. Fakt, że skład komitetów ustala samo środowisko i że skupiają one przedstawicieli różnych subdyscyplin nauki, to są wartości same w sobie. Natomiast z wykorzystaniem potencjału, który mają te struktury bywało różne. Mówiąc krótko, nie zawsze władze państwowe, w tym władze sektora nauki, potrafiły, a może chciały skorzystać z wiedzy i kompetencji, którą dysponują członkowie komitetów i komitety. Może w bliskiej przyszłości, na przykład w ewaluacji, ministerstwo zechce skorzystać z kompetencji i oglądu sytuacji, jakie posiadają właśnie komitety naukowe PAN. Komitety to możliwie najlepszy korpus ekspertów, gdyż są oni wskazani jako najlepsi, najbardziej cenieni przez samych naukowców, swoich kolegów z branży.

Komitety problemowe, których jest 14, są powoływane w celu rozwiązania konkretnego zagadnienia. Stosunkowo niedawno, już w trakcie aktualnej kadencji władz PAN, został powołany Komitet Wody i Gospodarki Wodnej przy Prezydium PAN. Z oczywistych powodów problemy wody – tak jej nadmiarów, jak i niedoborów – są niezwykle istotne z punktu widzenia społeczeństwa, gospodarki, państwa; wymagają pogłębionej, kompetentnej refleksji. Podjął ją ten właśnie komitet, a wynikiem jest opublikowana i dostępna dla każdego zainteresowanego ekspertyza. W przyszłości ta grupa może służyć jako zaplecze eksperckie w obszarze gospodarki wodnej, problemów związanych z zaopatrzeniem w wodę czy w kontekście zapobiegania powodziom. Innym komitetem jest Rada Języka Polskiego, choć w swojej nazwie nie ma słowa „komitet”. Co ciekawe, to gremium jest umo-

cowane także w ustawie o języku polskim. Nie muszę mówić, jak ważne jest to ciało. Mamy Komitet Badań Polarnych, który współdziała z niezmiernie ważnymi instytucjami międzynarodowymi, które organizują i nadzorują badania w strefach polarnych, czyli Arktyce i Antarktyce. Sposób powołania komitetów problemowych jest inny niż naukowych. Mianowicie to Prezydium PAN powołuje komitet, określając wstępnie zakres jego zainteresowań i powołuje jego skład. Rada Towarzystw Naukowych to kolejny bardzo wyjątkowy komitet problemowy PAN, który obejmuje swoją działalnością ponad 650 towarzystw naukowych. RTN opracowała szereg ekspertyz dotyczących ich działania i propozycji finansowania. Zaproponowała też kryteria rozróżnienia pomiędzy towarzystwami a towarzystwami naukowymi. Mam nadzieję, że to zaowocuje wkrótce stosownymi zmianami ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

Każdy komitet naukowy liczy trzydziestu członków pochodzących z wyboru. Aby komitet został utworzony, co najmniej sześćdziesiąt osób musi w elektronicznym systemie wyborczym zadeklarować bierne prawo wyborcze. Następnie odbywają się wybory, a czynne prawo wyborcze mają wszyscy samodzielni pracownicy nauki. W systemie zarejestrowało się ponad dziesięć tysięcy takich osób. W wyniku tego głosowania zostaje wybranych trzydziestu członków każdego komitetu. Wybrany może być każdy samodzielny pracownik nauki, a zatem naukowiec z uczelni, instytutu badawczego czy instytutu PAN, ale także wolny strzelec, na przykład legitymujący się tytułem naukowym biznesmen, właściciel firmy. Potem decyzją członków komitetu może do niego zostać dokooptowanych troje specjalistów, którzy już nie muszą spełniać kryteriów akademickich. Ponadto każdy z członków PAN może zadeklarować udział w pracach dwóch komitetów naukowych. Ja zadeklarowałem udział w pracach Komitetu Statystyki i Ekonometrii PAN; wcześniej, zanim zostałem członkiem PAN, byłem wybierany do tego komitetu. To są ciała wewnętrzne Akademii zatem korporanci mogą uczestniczyć w ich pracach. W większości przypadków deklarują udział w komitetach związanych ze swoimi wydziałami i specjalizacjami naukowymi. Inne przypadki są rzadkie, choć się zdarzają. Łatwo policzyć, że w sumie komitety grupują ponad 2,5 tysiąca osób.

Komitety mogą tworzyć zespoły, sekcje, komisje do realizacji różnych zadań, które same sobie wyznaczą. To mogą być dowolne osoby, których nie dotyczą ograniczenia obowiązujące tych, którzy kandydują do składu samego komitetu. Może zatem to być zespół, który rozpatruje wnioski o nagrodę komitetu, czy komisja, która ma realizować jakieś zadanie. Decyzje co do tego podejmują same komitety, a nie są w nich niczym ograniczone. Reasumując, całkowita liczba osób zaangażowanych w prace komitetów naukowych to z pewnością ponad 3,5 tysiąca osób, w przeważającej większości naukowców. W pracach komitetów uczestniczą też, nieliczni co prawda, specjaliści spoza struktur nauki.

Na działalność komitetów nie ma specjalnych pieniędzy. Finansujemy ją z dotacji podmiotowej. Faktycznie Akademia refunduje jedynie koszty delegacji czy obsługę administracyjną. Posiedzenia często bywają zdalne, czasami hybrydowe, ale także stacjonarnie. Częstotliwość spotkań nie jest wyznaczona. Komitety spotykają się wtedy, gdy zachodzi taka potrzeba, gdy przewodniczący zarządzi spotkanie. Zarówno przewodniczący jak i zastępcy, a może być ich dwóch, oraz członkowie komitetów, całą pracę wykonują pro publico bono. To w pełni demokratyczna struktura. Nikt niczego jej nie narzuca. Akademia, poza wspomnianym już finansowaniem, elektronicznym systemem, tworzeniem regulaminu i obsługą wyborów, nie wtrąca się do ich aktywności. Tę samodzielność i autonomię chcę kolejny raz mocno podkreślić.



Fot. Cezary Piwowarski

Komitety naukowe są afiliowane przy wydziałach, natomiast problemowe są ulokowane przy Prezydium PAN. Z narodowymi jest inaczej: część jest afiliowanych przy wydziałach, cześć przy Prezydium, ale dla odbiorcy ich działalności nie ma to żadnego znaczenia. Afiliacja komitetów przy Akademii jest oczywista, gdyż jest to reprezentacja subśrodowisk naukowych. Gdzie indziej mogłyby przynależeć? To jest najbardziej naturalne miejsce na spotkanie gron eksperckich w poszczególnych subdyscyplinach nauk. Komitety pojawiły się przy PAN od początku jej istnienia, czyli 75 lat temu. Członkostwo w komitetach cieszy się środowiskowym prestiżem z powodów, które wcześniej przedstawiłem.

Komitety służą integracji środowisk branżowych, ale nie oznacza to, że ich rola jest do tego ograniczona. Mogą – i robią to – wypowiadać się zarówno w ogólniejszych sprawach dotyczących nauki, jak też sprawach społecznie ważnych, a bliskich ich specjalizacji. Oprócz tego chętnie zabierają głos w ważnych z punktu widzenia społeczeństwa czy państwa sprawach, gdy zostaną o to poproszone, np. przez ministerstwo lub inny urząd centralny. Komitet Nauk Prawnych PAN wydał z własnej inicjatywy wiele ekspertyz, dotyczących najróżniejszych aktów prawnych. Komitet Wody i Gospodarki Wodnej powstał wskutek zapotrzebowania skierowanego z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Wszystkie ekspertyzy trafiają do odpowiednich instytucji publicznych, a większość jest publikowana na stronach poszczególnych komitetów. Trudno mi wyobrazić sobie Akademię, ale i polską naukę, bez komitetów PAN.

Prof. dr hab. Aleksander Welfe jest makroekonomistą i ekonometrykiem. Pracuje na Uniwersytecie Łódzkim w Katedrze Modeli i Prognoz Ekonometrycznych. Jest członkiem Polskiej Akademii nauk i wiceprezesem PAN.

Notował Piotr Kieraciński

Paweł Rowiński

Woda wiele znaczy

Woda będzie jednym z głównych zagadnień w europejskich programach naukowych .Musimy mieć ekspertów, którzy po te środki sięgną, którzy takie programy zbudują i zrealizują .

Powtarzające się powodzie, a z drugiej strony susze wymagają kompetentnego namysłu nad zagadnieniami wody w skali kraju. W Polsce jest potrzebne gremium ludzi, które by odpowiadało za naukową refleksję na ten temat. Taką potrzebę wyartykułował premier. Dlatego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk powołano Komitet Nauk o Wodzie i Gospodarki Wodnej. Należy on do grupy komitetów problemowych, powołanych do rozwiązywania konkretnych spraw. A w tym obszarze mamy dwa elementy. Po pierwsze, wydaje się, że nauki wodne są w Polsce w pewnym kryzysie, a po drugie mamy cały szereg spraw praktycznych związanych z wodą. Woda będzie zapewne jednym z największych wyzwań XXI wieku. Chodzi o dostęp do wody, związane z nią zjawiska ekstremalne w postaci wielkich powodzi i susz, które będą się coraz częściej powtarzać, ale mamy również kryzys związany z jakością wody – wystarczy przypomnieć sobie to, co się wydarzyło na Odrze. Dlatego potrzebujemy gremium, które potrafiłoby się przyjrzeć tym zagadnieniom w sposób sensowny i jednocześnie móc doradzać osobom decyzyjnym.

W skład komitetu wchodzą nie tylko naukowcy, ale także przedstawiciele środowisk społecznych i biznesu. Przy formowaniu komitetu braliśmy też pod uwagę zróżnicowanie geograficzne, żeby były w nim reprezentowane wszystkie rejony Polski, a także wszelkie typy instytucji: uczelnie o charakterze rolniczym i technicznym, uniwersytety, instytuty naukowe PAN i instytuty badawcze z zakresu nauk o ziemi, jak mój Instytut Geofizyki PAN, Instytut Budownictwa Wodnego PAN, Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej czy Morski Instytut Rybacki. Ale zaprosiliśmy też osoby zajmujące się zarządzaniem kryzysowym. Mamy na pokładzie przedstawicielkę Akademii Pożarniczej, bo rola strażaków w kryzysach wodnych jest ogromna, oraz psychologa, bo każdy kryzys rodzi problemy psychologiczne. Zatem rzeczywiście komitet gromadzi całe spektrum fachowców od najszerzej rozumianych zagadnień wodnych. Jest też przedstawiciel Wód Polskich, bo trudno bez tej instytucji mówić o wodzie. Współpraca w gronie członków komitetu doprowadziła do podpisania umowy między Polską Akademią Nauk a Państwowym Gospodarstwem Wody Polskie.

Nasz komitet mógł być Komitetem Hydrologii, ale nauki o wodzie to znacznie szersza sprawa, bo z jednej strony to są nauki czysto inżynierskie, hydrotechnika, to są nauki o ziemi, zatem to może być jakaś część geografii, geologii, bo przecież mamy do czynienia z wodami podziemnymi, ale to jest również sprawa ekonomii, bo gospodarka wodna to w jakimś sensie dział ekonomii. To także obszary związane z naukami społecznymi i humanistycznymi, bo wspomniana już psychologia czy zarządzanie kryzysowe. Dlatego w nazwie znalazły się dwa elementy: nauki o wodzie oraz gospodarka wodna.

Na granicy stresu wodnego

Zatem po pierwsze, chcemy ocenić stan nauk o wodzie w Polsce. Jestem przewodniczącym europejskiego oddziału Międzynarodowego Stowarzyszenia Badaczy Inżynierów Wodnych IAHR – w nazwie tej organizacji też połączono wątki teoretyczne z praktycznymi – i nie widać tam mocnej obecności polskich uczonych. Jest nas mało i nie jesteśmy wystarczająco widoczni w skali międzynarodowej, w publikacjach, na kongresach światowych, to pokazuje pewnego rodzaju kryzys polskich nauk o wodzie na poziomie międzynarodowym. Tymczasem woda będzie jednym z głównych zagadnień w europejskich programach naukowych. Musimy mieć ekspertów, którzy po te środki sięgną, którzy takie programy zbudują i zrealizują. Za brakiem kadr naukowych idzie kwestia kształcenia. W moim przekonaniu przestajemy już kształcić i mamy deficyt inżynierów, którzy są w stanie zaprojektować cokolwiek z obszaru inżynierii wodnej. Do tego zagadnienia odnosi się pierwszy



Fot. Jacek Halicki, źródło Wikipedia

Most żelazny w Kłodzku podczas powodzi w 2024 r .

człon nazwy komitetu. Chcielibyśmy się przyjrzeć stanowi nauk o wodzie, powiem więcej: walczyć, lobbować za tym, żeby nauki wodne w Polsce odbudowywać, bo woda będzie jednym z naszych najważniejszych problemów w przyszłości.

Polska generalnie jest jednym z bardziej deficytowych państw, jeśli chodzi o zasoby wód powierzchniowych, mamy trzykrotnie mniej wody niż średnio kraje w Unii Europejskiej. Nasza sytuacja odpowiada raczej sytuacji gorącego południa Europy. W klasyfikacjach wód powierzchniowych jesteśmy na granicy tak zwanego stresu wodnego. Wody jest mało, stąd taki potężny problem z suszami, które mamy w Polsce. Ale to nie oznacza, że nie mamy sytuacji ekstremalnych, jak ta, która się zdarzyła na Górnej Odrze i Nysie. One będą się zdarzać pewnie coraz częściej wskutek zmian klimatycznych. Widać, że te problemy są przed nami, a biorąc pod uwagę, że 99 procent cieków wodnych w Polsce nie ma dobrej jakości wody, to tych problemów mamy rzeczywiście dużo. One muszą być rozwiązywane, ale do tego potrzebni są eksperci.

Należy zbudować system zintegrowany

Warto może dodać, że do niedawna istniał Komitet Gospodarki Wodnej PAN przy Wydziale IV Nauk Inżynierskich. W pewnym sensie był to nasz poprzednik, komitet o bardzo długiej tradycji, bo powstał w 1952 roku, a zatem wraz z całą Akademią. Nasz komitet jest poniekąd rozwinięciem i rozszerzeniem jego działalności, mianowicie działamy przy Prezydium PAN, a nie przy wydziale, no i jesteśmy interdyscyplinarni, co jest bardzo ważne w obecnych czasach. Dzięki takiej konstrukcji możemy działać w znacznie szerszym zakresie niż dotychczasowy Komitet Gospodarki Wodnej. Pewne zadania tamtego komitetu kontynuujemy. Zorganizowaliśmy Światowy Dzień Wody, Szkołę Hydrologii i Gospodarki Wodnej i prestiżową International School of Hydraulics z udziałem wybitnych przedstawicieli nauk wodnych z całego świata. Efektem tej ostatniej jest monografia wydana przez wydawnictwo Springera (ukaże się na początku przyszłego roku). Ukazała się też monografia dotycząca gospodarki wodnej.

Jednak będziemy pracowali inaczej niż nasz poprzednik, nie w strukturze stałych sekcji, ale w zespołach zadaniowych. Powołaliśmy dwa takie zespoły. Stanem nauk o wodzie w Polsce – to jest nasz pierwszy priorytet – zajmuje się Zespół ds. Priorytetów Naukowych dla Gospodarki Wodnej. Kolejnym problemem ujawnionym podczas ostatniej wielkiej powodzi na Opolszczyźnie i w Kotlinie Kłodzkiej zajmuje się Zespół ds. Odbudowy Odporności po Powodzi. Ma on wspólnie z Wodami Polskimi opracować system, który w przyszłości pozwoliłby lepiej przewidywać powodzie, ale też sprawił, żebyśmy byli lepiej na takie sytuacje przygotowani. Duża część tej pracy została już wykonana. Podczas wspomnianych powodzi wystąpiło szereg błędów, które pokazały słabości naszego systemu reakcji na zagrożenie powodziowe. Chodzi nam o działania na poziomie strategicznym, długoterminowym, czyli o mądrą gospodarkę wodą na przyszłość, a nie akcje interwencyjne, np. gdzie i jaka zapora w tym momencie ma funkcjonować. Nauka z grubsza wie, że należy zbudować taki system zintegrowany, który nie odpowiada akcyjnie na jedno zadanie, czyli na przykład na temat ochrony przeciwpowodziowej czy suszy. To musi być system zintegrowany, bo musimy być przygotowani i na jedną, i na drugą sytuację. To jest również przygotowanie ludzi do sytuacji kryzysowych.

Prawdę mówiąc, to wszystko wraca nawet na poziom edukacji. W Polsce nie wiemy – chodzi tu zarówno o poszczególnych ludzi, jak też instytucje, np. samorządowe – jak reagować w sytuacjach zagrożenia, również zagrożenia życia. Ludzie dostają komunikaty, ale niekoniecznie wiedzą, jak z tego skorzystać i czy muszą korzystać, dostosować się. Tych elementów jest naprawdę bardzo dużo i wydaje mi się, że taki system zintegrowanej gospodarki wodnej należy naprawdę już zacząć budować. W kwartalniku „Nauka" nr 4/2025 ukazał się kompleksowy raport komitetu zawierający długofalowe strategie oraz rekomendacje rozwiązań wspierających odbudowę odporności społeczeństwa i infrastruktury na skutki powodzi oraz zapewnienia wsparcia eksperckiego w zakresie zarządzania ryzykiem powodziowym (zlewnia Górnej Odry). Dokument został przesłany do wielu organizacji i miał duży oddźwięk medialny.



Fot. Piotr Terlecki

Unikalne przykłady doradztwa naukowego

Ponadto członkowie zarządu naszego komitetu zostali powołani do rządowych zespołów doradczych. Najpierw w KPRM w skład Zespołu doradczego do spraw odporności po powodzi, doradzającego ministrowi Marcinowi Kierwińskiemu, pełnomocnikowi rządu ds. odbudowy obszarów dotkniętych powodzią. Po objęciu przez niego teki ministra spraw wewnętrznych i administracji zostaliśmy powołani w skład bardziej kompleksowego Zespołu doradczego ds. odporności po powodzi, zagospodarowania przestrzennego oraz urbanistyki terenów popowodziowych. Zespoły opiniują program redukcji ryzyka powodziowego w poszczególnych obszarach Zlewni Nysy Kłodzkiej. Miałem przyjemność zarządzać pracami zarówno pierwszego, jak i drugiego gremium. Ich działanie to świetny przykład wpływu pracy Komitetu Nauk o Wodzie i Gospodarki Wodnej PAN na konkretne działania zarządcze w skali kraju. Są to – wierzę – unikalne przykłady doradztwa naukowego.

Z całą pewnością będziemy mieli do czynienia z ekstremalnymi zjawiskami związanymi z wodą. Nie wszystkim zapobiegniemy, ale możemy się przygotować do nich w ten sposób, że będziemy minimalizować straty dzięki budowie systemu ostrzegania o zagrożeniach, reakcji na zagrożenia i budowie odporności społecznej w obliczu katastrofy naturalnej.

Prof. dr hab. Paweł Rowiński, hydrolog, hydrodynamik, geofizyk, przewodniczący Komitetu Nauk o Wodzie i Gospodarki Wodnej PAN

Notował Piotr Kieraciński

Sebastian Skoczypiec

Dla konkurencyjności gospodarki

W dużym skrócie można powiedzieć, że inżynieria mechaniczna rozwija produkty, natomiast inżynieria produkcji rozwija sposoby ich wytwarzania, czyli zajmuje się zagadnieniami związanymi z organizacją, zarządzaniem procesami i systemami produkcyjnymi .

Komitet Inżynierii Produkcji PAN skupia 33 przedstawicieli środowiska akademickiego: profesorów i doktorów habilitowanych z kluczowych uczelni technicznych, przyrodniczych i uniwersytetów w Polsce, prowadzących badania w obszarze inżynierii produkcji. Jest to demokratycznie wybrana reprezentacja tego środowiska, obejmująca swoim zasięgiem geograficznym cały kraj: od Rzeszowa po Szczecin, od Białegostoku po Wrocław, od Krakowa i Gliwic po Gdańsk oraz od Poznania po Lublin. Dodatkowo w naszym gronie mamy siedmioro ekspertów zewnętrznych, w tym dwoje reprezentujących przemysł.

Praca merytoryczna komitetu koncentruje się obecnie w czterech stałych sekcjach tematycznych i pięciu zespołach zadaniowych. Podział ten odpowiada najważniejszym obszarom i aktualnym trendom rozwojowym inżynierii produkcji. Wspomniane sekcje to: Sekcja Cyfryzacji Produkcji; Inżynierii Ekoprzemysłu; Inżynierii Innowacji, Jakości i Bezpieczeństwa Pracy oraz Inżynierii Zarządzania Produkcją, Usługami i Projektami. Z kolei zespoły realizują wyznaczone przez Komitet w danej kadencji zadania, tj.: monitoring dydaktyki akademickiej i rozwoju kadry, przegląd i koordynacja współpracy z czasopismami związanymi z inżynierią produkcji oraz ankietyzacja i analiza danych na potrzeby ekspertyz Komitetu.

Działalność ekspercka

Ekspertyzy to jeden z najważniejszych elementów aktywności Komitetu Inżynierii Produkcji PAN. Ich celem jest diagnozowanie, definiowanie i prognozowanie rozwoju kluczowych obszarów badawczych współczesnej inżynierii produkcji. W pierwszej połowie 2025 roku zespół kierowany przez prof. Ewę Dostatni z Politechniki Poznańskiej opracował i opublikował ekspertyzę pt. *Przemysł 4.0 w przedsiębiorstwach z branży motoryzacyjnej. Stan obecny i perspektywy rozwoju*. Ekspertyza skierowana została do szerokiego grona odbiorców z branży motoryzacyjnej, w tym menadżerów polskich firm produkcyjnych, decydentów gospodarczych oraz naukowców zajmujących się inżynierią produkcji. Zadaliśmy sobie pytanie, na ile nowe technologie, tj. cyfryzacja, robotyzacja, druk 3D, analiza dużych zbiorów danych oraz narzędzia związane ze sztuczną inteligencją, przełożyły się na rozwój krajowej branży automotive, a w szczególności procesów produkcyjnych i innowacji w tym obszarze. Sektor motoryzacyjny w Polsce należy do najlepiej rozwiniętych gałęzi przemysłu, jednak przeprowadzone w latach 2023-24 badania ankietowe pokazały, że dojrzałość cyfrowa oraz stan zaawansowania wdrożenia technologii Przemysłu 4.0 w tej branży jest na średnim etapie rozwoju. Sformułowane na tej podstawie wnioski wskazują, że zachowanie konkurencyjności sektora motoryzacyjnego wymaga istotnego przyspieszenia w tym obszarze, również w zakresie edukacji.

Aktualnie nasze zespoły pracują nad dwoma ekspertyzami, które jak sądzimy, dotyczą kluczowych wyzwań dla rozwoju polskich przedsiębiorstw produkcyjnych i usługowych w kolejnych latach. Ekspertyzy te dotyczą zastosowania narzędzi AI oraz roli i znaczenia zrównoważonej produkcji.

Rozproszony potencjał

Komitet Inżynierii Produkcji powstał w 2009 roku, zanim inżynieria produkcji stała się pełnoprawną dyscypliną naukową, co nastąpiło dopiero w 2010 roku. Niestety, przeprowadzona w 2018 r. reforma szkolnictwa wyższego, zlikwidowała dyscyplinę inżynieria produkcji, włączając ją do dyscypliny inżynieria mechaniczna, która jest zdominowana przez naukowców związanych z mechaniką oraz budową i eksploatacją maszyn.

W ciągu tych ośmiu lat nastąpił jednak dynamiczny rozwój naszego środowiska naukowego: 14 jednostek uzyskało uprawnienia do nadawania stopnia doktora, a 2 doktora habilitowanego w dyscyplinie inżynieria produkcji, wypromowano ponad 80 doktorów oraz pięciu doktorów habilitowanych. Wśród nich są również osoby, które rozpoczęły doktoraty w inżynierii produkcji, a skończyły je już w inżynierii mechanicznej. Mamy zatem teraz grono fachowców, którzy wskutek likwidacji dyscypliny inżynieria produkcji musieli wybrać formalnie inną dyscyplinę. Nastąpiło rozproszenie potencjału naszego środowiska i zdobywanego przez lata kapitału wiedzy i kompetencji.

Część specjalistów z naszej branży trafiła też do nauk o zarządzaniu i jakości.

Trudno nam się teraz przebić i znaleźć zrozumienie innych badaczy oraz decydentów z informacją, że inżynieria produkcji ma swoją specyfikę. W dużym skrócie można powiedzieć, że inżynieria mechaniczna rozwija produkty, natomiast inżynieria produkcji rozwija sposoby ich wytwarzania, czyli zajmuje się zagadnieniami związanymi z organizacją, zarządzaniem procesami i systemami produkcyjnymi. Dla inżyniera produkcji poszczególne procesy technologiczne są tylko „cegiełkami", z których buduje podlegający ciągłym zmianom proces produkcyjny lub usługowy, który musi spełniać wymagania klienta odnośnie do ceny, jakości i terminowości. Wymaga to wiedzy technicznej, informatycznej, zarządczej i społecznej, co implikuje interdyscyplinarny charakter inżynierii produkcji. Warto podkreślić, że rewolucja cywilizacyjna, jakiej jesteśmy świadkami, w dużym stopniu dotyczy działalności produkcyjnej. Do aktualnych wyzwań w tym obszarze można zaliczyć m.in. zagadnienia dotyczące: zrównoważonej produkcji, konsumpcji i eksploatacji, rozwoju produktów przyjaznych środowisku, zastosowania AI dla potrzeb sterowania urządzeniami, procesami i systemami produkcyjnymi, nowych koncepcji systemów produkcyjnych wykorzystujących rozproszone i niskoemisyjne źródła energii, inteligentnych robotów współpracujących i ich systemów, rozwoju systemów cyberfizycznych oraz zastosowania technik rozszerzonej i wirtualnej rzeczywistości.

Odrębność

Krajowe przedsiębiorstwa w dużym stopniu konkurują na świecie nie technologią, ale właśnie bardzo dobrą organizacją produkcji, która sensownie wdrożona i nieustannie usprawniana, pozwala na znaczne oszczędności i uzyskanie przewagi konkurencyjnej. Rosną też wymagania dotyczące obniżenia presji procesów produkcyjnych na środowisko naturalne, a to również praca dla inżynierów produkcji – specjalistów od zrównoważonej produkcji. W krajach wysoko rozwiniętych, np. w Niemczech, Stanach Zjednoczonych, inżynieria produkcji to nie tylko bardzo pożądany przedmiot i kierunek studiów, ale także samodzielna, ważna i odrębna dyscyplina w dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych, określana jako: industrial engineering, manufacturing engineering, industrial technology, industrial and manufacturing engineering, industrial systems and processes engineering.

Brak tej dyscypliny w oficjalnym wykazie dyscyplin naukowych jest aktualnie największym wyzwaniem dla naszego środowiska. Misją komitetu jest potwierdzenie roli i znaczenia inżynierii produkcji dla rozwoju nowoczesnej i zrównoważonej gospodarki oraz podjęcie wszelkich działań zmierzających do wyraźnego zaznaczenia odrębności inżynierii produkcji jako dojrzałej i perspektywicznej dyscypliny naukowej. Klasyfikacja dyscyplin naukowych powinna przecież uwzględniać i stymulować rozwiązania służące rozwojowi współczesnej gospodarki, a nie wynikać jedynie z arbitralnych decyzji ustawodawcy. Jeśli tego nie weźmiemy pod uwagę, grupa naukowców i nauczycieli akademickich, specjalizujących się w inżynierii produkcji ulegnie rozproszeniu, a postęp w tym obszarze zostanie istotnie spowolniony.

Obecnie w Polsce ponad 40 wyższych uczelni publicznych i niepublicznych, w tym wszystkie uczelnie techniczne, prowadzi kształcenie na studiach I lub II stopnia na kierunkach studiów spójnych tematycznie z inżynierią produkcji. Brak kształcenia w szkołach doktorskich w tej dyscyplinie w perspektywie najbliższych lat doprowadzi do niedoboru wykwalifikowanej kadry akademickiej, a jednocześnie istotnie ograniczy dostęp polskiego przemysłu do nowego pokolenia wysoko wykształconych specjalistów w obszarze, który w znacznym stopniu determinuje konkurencyjność krajowej gospodarki.



Fot. Piotr Gibas

Misja

Komitet ma dwa cele działalności na kolejne lata. Dążymy do zachowania spójności i jednorodności środowiska naukowego, zajmującego się obszarem badań nakreślonym ogólnie powyżej oraz dbamy o rozwój inżynierii produkcji w Polsce. Istotne jest, żeby kapitał wiedzy i kompetencji w tym obszarze w żaden sposób nie został rozproszony. Podejmujemy inicjatywy, które przyczyniają się do integracji środowiska akademickiego skupionego wokół inżynierii produkcji. Organizujemy lub współorganizujemy szereg konferencji naukowych. Do najważniejszych z nich zaliczamy „Warsztaty dla doktorantów i habilitantów w obszarze inżynierii produkcji", które w 2025 r. roku odbyły się po raz 11. W 2025 roku po raz pierwszy przyznaliśmy Nagrodę Komitetu Inżynierii Produkcji Polskiej Akademii Nauk za najlepszą koncepcję i prezentację pracy doktorskiej w obszarze inżynierii produkcji. Laureatką została mgr inż. Anna Dudkowiak z Politechniki Poznańskiej za pracę na temat „Opracowanie wielokryterialnej metody oceny potencjału regeneracji i recyklingu produktu na podstawie jego zestawienia komponentów (BOM) z zastosowaniem sztucznej inteligencji". Bierzemy aktywnie udział w wydarzeniach popularyzujących naukę, pokazując jak bardzo inżynieria produkcji jest istotna z punktu widzenia rozwoju polskiej gospodarki. Odgrywa ona istotną rolę w poszukiwaniu rozwiązań, prowadzących do podniesienia poziomu konkurencyjności polskich przedsiębiorstw.

Prof. dr hab. inż. Sebastian Skoczypiec, dyscyplina: inżynieria mechaniczna, przewodniczący Komitetu Inżynierii Produkcji Polskiej Akademii Nauk

Notował Piotr Kieraciński

Paweł Próchniak

Humanistyka w działaniu

W naszym przekonaniu akademicka humanistyka powinna brać odpowiedzialność za świat, powinna być w nim aktywnie i twórczo obecna ze swoimi praktykami lekturowymi, perspektywami oglądu, sposobami rozumienia rzeczywistości .

Członkowie Komitetu Nauk o Literaturze PAN to w przeważającej mierze osoby z dużych, rozpoznawalnych ośrodków badań literaturoznawczych, zorientowanych głównie na literaturę polską. Wcześniej było podobnie. Duże ośrodki i polonistyczne literaturoznawstwo zwykle mają stosunkowo liczną reprezentację w KNoL PAN. Nie jest to sytuacja optymalna. Dlatego staramy się, by również mniejsze, regionalne ośrodki miały oparcie w naszym komitecie. Dotyczy to też subdyscyplin literaturoznawstwa związanych z obszarami badań wykraczającymi poza polską literaturę. Także o tych środowiskach myślimy i staramy się je wspierać.

Nie jesteśmy zespołem zadaniowym, nie rozwiązujemy szczegółowych problemów, sugerowanych przez PAN czy instytucje rządowe. Komitety PAN mają w tym zakresie ograniczone możliwości. Naszą ambicją jest budowanie przestrzeni do rozmowy o newralgicznych kwestiach uprawiania literaturoznawstwa dzisiaj, o jego miejscu i roli w konkretnych realiach współczesności. Takie rozmowy prowadzimy na forum Komitetu i różne jej wątki inicjujemy w środowisku literaturoznawczym. Tematy nie są zaskakujące: otwarta nauka, ewaluacja działalności badawczej w kontekście specyfiki i powinności literaturoznawstwa, relacje między literaturoznawstwem a polonistyką, edukacja literacka, społeczna odpowiedzialność humanistyki. Te kwestie tworzą mocny splot, ale szczególnie ważna jest dla nas ostatnia z nich: społeczna odpowiedzialność humanistyki. Rozumiemy ją jako działanie – sprawcze, twórczo wdrażające efekty naszego namysłu nad literaturą w kulturową i społeczną praktykę. Wiąże się to z przekonaniem, że jeśli humanistyka nie jest humanistyką w działaniu, to szybko staje się humanistyką jedynie w teorii. Do przyjmowania takiej postawy, opartej na idei humanistyki w działaniu, staramy się inspirować nie tylko literaturoznawców, bo w naszym przekonaniu akademicka humanistyka powinna brać odpowiedzialność za świat, powinna być w nim aktywnie i twórczo obecna ze swoimi praktykami lekturowymi, perspektywami oglądu, sposobami rozumienia rzeczywistości. Ta obecność humanistyki w przestrzeni społecznej przywraca naszym dociekaniom ich źródłowy sens. Warto ten sens sprawdzać w działaniu. Warto z akademickiej humanistyki wydobywać i przekładać na praktykę to, co ożywia jej głęboko ludzki rdzeń, budzi pamięć, daje do myślenia, otwiera wyobraźnię, pogłębia doświadczenie.



Fot. Igor Fecak

Forum poważnej rozmowy

Chcemy, by Komitet Nauk o Literaturze był forum poważnej rozmowy o horyzontach i powinnościach literaturoznawstwa. I chcemy też, by był przyczółkiem do działań, które pogłębiony namysł nad literaturą wyprowadzają poza mury akademii. Nie postuluję naiwnej ucieczki z akademickiego świata. Jesteśmy ludźmi nauki, nasza profesja polega na dążeniu do prawdy, a jego narzędziem jest myśl krytyczna i wolna. Taka myśl potrzebuje akademii, zwłaszcza jeśli ma rozwijać się i trwać dłużej niż jedno pokolenie. Ale musi też konfron-

tować się ze światem poza akademią, bo tylko wtedy pozostaje żywa i prawdziwie twórcza. Nie twierdzę, że jest to łatwe, ale wiem, że jest możliwe. Wiem, bo mamy swój udział w takich przedsięwzięciach jak Warszawa Wierszy, realizowana przez Polski PEN Club, jak cykl Wiersze w Schronach, w ramach którego od momentu napaści Rosji na Ukrainę wiersze czytane są w schronach przeciwrakietowych w Drohobyczu, czy jak akcja Gift a Poem, prowadzona przez Fundację im. Zbigniewa Herberta i UNESCO w ponad 30 krajach na 5 kontynentach, w której udział wzięło dotąd kilkadziesiąt tysięcy wolontariuszy oraz kilkaset instytucji. W tych przedsięwzięciach nasze są inspiracje, format, sposób myślenia o literaturze. I to właśnie mam na myśli, kiedy mówię o potrzebie wychodzenia poza akademię.

Poznająca myśl i twórcza wyobraźnia

Natomiast w obrębie akademickiej przestrzeni, choć poza jej głównym nurtem, co traktuję jako wartość, zainicjowaliśmy niedawno i rozwijamy dwa szczególnie mi bliskie przedsięwzięcia. Pierwsze z nich to seria wydawnicza Pod Auspicjami, która pomyślana jest jako przystań dla tych ważnych poznawczo książek z zakresu szeroko rozumianego literaturoznawstwa, które z różnych powodów nie mieszczą się w uniwersyteckim systemie finansowania publikacji naukowych – dotyczy to między innymi książek pisanych przez emerytowanych badaczy, ale też wielu cennych dysertacji doktorskich, których autorzy nie pracują w instytucjach badawczych. Zainicjowaliśmy też cykl sieciowych seminariów Biografie Literaturoznawstwa, wyrastający z poczucia, że literaturoznawstwo to nie tylko dyscyplina naukowa dająca się opisać i sparametryzować, ale również ruch poznającej myśli i twórczej wyobraźni konkretnych osób, ich realna obecność, która domaga się naszej pamięci i zwykle wymyka się poetyce noty biograficznej. Nic nie mam przeciwko notom biograficznym, ale wierzę w siłę rozmowy, która podtrzymuje pamięć i niesie myśl, pokonuje czas.

Komitety naukowe PAN są dzisiaj jedyną w Polsce samorządną reprezentacją środowiska naukowego wybraną w wolnych, demokratycznych wyborach. Ich legitymacja jest mocna. To samo dotyczy kompetencji i środowiskowego autorytetu. Sądzę, że nie całkiem umiemy to docenić. Nie mam też poczucia, że istnienie komitetów doceniają zajmujący się nauką decydenci. Komitety mają spory potencjał, wart wyzyskania i rozwinięcia, ale ich obecne możliwości są niewielkie, a literalnie rozumiane prerogatywy prawie żadne. W tym, co robimy, a jest tego niemało, zwykle „jedziemy na entuzjazmie". Ma to swoje zalety. Ma jednak też wady, które sprawiają, że łatwo możemy stać się kolekcją paprotek.

Prof. dr hab. Paweł Próchniak, historyk literatury, krytyk literacki, przewodniczący Komitetu Nauk o Literaturze PAN

Nominacje profesorskie

7 stycznia 2026 Prezydent RP Karol Nawrocki wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Anna Borucka** (WAT), **Witold Cieślikiewicz** (IBW PAN), **Krzysztof Dutkowski** (PKosz), **Jerzy Głuch** (PG), **Krzysztof Gromysz** (PŚ), **Tomasz Grzebyk** (PWr), **Magdalena Jabłońska–Czapla** (IPIŚ PAN), **Agata Jakóbik–Kolon** (PŚ), **Jarosław Janus** (URK), **Mateusz Kozioł** (PŚ), **Marcin Sajdak** (PŚ), **Katarzyna Siuzdak** (IMP PAN), **Dorota Stadnicka** (PRz), **Robert Wójcik** (UWM), **Bartosz Zajączkowski** (PWr)

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Magdalena Bartłomiejczyk** (UŚ), **Łucja Biel** (UW), **Teresa Bruś** (UWr), **Sabina Brzozowska–Dybizbańska** (UO), **Marek Dybizbański** (UO), **Anna Cetera–Włodarczyk** (UW), **Dagmara Drewniak** (UAM), **Małgorzata Fabiszak** (UAM), **Artur Gałkowski** (UŁ), **Michał Jarnecki** (UAM), **Zbigniew Kaźmierczak** (UwB), **Tadeusz Kondracki** (IH PAN), **Jacek Kopciński** (IBL PAN), **Krzysztof Kosiński** (IH PAN), **Olaf Krysowski** (UW), **Jakub Lipski** (UKW), **Karol Łopatecki** (UwB), **Anna Mazurkiewicz** (UG), **Michał Mencfel** (UAM), **Tomasz Mróz** (UZ), **Dominik Nowakowski** (IAiE PAN), **Marceli Olma** (UKEN), **Marta Osypińska** (UWr), **Grzegorz Pawłowski** (UW), **Jarosław Rubacha** (UWM), **Tadeusz Rutkowski** (UW), **Jakub Sito** (IS PAN), **Aleksandra Sulikowska–Bełczowska** (UW), **Piotr Sulikowski** (USz)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Joanna Brydak–Godowska** (WUM), **Katarzyna Górska** (WUM), **Dariusz Gruszfeld** (I„P-CZD"), **Mariusz Kaczmarek** (UMP), **Anna Klimkiewicz** (WUM), **Paweł Łęgosz** (WUM), **Małgorzata Maciążek–Jurczyk** (SUM), **Małgorzata Mizerska–Wasiak** (WUM), **Katarzyna Nabrdalik** (SUM), **Michał Orczykowski** (NIKSKW-PIB), **Alina Plenis** (GUMed), **Beata Sarecka–Hujar** (SUM), **Anna Staniszewska** (WUM), **Renata Talar–Wojnarowska** (UMŁ), **Aleksandra Wesołowska** (WUM), **Andrzej Zięba** (SUM)

NAUKI O RODZINIE: **Monika Podkowińska** (SGGW)

NAUKI ROLNICZE: **Piotr Dąbrowski** (SGGW), **Dorota Gumul** (URK), **Anna Kamińska–Dwórznicka** (SGGW), **Paweł Konieczka** (UWM), **Paweł Nawrotek** (ZUT), **Robert Rusinek** (IA PAN), **Piotr Rybacki** (UPP), **Maciej Sydor** (UPP), **Barbara Wiewióra** (IHiAR), **Małgorzata Wronkowska** (IRZiBŻ PAN), **Małgorzata Ziarno** (SGGW), **Beata Zimowska** (UPL)

NAUKI SPOŁECZNE: **Jan Chodkiewicz** (UŁ), **Łukasz Grzybowski** (UW), **Kamil Imbir** (UW), **Sławomir Kurek** (UKEN), **Grzegorz Leszczyński** (UEP), **Danuta Piróg** (UKEN), **Krzysztof Stępniak** (UKSW), **Marek Świerczyński** (UKSW), **Jacek Wantoch–Rekowski** (UMK), **Paweł Waszkiewicz** (UW), **Alina Zajadacz** (UAM)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Przemysław Bernat** (UŁ), **Bożena Czech** (UMCS), **Krzysztof Fic** (PP), **Krzysztof Gibasiewicz** (UAM), **Marta Kolanowska** (UŁ), **Piotr Krawczyk** (PP), **Nikodem Kuźnik** (PŚ), **Sergiusz Kużel** (AGH), **Piotr Łuczyński** (UW), **Anna Masek** (PŁ), **Krzysztof Piotrzkowski** (AGH), **Agnieszka Pociecha** (IOP PAN), **Paweł Przybyłowicz** (AGH), **Adam Sokołowski** (UG), **Adam Tylicki** (UwB), **Agnieszka Wiącek** (UMCS)

NAUKI TEOLOGICZNE: **ks. Robert Kufel** (UZ), **ks. Stanisław Łabendowicz** (KUL)

SZTUKI: **Andrzej Kałucki** (UMK), **Andrzej Klisz** (ASP Katowice), **Jan Kotula** (AMKS), **Rafał Łuc** (AMKL), **Ewa Mrowca–Kościukiewicz** (AMGKB) **Agnieszka Przemyk–Bryła** (UMFC), **Julita Przybylska–Nowak** (AMKL), **Aleksandra Rupocińska** (AMKL), **Elżbieta Szmit–Naud** (UMK), **Joanna Walendzik–Stefańska** (ASPW)

Marta Wróblewska

Musimy być szybcy i zrozumiali

Dekalog autora opisu wpływu

Gdybym była ekspertem KEN oceniającym trzecie kryterium, zaczynałabym lekturę opisu wpływu od końca .Od dowodów . Często bowiem okazuje się, że deklaracje wpływu społecznego z opisu nie znajdują potwierdzenia w rzekomych dowodach .

Wybiła północ, wystrzeliły korki od szampana. Zamknęliśmy, jedni z satysfakcją, inny z ulgą, okres ewaluacji 2022-2025, a weszliśmy w nowy, świeżutki cykl. Tym co spędzało sen z oczu wielu naukowcom i osobom zarządzającym uczelniami w finale poprzedniego cyklu, były opisy wpływu. A więc dokumenty opisujące efekty badań w świecie pozaakademickim, oceniane przez ekspertów w ramach trzeciego kryterium.

Na podstawie lektury kilkudziesięciu opisów wpływu z różnych instytucji i dziedzin, zebrałam wskazówki dla przyszłych autorów i autorek.

Teraz jednak trwa gorączkowy wyścig z czasem przed zamknięciem wprowadzania nowych danych do systemu SEDN. Dotyczy to szczególnie trzeciego kryterium, czyli wpływu społecznego, który oceniany jest przez ekspertów na podstawie tzw. opisów wpływu.

Niektórzy prymusi już wprowadzili swoje opisy do systemu i z satysfakcją zatrzasnęli klapę laptopa. Tym z nas, o których można powiedzieć, że jesteśmy zdolni, ale… byliśmy dotąd zapracowani, pozostaje tylko również przysiąść fałdów.

Poniżej kilka wskazówek dla tych, którzy jeszcze cyzelują swoje opisy wpływu.

Nie lekceważ wroga

Opis wpływu – bułka z masłem! Kilka stron tekstu o własnych badaniach i o ich (niewątpliwym) wpływie na świat. Wszak takie teksty piszemy od ręki.

Takie optymistyczne założenie zgubiło już niejednego autora opisu wpływu czy koordynatora dyscypliny. Choć konstrukcja samego opisu jest prosta i logiczna, sam proces redagowania dokumentu okazuje się nierzadko wymagający, szczególnie kiedy robimy to po raz pierwszy. Nic w tym dziwnego, musimy zapoznać się z całkiem nowym gatunkiem tekstu, który ma w sobie trochę z raportu, trochę z artykułu naukowego, a trochę z tekstu marketingowego. Niektórzy autorzy ze zdziwieniem stwierdzają, że napisanie dobrego opisu może trwać tyle, co napisanie artykułu. Ale warto, bo opis „waży" w ewaluacji tyle co nawet 7 artykułów (patrz artykuł na stronie martawroblewska.pl).

Zaangażowanie ≠ wpływ

Opisami wpływu zajmuję się z perspektywy językoznawczej już od ponad dziesięciu lat. Doktorat realizowałam w Wielkiej Brytanii, a warunki stypendium mówiły, że jego temat musi dotyczyć dyskursu akademickiego. Przez jakiś czas biłam się z myślami: na jakim typie tekstu naukowego się skupić, jaką perspektywę przyjąć, co będzie inspirujące dla mnie, a jednocześnie przydatne z perspektywy rozwoju dyscypliny?

Ostatecznie wystarczyło dziesięć minut spontanicznego small talku w kuchni mojego centrum badawczego, żebym znalazła swój temat. Podrzucił mi go doświadczony profesor, językoznawca, który właśnie odchodził na emeryturę. Słysząc o moim zainteresowaniu tematyką ewaluacji akademickiej i wiedząc o moim filologicznym zapleczu, rzucił od razu: „Opisy wpływu społecznego – to twój temat! Językoznawcy od dekad analizują artykuły naukowe, wiemy o nich wszystko. Ale nikt jeszcze nie opisał gatunku opisu wpływu społecznego".

Nie od razu poczułam motyle w brzuchu. Ale czas pokazał, że prof. Richards miał rację. To był mój temat. I nie tylko mój, bo obecnie w Wielkiej Brytanii wokół obszaru tworzenia i dokumentowania wpływu społecznego powstała oddzielna akademicka branża. Prawie w każdej uczelni jest impact officer, który wspiera badaczy w konsekwentnym budowaniu ich wpływu społecznego. Wiele uczelni ma oddzielnego specjalistę na każdym wydziale, a przewodzi im impact manager. Są oddzielne źródła finansowania dla „wpływowych" projektów, nagrody za wpływ i ulgi w pensum dla badaczy, którzy go osiągają (https://martawroblewska.pl/jak-brytyjskie-uczelnie-wspieraja-wplyw/).

Przez moje biurko w toku pracy badawczej przewinęło się już kilkaset opisów wpływu z trzech krajów: Polski, Norwegii i Wielkiej Brytanii. Te z Wielkiej Brytanii wyróżniają się swoją klarownością. Przebija z nich pełne zrozumienie tego, czym jest wpływ społeczny badań. Bo to wcale nie to samo, co

popularyzacja, komercjalizacja, współpraca nauki z biznesem czy trzecia misja uczelni. Jak rozgraniczyć te często zamiennie używane pojęcia? Otóż wpływ zaczyna się tam, gdzie pojawia się korzyść. Tę formułę „impact is defined as benefit or change" większość brytyjskich badaczy wyrecytuje, gdy obudzić ich w środku nocy. To za sprawą niezmordowanie powtarzających ją impact officerów.

W polskim kontekście wciąż trafiają się opisy składające się z kilku stron dumnych deklaracji globalnego zasięgu, napakowane listami zorganizowanych konferencji oraz odbytych wystąpień medialnych. Jednak po ich lekturze wciąż nie wiadomo, jaka w wyniku tych wszystkich działań zaszła zmiana i kto odniósł jakąś korzyść.

Koniec jest początkiem

Gdybym była ekspertem KEN oceniającym trzecie kryterium, zaczynałabym lekturę opisu wpływu od końca. Od dowodów. Często bowiem okazuje się, że deklaracje wpływu społecznego z opisu nie znajdują potwierdzenia w rzekomych dowodach.

W teorii załączniki do opisu powinny zawierać precyzyjnie wybrane i skrupulatnie zaprezentowane pliki, które dokumentują zmianę (choćby małą), jaką badania autora wywołały w świecie pozaakademickim. W praktyce można tam znaleźć wszystko: od publikacji akademickich, przez excelowskie tabele z danymi, skany ulotek produktów, zrzuty wpisów na mediach społecznościowych, po nieformalne wymiany mailowe między kolegami.

Wszystkie te elementy mogą stanowić dowód, o ile wskazują na zaistniałą po stronie beneficjenta zmianę. Czy wzrosła wiedza? Czy zwiększył się poziom świadomości danego problemu? Czy odnotowano zmianę w zachowaniach lub postawach beneficjentów? Jeśli załącznik mówi jedynie o tym, że wydarzenie miało miejsce, wpis pojawił się w mediach społecznościowych lub na blogu, a instytucji zamawiającej dostarczono raport – nie jest on prawdziwym dowodem.

Show, don't tell

Załóżmy, że wpływ zaistniał. To wcale nie oznacza, że opis wpływu automatycznie zostanie przez eksperta pozytywnie oceniony. Autorzy często zapominają przy ich pisaniu o kardynalnych zasadach tworzenia efektywnych tekstów. W tym o jednej, którą adepci sztuki pisania poznają na pierwszych zajęciach creative writing: nie opisuj, pokaż.

W wierszu oznacza to, żeby nie pisać, że „smutek mnie ogarnął", a oddać to uczucie przy pomocy obrazów i dźwięków. W powieści – żeby nie opisywać bohatera jako charyzmatycznego i diablo inteligentnego, a pokazać te cechy poprzez jego zachowanie i w dialogach.

Przy opisie wpływu chodzi o to, żeby unikać wszechobecnych w tych dokumentach stwierdzeń w rodzaju „działalność dyscypliny wywiera istotny, wielowymiarowy wpływ na rozwój społeczny i gospodarczy – zarówno w skali krajowej, jak i europejskiej oraz globalnej". Te znaki można lepiej wykorzystać, pisząc jak konkretnie działalność badaczy przełożyła się na rozwój, o jakie instytucje, w jakich krajach chodzi? Jakie zmiany w tych kontekstach można połączyć z interwencjami badaczy i skąd wiadomo, że te zmiany są pozytywne? Wreszcie: jakie mamy na to dowody?

Kto za tym wszystkim stoi?

Wiele polskich opisów wpływu przypomina opowiadania o zombie. Mało w nich „żywych" ludzi. Autorzy części opisów zapominają o kolejnej podstawowej zasadzie dobrego tekstu. Czytelnicy kochają bohaterów. I kochają czasowniki.

Porównajcie:

1. Podmiotowy produkt trafił do dystrybucji, znajdując zbyt u tysięcy klientów, co nastąpiło po uprzednim zbadaniu tworzywa, prototypowaniu produktu i jego wdrożeniu do produkcji we współpracy z firmą.

2. Naukowcy zbadali tworzywo, nawiązali współpracę z firmą, która wdrożyła je do produkcji i wprowadziła na rynek – dziś tysiące z nas mają produkty z tego materiału w domu.

Wrogiem skupienia przy lekturze są tak zwane czasowniki-zombie: zbadano, opracowano, wdrożono, ucieszono się. Wprawdzie jakaś czynność ma miejsce, ale nie wiadomo, kto ją wykonuje. W skrajnych przypadkach zdarzają się wielostronicowe opisy, w których nie ma ani jednego człowieka.

A tymczasem wpływ badań na świat jest fascynujący. W gruncie rzeczy każda opowieść o wpływie jest na głębszym poziomie uniwersalną opowieścią o bohaterze/bohaterce, którzy wyruszają w nieznane, żeby uratować świat przed niebezpieczeństwem. To Hobbit, Avatar i Pan Wołodyjowski w jednym. Tylko trzymając się suchego, bezosobowego akademickiego języka, z całej siły staramy się to ukryć.

Zwiększanie tempa eliminacji częstotliwości występowania ciągów dopełniaczowych

A jak najskuteczniej ukryć ciekawą opowieść? Obok czasowników-zombie „polecam" ciągi dopełniaczowe, czyli długie zdania zbudowane na zasadzie klocków tetris: „w efekcie wielowątkowych działań, które obejmowały konferencje i warsztaty, w tym międzynarodowe, osiągnięto skalowalne wyniki, których efekty obserwuje się w obszarze, prawa, także europejskiego, o czym świadczyć mogą dowody, w tym te wymienione w polu 5, w szczególności…".

Czytelnik czyta i czyta… a efektu katharsis brak.

Nie chcemy wystawiać na próbę naszych czytelników (ekspertów). W końcu to w ich rękach spoczywa ocena naszego opisu. Pamiętajmy więc o zasadzie prostej polszczyzny: musimy być szybcy i zrozumiali. To, co mamy do napisania, piszmy wprost, bez zbędnych ozdobników czy rozwlekłych wstępów.

Znaczenie ma znaczenie

Tyle o zasadach ogólnych, które stosują się nie tylko do opisów wpływu, a w zasadzie do każdego tekstu, od SMS-a po Great American Novel. Jeśli chodzi o cechy szczegółowe gatunku, jakim jest opis wpływu – edycja polska, warto pamiętać o dwóch elementach, którym będą przyglądać się eksperci. Są to znaczenie i zasięg. Również te kryteria są importowane z UK, gdzie występują jako reach and significance. Różnica polega na tym, że w Wielkiej Brytanii pojęcia te nie są dalej definiowane ani rozbijane na „poziomy" – ekspert kieruje się swoim osądem. W Polsce ogranicza go skala określona w rozporządzeniu. Znaczenie na przykład może być ocenione jako znikome (0), ograniczone (10), istotne (25) i przełomowe (50). Sęk w tym, że po lekturze często trudno to ocenić.

Przykładowo, kiedyś konsultowałam opis wpływu, który aż roił się od danych i zapisów chemicznych. Autorzy opisu opracowali ulepszony materiał, pisali szczegółowo o jego trwałości, odporności, elastyczności. Robiło to duże wrażenie, z tym zastrzeżeniem, że po lekturze nie rozumiałam dalej, co z tego wynika, kto z tego materiału korzysta i w jakim celu. Gdy zadałam to pytanie autorom, spojrzeli na mnie jak na kogoś niepoważnego. Kładzie się go na drogi. Trudno o bardziej praktyczne zastosowanie. Z tym, że w opisie nie było o tym ani słowa. Być może ekspert dziedzinowy by się domyślił, że skoro mowa o tym materiale, który zapewne wylądował na wielu nawierzchniach, czyniąc je trwalszymi i bardziej elastycznymi, znaczenie można uznać za istotne (25). Kto wie, może nawet przeło-

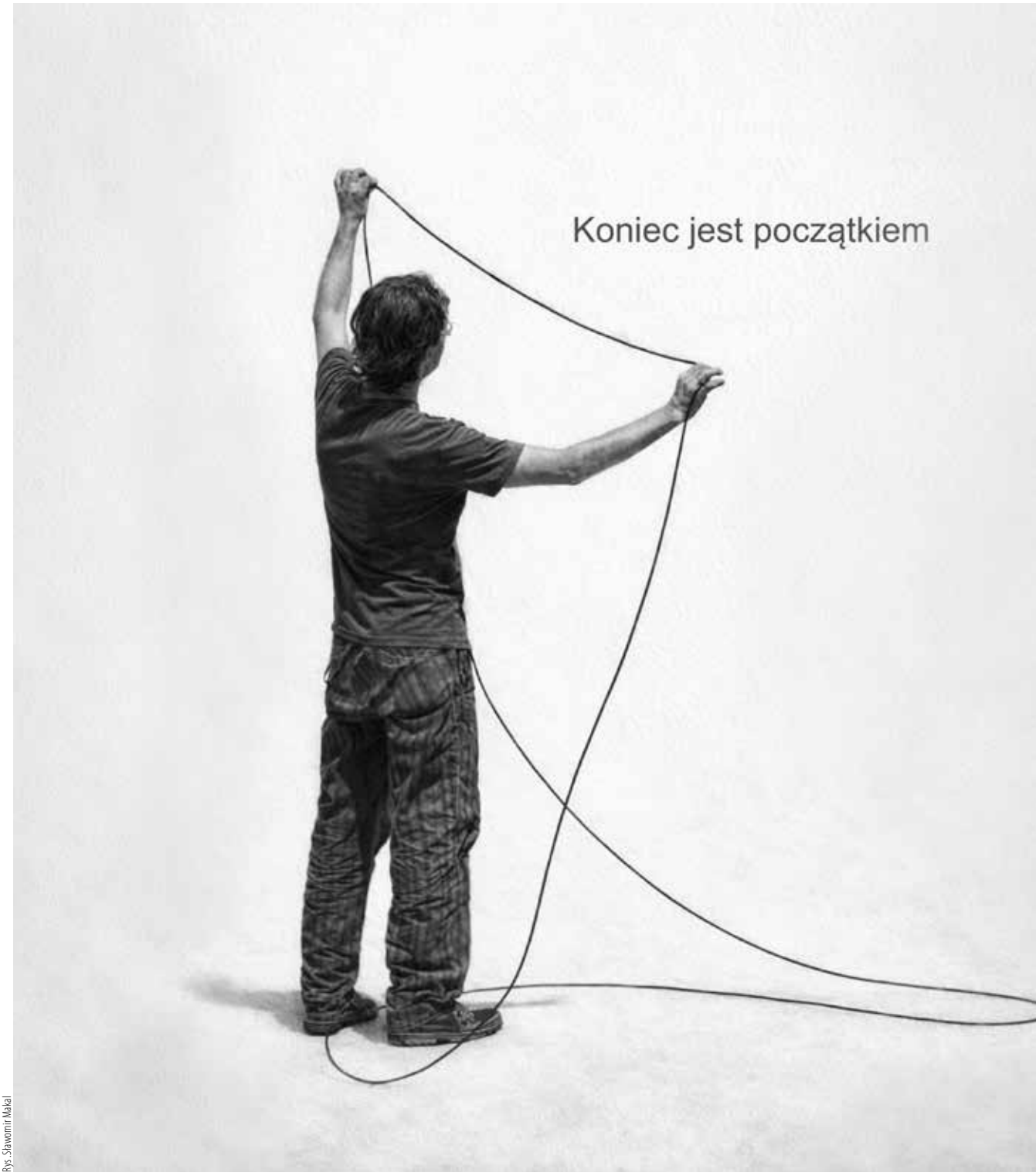
mowe (50), jeśli dzięki temu zmniejszyła się liczba wypadków, a gminy oszczędziły pieniądze.

Ale znowu kłaniają się uniwersalne zasady pisania: czytelnik lubi przeczytać happy end, emocje przeżyć, a nie wszystkiego się domyślać. Opisy wpływu jeszcze nie weszły w fazę postmodernizmu.

Zasięg, czy mamy zasięg?

Sprawa z zasięgiem znaczenia jest nieco bardziej skomplikowana, bo tu mamy aż dwie skale. Pierwsza z nich jest „geograficzna". Wpływ może być lokalny (20), regionalny (30), krajowy (40) albo międzynarodowy (50). Ta skala była jedyną w poprzedniej ewaluacji (2022). Jednak wymaganie, aby na najwyższą ocenę autorzy wykazali się wpływem w skali międzynarodowej było nieco zbyt ambitne. Nawet w brytyjskim kontekście, gdzie bądź co bądź łatwiej o międzynarodowy zasięg, można było uzyskać najwyższą ocenę także przy interwencji lokalnej, która jednak objęła wszystkich możliwych beneficjentów (np. wszystkich mieszkańców gminy, wszystkich uczniów danej szkoły, wszystkich producentów bitumitu). Takie rozumienie, odnoszące się do „kompletności oddziaływania", jest podstawą drugiej ze skali służących do oceny zasięgu w obecnej ewaluacji.

To dobrze, że system nie narzuca wszystkim badacz(k)om (mało realistycznego) żądania generowania międzynarodowego



Rys. Sławomir Makal

wpływu. Powstaje jednak pytanie: jak eksperci będą wybierać właściwą skalę? Wyobraźmy sobie, że dzięki moim badaniom stworzono ulepszoną pastę do zębów. To prawdziwy hit, producent eksportuje ją do wielu państw UE. Stosując skalę geograficzną, mojemu opisowi wpływu przysługiwałaby nota za zasięg „międzynarodowy" (70 pkt). Ale co, jeśli ekspert wybierze skalę dotyczącą zasięgu i powie: „No dobrze, ale nie eksportujecie do wszystkich państw świata. I nie wszyscy konsumenci kupują «waszą» pastę". Zgodnie z tą logiką, ekspert może zastosować skalę odnoszącą się do zjawiska i ocenić zasięg jako ograniczony (20 pkt).

Jaki z tego wniosek dla autorów? Trzeba precyzyjnie w opisie wskazać, jaki był nasz zamierzony cel, jakie zjawisko chcieliśmy objąć wpływem. A następnie starać się precyzyjnie wykazać, że osiągnęliśmy to w jak najwyższym stopniu.



Pokaż mi swoje metody, a powiem ci, czy jesteś interdyscyplinarny/a

Wreszcie wisienka na torcie: interdyscyplinarność. Ta sekcja jest fakultatywna, ale jeśli opis w niej zostanie uznany, przysługuje za nią 20 procent premii. Nie jest więc zaskoczeniem, że opisy wpływu, które nie deklarują interdyscyplinarności, są rzadsze od jednorożców.

Dziś wszyscy jesteśmy interdyscyplinarni. Na papierze, bo ten, jak wiadomo, wszystko przyjmie. Eksperci mogą okazać się bardziej wymagający. I powinni, bo zgodnie z przewodnikiem KEN „przez interdyscyplinarność nie należy rozumieć samej współpracy naukowców reprezentujących różne dyscypliny naukowe lub artystyczne" (a ten fakt autorzy zwykle prezentują jako interdyscyplinarność). A więc jak się objawia interdyscyplinarność? – spytacie. Otóż, cytując dalej przewodnik KEN, „objawia się w wykorzystaniu narzędzi, metodyk lub aparatury charakterystycznych dla innych dyscyplin niż oceniana".

Kiedy fizyk współpracuje z artystą, biolog z teologiem, a inżynier z pedagogiem, to uzupełnianie się metod i narzędzi stosunkowo łatwo wykazać. Sprawa jest trudniejsza, gdy projekt sytuuje się na znacznie częściej uczęszczanej granicy, jak ta między filozofią a psychologią, między socjologią a pedagogiką czy między naukami medycznymi a chemią. Wówczas okazuje się, że ich metody, raz połączone, wymieszały się niczym mak z kaszą w kutii i już nie sposób ich dobrze rozdzielić. Zarówno psycholog, jak i filozof mogą twierdzić, że taka na przykład psychoanaliza jest „ich", a w efekcie nikt nie dostanie punktów za interdyscyplinarność.

Co czynić? Ano pisać, tak jak wszyscy, ze świadomością, że to już ostatni raz, bo ta premia nie będzie przyznawana w kolejnej ewaluacji.

Koniec ewaluacji to idealny czas, żeby... zacząć przygotowania do ewakuacji

Każdy atleta wie, że ostatni dzień zawodów nie oznacza końca treningów i porzucenia diety. Następny turniej jest tuż za zakrętem, a inni sportowcy nie robią sobie wolnego. A czy ktoś jeszcze ma wątpliwości, że nauka jest dziś sportem wyczynowym?

Oczywiście warto celebrować moment zakończenia obecnej ewaluacji. Jednak roztropny trener (czytaj: rektor, prorektor) myśli przyszłościowo i już teraz planuje strategię dla swoich zawodników (czytaj: pracowników) na kolejny okres ewaluacyjny.

Po dwóch rundach ewaluacji będziemy mogli powiedzieć, że nieco oswoiliśmy temat ewaluacji wpływu społecznego, ale od 2026 r. pojawi się całkiem nowa dyscyplina. Mam na myśli drugi filar ewaluacji, dotyczący „potencjału działalności naukowej". Pojęcie równie wieloznaczne co „wpływ społeczny". Czas pokaże, jakie nowe formy ewaluacji i gatunki tekstu wokół niego wykiełkują. Jedno jest pewne – sukces w ewaluacji odniosą jednostki, które w swój potencjał zainwestują już teraz, podobnie jak w trzecim kryterium brylują ci, którzy wpływ tworzyli w całym okresie ewaluacji, a nie próbowali generować go na „ostatniej prostej" ewaluacyjnego maratonu.

Tyle w temacie postanowień noworocznych. Szczęśliwego Nowego Okresu Ewaluacyjnego!

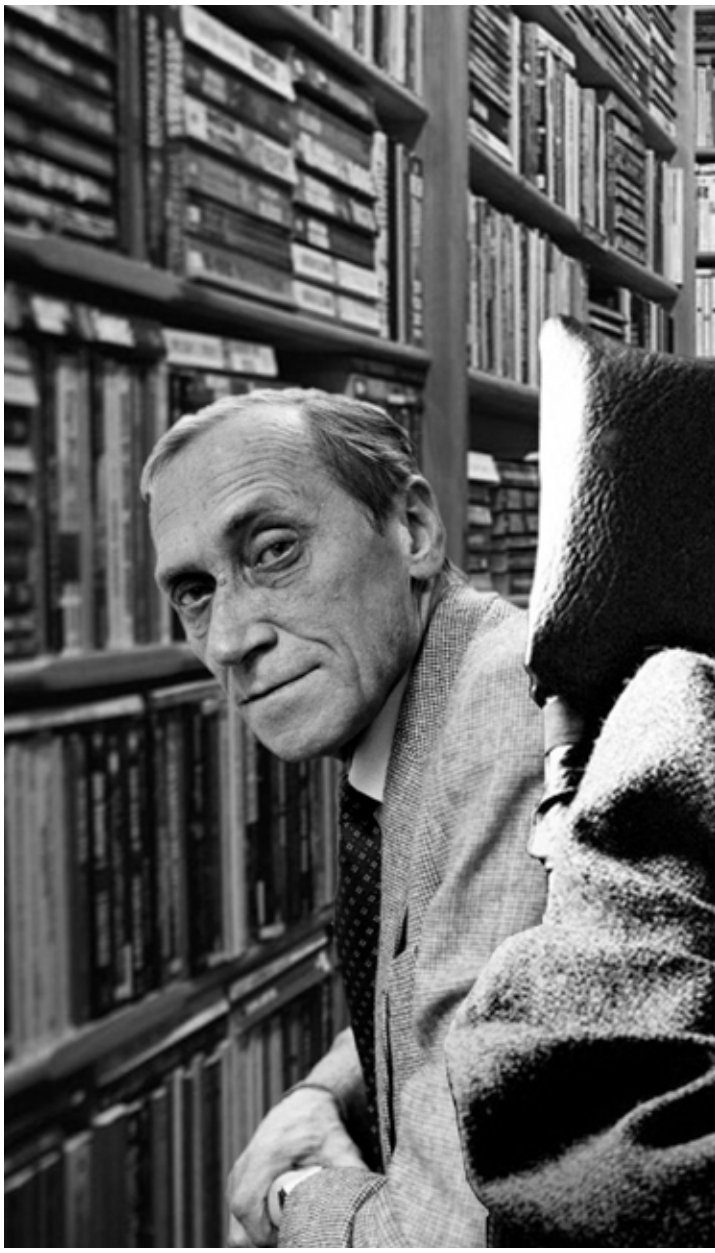
Marta Wróblewska – filozofka, doktor językoznawstwa. Impact Ninja. Adiunkt w Instytucie Nauk Humanistycznych Uniwersytetu SWPS. Autorka poradnika „Jak napisać opis wpływu społecznego".

Zbigniew Drozdowicz

Akademicka eseistyka

Wprawdzie eseistyka już dosyć dawno znalazła uznanie w literaturze, jednak nadal ma problemy za znalezieniem go w środowisku akademickim .Wystąpię tutaj w roli obrońcy, bowiem warto docenić jej rolę w popularyzowaniu nauki, w tym idei, które albo inspirują badania naukowe, albo stanowią ich ważne motywy .

W literaturze eseistyczny sposób wypowiadania się swoją popularność zawdzięcza m.in. opublikowanemu w 1580 roku obszernemu dziełu Michela Montaigne'a pt. *Essais* (*Próby*). Jego autor podjął w nim tak różne problemy, że sporządzenie ich kompletnej listy może nastręczyć kłopotów niejednemu profesjonalnemu literaturoznawcy. Niemałe trudności może on mieć z wyłonieniem chociażby tych dla Montaigne'a najistotniejszych, bowiem raz najistotniejszy jest dla niego problem trapiącej go kolki, a innym razem bożej Opatrzności. Krótko mówiąc: jest on zmienny w swoich problemowych preferencjach, bowiem zmienne były koleje jego życia (dzieło to pisał przez 16 lat), a także życia wielu tych, którzy pojawiają się na kartach *Prób*. Zróżnicowana jest również ich kompozycja. Składają się one bowiem zarówno z kilkustronicowych dywagacji, jak i z rozdziałów tak obszernych, że mogłyby funkcjonować jako samodzielne studia problemowe. Raymond Lebègue, współautor przeglądowego dzieła pt. *Literatura francuska*, przyznaje, że czytelnika mogą *Próby* „zniechęcić swoją treścią lub formą", a nieraz można zarzucić ich autorowi mijanie się z prawdą. Dodaje jednak, że „we Francji XVIII wieku wielu filozofów zachłystuje się nimi, niejeden włącza je do krucjaty przeciw «zabobonom». J.-J. Rousseau zapożycza z nich znaczną część swych poglądów pedagogicznych (…) i od Anglika Locke'a, który również rozczytywał się w dziele Montaigne'a". Dla jasności trzeba dodać, że żaden z wymienionych filozofów nie był akademickim profesorem, a Rousseau nie miał nawet akademickiego wykształcenia.



Eseje docenione

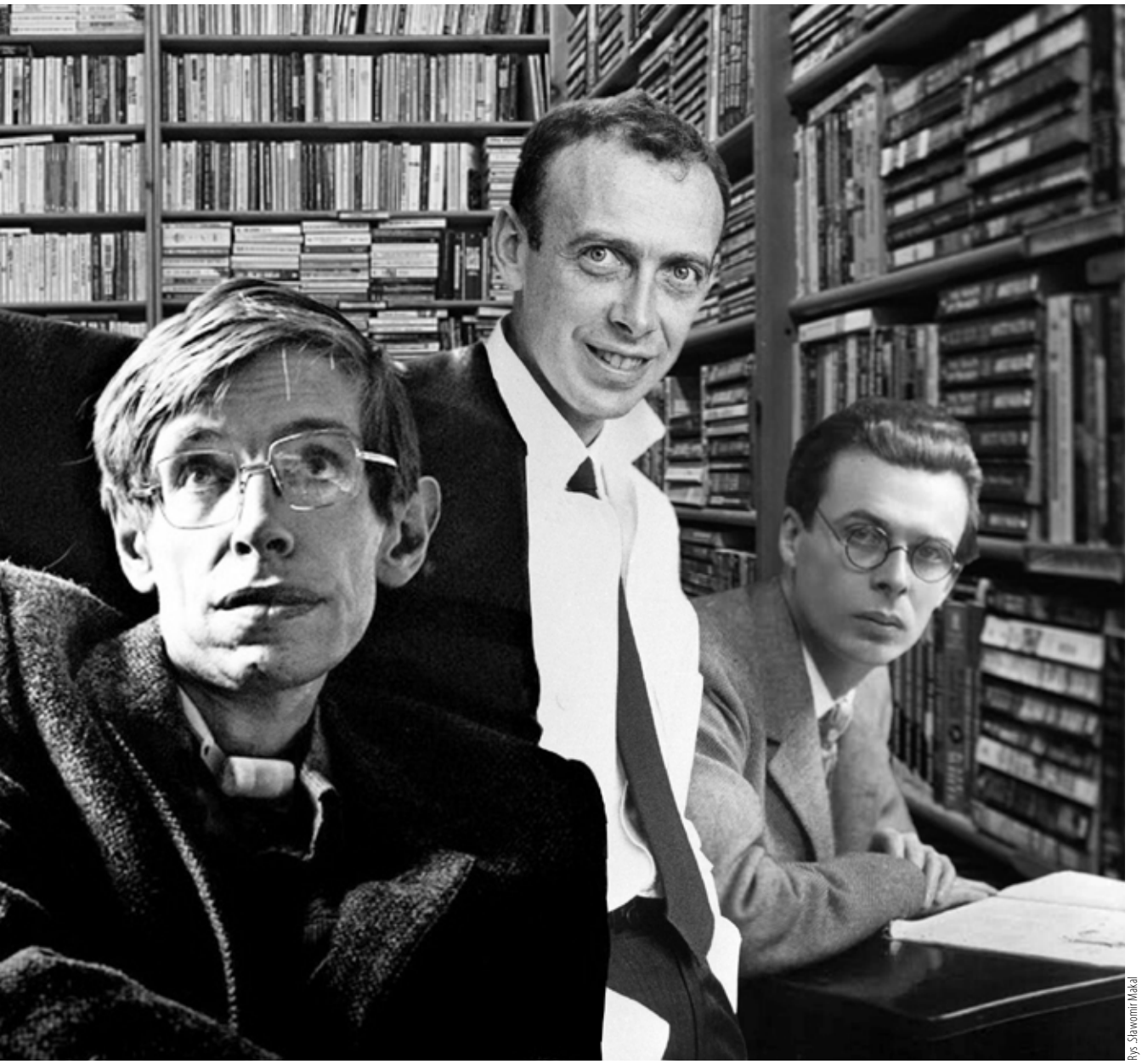
W tamtym stuleciu pojawiali się jednak również akademicy, którzy z powodzeniem uprawiali filozoficzną eseistykę. Należał do nich m.in. Adam Smith, wykładowca retoryki i literatury na Uniwersytecie Edynburskim oraz logiki na Uniwersytecie w Glasgow. Za jego opus magnum uchodzą *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów* (1776). Jednak uznanie u studentów przyniosły mu eseistyczne wykłady, które opublikował w 1759 roku pt. *Teoria uczuć moralnych*. Za jego przykładem poszli niektórzy uczniowie, m.in. Thomas Maltus, autor *An essay on population law* (*Eseju o prawie populacji*). W XIX wieku spore sukcesy święciła eseistyka, w której porównywane były ze sobą różne formacje kulturowe. Takim eseistą był francuski literaturoznawca Hippolyte Taine, wykładowca uniwersytetów w Tulonie, Newers

i Poitiers. W 1854 roku otrzymał nagrodę Akademii Francuskiej za *Esej o Liwiuszu*. Międzynarodowe uznanie przyniosła mu *Historia literatury angielskiej* (1863). Sukces zawdzięczała książka nie tylko nowatorskiemu przedstawieniu historii literatury angielskiej, ale także uwzględnieniu takich jej determinant jak środowisko, otoczenie i rasa. Dzieło to stanowi manifest naturalizmu, do którego skłaniał się niejeden z ówczesnych przyrodników.

W XVIII stuleciu spory udział w spopularyzowaniu eseistycznej formy wypowiedzi mieli również literaci, których dzieła spotykały się z szerokim zainteresowaniem czytelników. Należał do nich Karol Dickens, autor m.in. *Davida Coperfielda*. Mniej znane są jego tzw. pisma epizodyczne, w tym esej zatytułowany *The Noble Savage and Nobody's Story* (*Szlachetny dzikus i historia niczyja*, 1853). Dickens przyznał w nim, że „nie ma najmniejszej wiary w szlachetnego dzikusa. Uważa go za ogromne utrapienie i ogromny przesąd. (...) Szlachetny dzikus wyznacza króla, aby panował nad nim, któremu bez szemrania i pytania poddaje swoje życie i członki i który przez całe życie brodzi głęboko w jeziorze krwi; ale który po nieustannym zabijaniu zostaje z kolei zabity przez swoich krewnych i przyjaciół w chwili, gdy na jego głowie pojawia się siwy włos. Wszystkie wojny szlachetnego dzikusa z innymi dzikusami (a nic innego nie sprawia mu przyjemności) są wojnami eksterminacyjnymi (...). Nie ma on żadnego rodzaju uczuć moralnych; a jego «misję» można podsumować jako po prostu diabelską". Mocno powiedziane i – co niemniej istotne – było to czytane zarówno przez stosunkowo nielicznych przeciwników polityki kolonialnej, jak i licznych biernie przyglądających się eksterminacji plemion amerykańskich Indian (esej ten został napisany po pobycie Dickensa w Ameryce). W XX stuleciu do popularności tej formy wypowiedzi przyczyniła się m.in. Wirginia Woolf. Jej esej zatytułowany *Own room* (*Własny pokój*) jest uznawany za swoisty manifest ideowy w obronie równouprawnienia kobiet.

Watson i Hawking

Każdy z przywołanych esejów w sposób literacki popularyzował różne idee. Na akademickie „salony" trafiały jednak przede wszystkim te, które nie tylko stanowiły manifestację subiektywnych przeżyć i przekonań ich autorów, ale także potrafiły w stosunkowo prosty i przekonujący sposób przedstawić naukowe osiągnięcia albo przynajmniej próby rozwią-



Rys. Sławomir Makal

zania trudnych problemów badawczych. Takie eseje pojawiają się stosunkowo rzadko, bowiem wymagają wysokich kwalifikacji naukowych, a także talentu do interesującego opowiadania o problemach, z którymi zmagają się uczeni. Podam kilka przykładów takich esejów. Nie traktuję ich jednak jako wzorzec popularyzacji nauki, bowiem talent, jakim obdarzeni byli ich autorzy, są raczej trudne do naśladowania (próbować oczywiście można).

Pierwszym z przykładów niech będzie esej Jamesa D. Watsona *Podwójna helisa. Historia odkrycia struktury DNA*. Przedstawiona w nim została historia dokonanego w 1953 roku przełomowego odkrycia (jego współautorzy w 1962 roku otrzymali za nie nagrodę Nobla), ale także okoliczności, które mu towarzyszyły oraz charakterystyki uczonych, którzy mieli najbardziej znaczący udział w jego dokonaniu. Jeśli wierzyć J.D. Watsonowi, najbarwniejszą postacią w tym gronie był biochemik, genetyk i biolog molekularny Francis Crick. Wyróżniać się miał nie tylko brakiem skromności („Nigdy nie zdarzyło się spotkać Francisa Cricka w nastroju skromnej powściągliwości") oraz gadatliwością („wielu ludzi uważało, że jest zbyt gadatliwy"). Innego typu osobowością był Maurice H.F. Wilkins („Maurice był fizykiem i jako podstawowe narzędzie badawcze stosował promienie rentgenowskie"). Jednak „działał rozpaczliwie wolno", co „pogłębiało frustracje Francisa". Był on w ostrym konflikcie z laborantką Rosalind E. Franklin: „niemal od chwili jej pojawienia się w laboratorium obydwoje działali sobie na nerwy. W tym okresie Maurice dopiero rozpoczynał prace nad dyfrakcją promieni Roentgena i potrzebował pomocy fachowca, miał więc nadzieję, że przybycie Rosy – doświadczonego krystalografa – przyspieszy badania. Ale Rosy patrzyła na to inaczej. Domagała się by DNA zostało jej oddane «na własność» jako przedmiot jej własnych badań, i wcale nie miała zamiaru myśleć o sobie jako asystentce Maurice'a". Dla jasności dodam, że nie znalazła się ona w gronie tych osób, które otrzymały w 1962 roku nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny. Natomiast książka J.D. Watsona znalazła się wprawdzie w 1968 roku na liście stu najlepszych książek non-fiction, jednak jej opublikowaniu w prestiżowym Harvard University Press sprzeciwili się M. Wilkins i F. Cric, który nazwał ją „godnym pogardy zbiorem przeklętych bzdur". Nie zakwestionowali jednak udziału jej autora w odkryciu DNA, ani jego zdolności do opowiadania o nim w sposób zrozumiały dla niespecjalistów.

Popularyzatorskie uzdolnienia posiadał również brytyjski fizyk teoretyczny (profesor Uniwersytetu Cambridge) Stephen Hawking. Jego esej *Krótka historia czasu* znajdował się przez ponad cztery lata na liście bestsellerów „British Sunday Times". Ktoś może zapytać, co ciekawego może być w tej historii, że wywołała ona aż tak szerokie zainteresowanie? Tytuły jego poszczególnych części – np. jak *Rozszerzający się wszechświat*, *Zasada nieoznaczoności* czy *Czarne dziury* – są zapewne intrygujące dla fizyków teoretycznych, a nawet dla osób studiujących fizykę (esej został napisany na podstawie cyklu wykładów wygłoszonych na Uniwersytecie Harvarda), ale zwykłego czytelnika mogą zniechęcać. Zapewne nie ma jednej przekonującej odpowiedzi na to pytanie. Można jednak powiedzieć, że nie bez znaczenia było zarówno pojawiające się w niej wątki autobiograficzne (w tym choroba jego autora na ALS), jak i to, że przywoływani są w niej inni znani uczeni (m.in. Galileusz i Albert Einstein), a nawet Bóg, który „zdecydował, że wszechświat powinien zakończyć swe istnienie w stanie uporządkowanym, lecz nie zatroszczył się o stan początkowy". Stawiane są w niej również pytania, które może postawić wiele osób spoglądających z zainteresowaniem, ale też z pewnym niepokojem w kosmos, np. „co stanie się, gdy wszechświat przestanie się rozszerzać i zacznie się kurczyć? Czy termodynamiczna strzałka czasu odwróci się i nieporządek zacznie maleć?". Hawking nie twierdzi, że jedynie on potrafi udzielić poprawnej odpowiedzi na takie pytania. Przyznaje nawet, że „początkowo uważał, iż nieporządek zmaleje, gdy wszechświat będzie się kurczył". Jednak się mylił i potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego się mylił (w błąd wprowadził go m.in. „rozważany wcześniej prosty model wszechświata"). Rzecz jasna błądzenie jest rzeczą ludzką. Jednak do skorygowania takich błędów zdolni są jedynie dużego formatu uczeni. Takim był bez wątpienia Stephen Hawking.

Kołakowski

W polskich realiach akademickich można również znaleźć uzdolnionych popularyzatorów, którzy potrafią łączyć specjalistyczne kompetencje i osiągnięcia z eseistyczną formą wypowiedzi. Niektórzy osiągnęli w tym swoiste mistrzostwo. Zaliczam do nich filozofa Leszka Kołakowskiego, autora m.in. esejów *Moje słuszne poglądy na wszystko* (2005), *Dlaczego istnieje coś, a nie nic?* (2007) czy *Eseju apologetycznego i sceptycznego* (2014). Droga do ich napisania była długa i trudna, bowiem prowadziła od swoistego zauroczenia marksizmem, poprzez głębokie rozczarowanie i rozstanie się z nim, aż do postawy, która nie oznacza wprawdzie szukania oparcia w Bogu, ale oznacza dokonanie rachunku sumienia ze swoją filozoficzną przeszłością i przejście na pozycje dialogu z tymi, którzy łączą naukową wiedzę z wiarą religijną. Napisany przez niego esej *W krajach Stalina. Tezy o nadziei i rozpaczy* stanowił źródło inspiracji dla środowisk opozycyjnych czasów PRL-u. Z okazji nadania Kołakowskiemu przez Uniwersytet Łódzki honorowego doktoratu w 1992 roku wygłosił on zwyczajowy wykład zatytułowany *Diabeł* kłamie również, kiedy mówi prawdę, w którym w sposób nieco żartobliwy rozliczał się ze swoją „chmurną i durną" filozoficzną młodością oraz opowiedział się za różnorodnością, jaką stanowili z jednej strony średniowieczni teolodzy, a z drugiej ich nowożytni krytycy. Jednym z nich był Blaise Pascal. Wprawdzie jeszcze w 1962 roku na łamach marksistowskich „Argumentów" Kołakowski utrzymywał, że pascalowskie paradoksy wynikają z banału, jakim jest nieprzekraczalność tego, co nieskończone, to jednak w opublikowanym w 1994 roku eseju *Bóg nic nie jest dłużny* przedstawiał religię Pascala jako próbę wykroczenia poza Augustyńską teorię bożej łaski. Przyznał w nim, że „prawda głosząca, że ostatecznie wszystko (…) zależy od Opatrzności, mogłoby dla chrześcijanina zabrzmieć banalnie, jednakże Pascalowi przypadło w udziale objawić i odmalować pełnię dramatycznego wymiaru tej prawdy".

Huxley

Wielu eseistów podejmowało próbę odpowiedzi na pytanie, jakie warunki powinny spełniać eseje, aby można było je uznać za dobre? Taką próbę podjął amerykański pisarz Aldous Huxley. We wprowadzeniu do swojego Zbioru esejów (*Collected* Essays, 1960) stwierdził, że esej jest wprawdzie „próbą powiedzenia wszystkiego o wszystkim" i to w sposób „skrajnie zmienny", jednak dobry esej w tej zmienności trzyma się trzech „biegunów", tj.: „osobistego i autobiograficznego", „anegdotycznego i opisowego", oraz „abstrakcyjno-uniwersalistycznego". Skłonny jestem podpisać się pod tą opinią. Dodam jednak, że wielką sztuką jest umiejętność wyważenia odpowiednich proporcji miedzy tymi „biegunami", a jest to tym trudniejsze im bardziej wielowymiarowe problemy są w esejach podejmowane, analizowane i oceniane. Sztuką jest również mówienie w sposób niebanalny o tym, co postronnemu obserwatorowi może wydawać się banalne.

Marek Wroński

Sprawiedliwość po toruńsku

Mam wrażenie, że surowość reakcji na plagiat czy inne poważne naruszenie etyki naukowej w toruńskim środowisku akademickim i prokuratorsko-sądowym w ostatnich latach bardzo się zmniejszyła .

Prawie trzy lata temu ujrzał światło dzienne pierwszy plagiat dr. Jacka Rakoczego, ówczesnego adiunkta w Instytucie Archeologii UMK w Toruniu i prodziekana ds. nauki tamtejszego Wydziału Nauk Historycznych (patrz: *Plagiatowe wykopalisko w Toruniu*, FA 4/2023). Plagiat polegał na dokładnym przetłumaczeniu na język angielski artykułu sprzed prawie 50 lat (z 1976 r.) autorstwa wybitnego, dziś już emerytowanego profesora historii starożytnej Macieja Salamona z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Dr Rakoczy umieścił przekład jako rozdział Abandoned, *Lost or Forgotten? The Changes in the Perception of Transdanubian Dacia in Late Antiquity* na stronach 31-44 monografii *Migration – Kommunikation – Transfer*, wydanej w 2021 r. w Niemczech. Był to pierwszy tom serii „Geschichte im mitteleuropäischen Kontext", której redaktorem naczelnym i prowadzącym była dr Renata Skowrońska, historyk z Torunia, dziś stale mieszkająca i pracująca w Katedrze Historii Regionalnej Frankonii Uniwersytetu w Würzburgu. Do chwili obecnej opublikowano 8 tomów tej serii, wydawanej przez niemieckie wydawnictwo Vandenhoeck & Ruprecht Verlage w Getyndze będące częścią koncernu wydawniczego De Gruyter Brill GmbH w Berlinie i Leiden (Holandia). Przedsięwzięcie wspierane finansowo przez toruńską uczelnię powstało we współpracy historyków UMK i jego Polskiej Misji Historycznej (administrator: dr Renata Skowrońska) z Uniwersytetem w Würzburgu. Redaktorami pierwszej monografii byli prof. Andrzej Radziminski (były rektor UMK) i dr Jacek Rakoczy (UMK w Toruniu) oraz prof. Helmut Flachenecker i dr Renata Skowrońska (Uniwersytet w Würzburgu). Mimo że ten solidnie udokumentowany plagiat ukazał się na przełomie marca i kwietnia 2023 r., redaktorzy tomu nie spieszyli się z oficjalną retrakcją, której dokonano dopiero dwa lata później, w połowie 2025 r. Nie spełnia ona jednak wymagań COPE (Committee on Publication Ethics), o czym napiszę dalej.

Dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające

O wykryciu plagiatu formalnie zawiadomiłem ówczesnego rektora, prof. Andrzeja Sokalę, 28 lutego 2023 r., załączając konkordancję zapożyczeń, opinię o skali przejęć. Poprosiłem też o wszczęcie dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego wobec dr. Jacka Rakoczego. Poinformowałem przy tym, że splagiatowany rozdział w części rozlicza grant Narodowego Centrum Nauki nr 016/21/B/HS3/02923, kierowany przez dr. J. Rakoczego. Z kolei prof. Sławomir Sprawski, przewodniczący Rady Dyscypliny Historia Uniwersytetu Jagiellońskiego, dzień wcześniej e-mailem powiadomił ówczesnego dziekana Wydziału Nauk Historycznych UMK, prof. Stanisława Roszaka, o zarzucie plagiatu wysuniętym przez prof. Salamona. Tego ostatniego powiadomiłem telefonicznie i e-mailem 15 lutego 2023 r. o odkrytym plagiacie popełnionym na jego artykule.

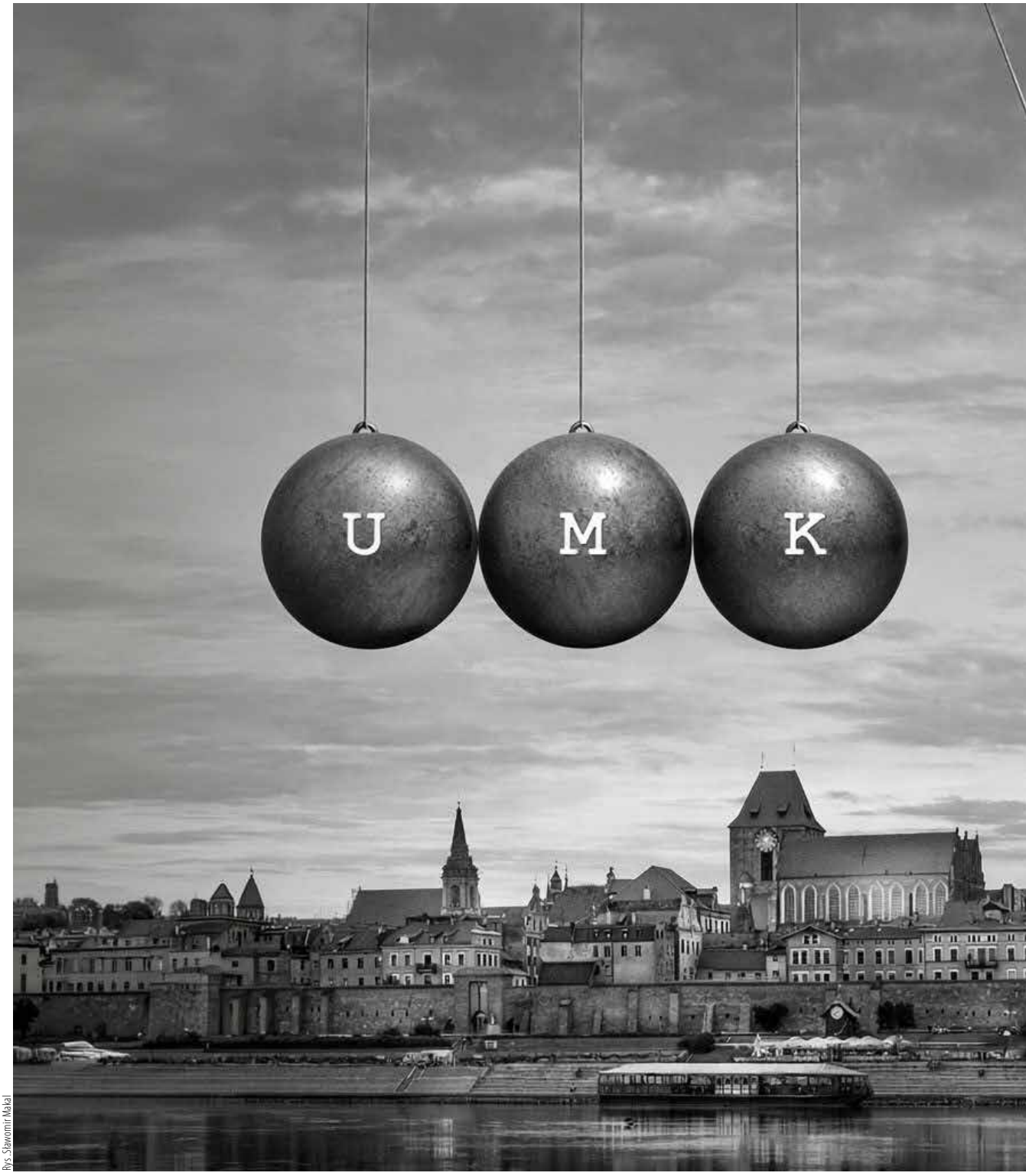
Rektor A. Sokala już 14 marca 2023 r. polecił wszczęcie postępowania wyjaśniającego rzecznikowi dyscyplinarnemu dr. hab. Pawłowi Nowickiemu, prof. UMK, z Katedry Prawa Międzynarodowego i Europejskiego UMK. Specjalizuje się on w prawie gospodarczym oraz jest członkiem Rady Zamówień Publicznych. Rzecznik otworzył postępowanie błyskawicznie, bo już 23 marca 2023 r. Jacek Rakoczy został przesłuchany 23 maja 2023 r. Nie przyznał się do plagiatu, oświadczając, że nie znał tej pracy, a ewentualne zbieżności pochodzą z faktu, że opierał się na podobnej literaturze. Zeznał, że tożsamość publikacji wynikała z tego, że nie ma innych źródeł bibliograficznych dotyczących tego tematu. Oświadczył, że nie rozumie i nie przyjmuje zarzutu, iż jego tekst to tłumaczenie pracy prof. Macieja Salamona. Opowiedział, że „jeszcze 27 lutego 2023 r. wystosował pismo do prof. S. Sprawskiego z prośbą o przekazanie prof. M. Salamonowi jego stanowiska". Jak wynika z protokołu przesłuchania, dr Rakoczy przekazał rzecznikowi dyscyplinarnemu kopię pisma adresowanego do prof. M. Salamona, które jakoby wysłał wcześniej za pośrednictwem prof. S. Sprawskiego. Oświadczył, że nie było jego intencją naruszenie praw autorskich prof. M. Salamona. Poinformował rzecznika dyscyplinarnego, że dziekan Wydziału Nauk Historycznych UMK, prof. Roszak, przekazał mu ustnie informację od prof. S. Sprawskiego, że prof. M. Salamon przyjął wyjaśnienia zawarte w piśmie wysłanym do Krakowa i nie zamierza sprawy kontynuować.

Jak się jednak okazało, o czym później poinformował mnie pisemnie prof. Sprawski, powyższa opowieść nie jest zgodna z prawdą. Prof. Sprawski oświadczył, iż nie tylko nie otrzy-

mał żadnego listu od dr. Rakoczego do prof. Salamona, ale też nigdy z nim nie korespondował. Podobne informacje przekazała mi córka prof. Salamona, opiekująca się podupadającym na zdrowiu ojcem.

W dalszej części przesłuchania rzecznik dyscyplinarny stwierdził, że istnieje kolejna retrakcja pracy dr. Rakoczego z powodu plagiatu, tym razem w łódzkim czasopiśmie „Acta Archaeologica Lodziensia" z 2016 r. Jak wynika z protokołu przesłuchania, Jacek Rakoczy ustosunkował się do tej sprawy następująco: „Kwestię artykułu z 2016 roku uważam za manipulację dziennikarską, bo opisana sytuacja nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości (…) i traktuję ją jako naruszenie swoich dóbr przez działanie Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. (…) O nierzetelności dziennikarskiej Forum Akademickiego świadczy fakt, że redaktor Wroński nie prosił mnie o wypowiedź w sprawie artykułu z 2016 roku, a ten absurdalny zarzut zobaczyłem dopiero w gazecie (…). Dla niego (tj. Jacka Rakoczego – MW) cała sytuacja opisana przez Forum Akademickie jest próbą dyskredytacji jego osoby, być może w związku z jego działalnością jako eksperta Komisji Ewaluacji Nauki (KEWN) ds. ewaluacji dyscyplin naukowych".

Jednak, jak sprawdziłem, dr Rakoczy nie był członkiem żadnego zespołu KEN, co nie wyklucza, że nie mógł sporządzić jednej czy dwóch opinii, czego jednak nie zdołałem potwierdzić.



Rys. Sławomir Maikal

Nie miało to zupełnie związku z retrakcją jego dwóch plagiatowych artykułów w roczniku „Acta Archaeologica Lodziensia", dokonaną przez wydawcę, którym jest Łódzkie Towarzystwo Naukowe (prezes: prof. Antoni Różalski) i redaktora naczelnego, prof. Tadeusza Mielczarka, nawiasem mówiąc promotora doktoratu J. Rakoczego. Szczegóły tych dwóch łódzkich retrakcji oraz trzeciej, dotyczącej artykułu w roczniku toruńskim „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Archeologia" opisałem już w „Forum Akademickim" (patrz: *Plagiatowe dopowiedzenia*, FA 6/2023).

Rzecznik dyscyplinarny, prof. P. Nowicki, dopiero na początku grudnia 2023 r. powołał biegłą, dr hab. Ewę Kościałkowską-Okońską, prof. UMK, która jest anglistką, językoznawcą, ale również zawodowym tłumaczem tekstów angielskich oraz tłumaczką przysięgłą języka angielskiego. Biegła sporządziła obszerną 24-stronicową opinię, datowaną na 13 stycznia 2024 r., w której znalazły się 22 strony konkordancji obu tekstów. W konkluzji wykazała, że tekst Jacka Rakoczego „jest dokładnym tłumaczeniem tekstu MS (Macieja Salamona – MW) i w niezwykle wysokim stopniu odzwierciedla jego treść. Zachowana jest sekwencja zdań (również wewnątrz zdań) zgodna z tekstem MS w obrębie całego artykułu. Tłumaczenie jest bardzo wierne, wręcz dosłowne. Elementy leksykalne z oryginału powtórzone są w tekście JR, przymiotniki, przysłówki i wyrażenia idiomatyczne występują w postaci swoich ekwiwalentów w języku docelowym". Prof. Kościałkowska-Okońska podkreśliła, że „nie pojawia się odwołanie do publikacji MS. Podsumowując: tekst JR jest tłumaczeniem tekstu MS".



Wniosek o ukaranie i rozprawa dyscyplinarna

Rzecznik złożył 28 lutego 2024 r. do Komisji Dyscyplinarnej UMK wniosek z 16 lutego 2024 r. o ukaranie dr. Jacka Rakoczego naganą i obniżeniem uposażenia o 25% na okres dwóch lat. Powiadamiając o tym rektora prof. Andrzeja Sokalę, rzecznik stwierdził, że liczne fragmenty tekstu dr. J. Rakoczego są dokładnym tłumaczeniem tekstu prof. Macieja Salamona i w niezwykle istotnym stopniu odzwierciedlają jego treść. Rektor pismem z 16 kwietnia 2024 r. powiadomił Prokuraturę Toruń Centrum-Zachód o podejrzeniu popełnienia przestępstwa naruszenia praw autorskich.

Chciałbym zwrócić uwagę, iż prawo nakłada na rektora wymóg bezzwłocznego powiadomienia prokuratury o podejrzeniu przestępstwa plagiatu. W tym wypadku powinno to nastąpić już w marcu 2023 r., po otrzymaniu ode mnie przez rektora A. Sokalę dwóch dokumentów: konkordancji zapożyczeń wykonanej przez mgr. Jakuba Hendzla, doktoranta z UŁ i opinii o wielkości plagiatu, wyrażonej przez dr. Antoniego Grabowskiego z Instytutu Historii PAN w Warszawie. Oba te dokumenty zostały upublicznione w internetowym wydaniu „Forum Akademickiego" z kwietnia 2023 r. pod artykułem *Plagiatowe wykopalisko w Toruniu* i nawet dzisiaj można się z nimi zapoznać.

Niestety, rektor Sokala, prawnik z wykształcenia, tego nie zrobił, a co więcej, nie przyjął rezygnacji dr. Rakoczego ze stanowiska prodziekana ds. nauki, a jedynie zawiesił go w dniu 16 marca 2023 r. w pełnieniu obowiązków. To spowodowało, że plagiator na oczach całego Wydziału Nauk Historycznych i Instytutu Archeologii UMK przez ponad rok chodził w glorii bezkarności i głosił – przy milczeniu wydziałowo-instytutowych autorytetów – że plagiatu nie ma i nie było, a Wroński go oczernia. Jedynie, jak sam przyznał, popełnił zaniedbanie badawcze, nie odnotowując artykułu prof. Salamona opartego przecież na tej samej bibliografii, i dlatego tak podobnego do jego pracy.

Wracając do treści wniosku o ukaranie, zdziwił mnie fakt, że prof. Nowicki pominął znajdujące się w materiałach postępowania wyjaśniającego: opinię dr. A. Grabowskiego oraz konkordancję przejęć, jakoby dlatego, że „zostały wykonane na potrzeby publikacji prasowych. Ocena zasadności zarzutu stawianego obwinionemu została oparta na opinii niezależnej, pozyskanej w toku postępowania wyjaśniającego". Nie jest to prawda. Obydwa powyższe dokumenty były przygotowane specjalnie dla rektora UMK, aby zainicjował wszczęcie postępowania wyjaśniającego i odwołał dr. J. Rakoczego ze stanowiska prodziekana ds. nauki. Z tego powodu oba dokumenty wysłałem rektorowi 28 lutego 2023 r., zaś wzmiankowany artykuł

ukazał się prawie dwa miesiące później i był oparty na różnych materiałach.

Kolejną ciekawostką jest motywacja rzecznika co do wymierzenia tak symbolicznej kary, jaką jest nagana, za bezczelny plagiat popełniony na pracy wybitnego, ale już sędziwego uczonego z UJ. Prof. Nowicki napisał: „Na wysokość wnioskowanej przez Rzecznika kary wpłynęło kilka istotnych okoliczności. Po pierwsze, obwiniony zaraz po uzyskaniu informacji o zarzucie plagiatu (tj. w dniu 27 lutego 2023 r.), zrezygnował z funkcji prodziekana Wydziału Nauk Historycznych i oddał się do dyspozycji JM Rektora UMK. Po drugie, podjął próbę kontaktu z prof. dr hab. M. Salamonem, przekazując swoje przeprosiny za pośrednictwem Pana dr. hab. Sławomira Sprawskiego, prof. UJ – Przewodniczącego Rady Dyscypliny Historia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uzyskał od niego informację, że prof. dr hab. Maciej Salamon przyjął wyjaśnienia i nie zamierza sprawy kontynuować". Jak już wiemy, to ostatnie nie było prawdą.

No i kolejna ciekawostka: rzecznik dyscyplinarny pominął milczeniem i ukrył obecność drugiego udowodnionego, bo już wtedy potwierdzonego retrakcją, plagiatu. Był to artykuł pt. *Badania limesu dackiego w okolicach fortu Bologa w latach 2012-2016*, opublikowany w roczniku „Acta Archaeologica Lodziensia", 2016, 62, str. 69-77. Nie umieścił informacji o istnieniu drugiego plagiatu we wniosku dyscyplinarnym, chociaż miał taki obowiązek prawny. Nie skontaktował się również z redakcją łódzkiego czasopisma, aby otrzymać potwierdzenie o retrakcji plagiatowego artykułu z pierwszej ręki.

Trwająca 45 minut rozprawa dyscyplinarna przed zespołem orzekającym Komisji Dyscyplinarnej UMK odbyła się 10 maja 2024 r. Zespół orzekał w składzie: przewodniczący – prof. Maciej Wróblewski z Instytutu Literaturoznawstwa, członkowie: dr hab. Joanna Marszałek-Kawa, prof. UMK z Instytutu Nauk o Polityce oraz dr hab. Jan Iwaniszewski, prof. UMK z Instytutu Fizyki. Na rozprawie zabrakło rzecznika dyscyplinarnego, dlatego wniosek dyscyplinarny przeczytał przewodniczący. Obwiniony przyznał się do winy „z zaznaczeniem że jego działanie nie było intencjonalne" i tłumacząc przejęcia cudzego tekstu niedostatkami własnego warsztatu badawczego, „wejściem na nieswoją działkę, bowiem jest archeologiem, a nie historykiem". Podkreślił też, iż „jego błędem podstawowym było nieprzeprowadzenie korekty przed oddaniem tego artykułu do wydawnictwa". Podczas krótkiej ustnej motywacji wydanego orzeczenia przewodniczący zespołu orzekającego prof. M. Wróblewski stwierdził, że nie istnieje coś takiego jak „plagiat nieintencjonalny". Tydzień później, 16 maja 2024 r., wydano pisemne orzeczenie, w którym uznano dr. Jacka Rakoczego „winnym niedochowania rzetelności naukowej i przywłaszczenia sobie autorstwa oraz wprowadzenie w błąd co do autorstwa artykułu prof. Macieja Salamona «Dacja w oczach pisarzy późnorzymskich (IV – VI w. naszej ery)» i rozpowszechnienie go pod własnym nazwiskiem w tekście «Abandoned, Lost or Forgotten? The Changes in the Perception of Transdannubian Dacia in Late Antiquity» (…) pomijając fakt, że z niewielkimi zmianami jest to tłumaczenie ww. publikacji prof. M. Salamona tj. dokonał tzw. plagiatu naukowego naruszającego prawa autorskie M. Salamona". Wymierzono mu za to karę nagany z obniżeniem o 25% uposażenia na okres 2 lat.

W uzasadnieniu orzeczenia stwierdzono udowodnienie zarzutów w opinii biegłej, dr hab. Ewy Kościałkowskiej-Okońskiej, stanowiącej, że artykuł obwinionego jest wiernym tłumaczeniem pracy M. Salamona. Biegła potwierdziła tym samym wcześniejszą opinię mgr. Jakuba Hendzla oraz dr. Antoniego Grabowskiego. Zespół orzekający Komisji Dyscyplinarnej podkreślił, że włączył do akt dwie noty retrakcyjne z czasopism „Studia Historia Gedanensia" oraz „Acta Archaeologica Lodziensia". Unieważniają one z powodu plagiatu dwa dalsze artykuły, „potwierdzając naganny sposób postępowania p. dr. Jacka Rakoczego i zarazem podają w wątpliwość jego naukową rzetelność".

Konieczne wydaje się podkreślenie, że skład orzekający, którym kierował przewodniczący całej uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej UMK, prof. Maciej Wróblewski, zrobił co mógł, aby w kontekście niespotykanie łagodnego wniosku autorstwa prof. Pawła Nowickiego o ukaranie J. Rakoczego przedstawić nieakceptowalny czyn obwinionego w ostrzejszym świetle. Dlatego w ostatnim akapicie orzeczenia dyscyplinarnego znalazło się stwierdzenie: „Komisja, działając zgodnie z § 39 ust. 2 rozporządzenia, stanowiącym o tym, że: «Skład orzekający wymierza karę dyscyplinarną, uwzględniając w szczególności stopień winy, stopień społecznej szkodliwości przewinienia dyscyplinarnego, cele wychowawcze w stosunku do obwinionego oraz potrzeby w zakresie zapobiegania popełnieniu przez niego kolejnego przewinienia dyscyplinarnego i kształtowania właściwych postaw wśród nauczycieli akademickich», stoi na stanowisku, że – poza orzeczoną karą – powierzanie panu dr. Jackowi Rakoczemu opieki nad pracami licencjackimi i magisterskimi w świetle przedstawionych dowodów w sprawie ww. plagiatu byłoby działaniem wysoce niepożądanym".

Sprawa karna

Toruńska prokuratura, po otrzymaniu w połowie kwietnia 2024 r. powiadomienia od rektora UMK Andrzeja Sokali, wszczęła postępowanie karne z art. 115 ust. 1 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, dysponując już opinią biegłej z UMK. Zakończyło się ono dość szybko, bo już 12 września 2024 r., wnioskiem o warunkowe umorzenie postępowania karnego złożonym do Sądu Rejonowego w Toruniu. Prokurator Natalia Gorzycka z Prokuratury Toruń Centrum-Zachód uznała, iż Jacek Rakoczy „przesłuchiwany w charakterze podejrzanego przyznał się do popełnienia zarzucanego czynu i wyjaśnił, że publikacje wymienione w postanowieniu o przedstawieniu zarzutu opracował na podstawie kserokopii różnych prac i książek naukowych i nie zostały one uprzednio sprawdzone pod kątem merytorycznym i redakcyjnym. Stwierdził również, że zbieżność treści jego pracy z pracą pokrzywdzonego wynika z niedbalstwa podejrzanego. Ww. wyraził żal z powodu zaistniałej sytuacji". Mając na uwadze powyższe prokurator uznała, że „okoliczności popełnienia przez podejrzanego (zarzucanego mu czynu – red.) nie budzą wątpliwości, a wina i społeczna szkodliwość zarzucanego ww. czynu nie są znaczne. Podejrzany nie był dotychczas karany sądownie za przestępstwo, a jego właściwości i warunki osobiste oraz dotychczasowy sposób życia uzasadniają przypuszczenie, że pomimo warunkowego umorzenia postępowania będzie przestrzegał porządku prawnego i w szczególności nie popełni przestępstwa". Prokurator wnioskowała też o zawieszenie na rok tego umorzenia oraz obciążenie oskarżonego sumą 2 tys. złotych jako zadośćuczynienie (nawiązka) dla prof. M. Salamona. Nie sposób w tym miejscu nie zwrócić uwagi, że pani prokurator bardzo tanio wyceniła czas, energię, doświadczenie zawodowe i wartość intelektualną pracy włożonej przez prof. M. Salamoma w napisanie splagiatowanego przez dr. J. Rakoczego artykułu.

Wyrok zapadł 31 października 2024 r. Sędzia Hanna Mincer z II Wydziału Karnego Sądu Rejonowego w Toruniu przychyliła się w całości do wniosku prokuratorki, dodając jedynie konieczność pokrycia kosztów procesu, które wyliczono aż na 70 złotych! Wyrok jest prawomocny.

Aczkolwiek prokurator Natalia Gorzycka (od września 2024 r. powołana na zastępcę Prokuratora Rejonowego Toruń Centrum-Zachód) znana jest mi z kilku spraw opi-

sywanych na łamach „Archiwum Nieuczciwości Naukowej" jako osoba „gołębiego serca" dla plagiatorów, to jednak wierzę, że wiedząc, iż Jacek Rakoczy ma na koncie nie jeden, ale kilka poważnych plagiatów naukowych, byłaby może dla niego mniej łagodna.

Pożegnanie z UMK

Kolejne odsłaniane na łamach „Forum Akademickiego" popełnione przez dr. Jacka Rakoczego plagiaty spowodowały, że ten skądinąd dobry i energiczny administrator, ale bez zdolności badawczych i nieprzestrzegający zasad rzetelności naukowej został w końcu zmuszony do odejścia. Negatywna ocena naukowa i wydane orzeczenie dyscyplinarne spowodowały, że już w końcu maja 2023 roku władze Wydziału Nauk Historycznych jasno postawiły sprawę, że w nowym roku akademickim dla Jacka Rakoczego nie będzie miejsca. Ten złożył 10 lipca 2024 r. podanie o rozwiązanie z dniem 30 września 2024 r. umowy o pracę zawartej na czas nieokreślony. Tak też się stało.

Retrakcje nierzetelnych publikacji

Jak wspominałem wcześniej, uważam iż zbyt długo trwało unieważnienie pierwszego i najbardziej głośnego plagiatu dokonanego przez J. Rakoczego na artykule prof. Macieja Salamona, od początku dobrze udokumentowanego. Obciążam za to winą prof. Andrzeja Radzimińskiego, znanego historyka, byłego rektora UMK w latach 2008-2012 i od 2015 r. prezesa Toruńskiego Towarzystwa Naukowego. To on, badacz cieszący się prestiżem naukowym i osobistym, jako główny (bo wymieniony jako pierwszy) redaktor naukowy monografii *Migration – Kommunikation – Transfer*, nie spowodował szybkiej retrakcji plagiatowego rozdziału. Nie jest winą badacza, gdy trafi na nieuczciwego współpracownika. Zdarza się to czasami i wybitnym profesorom, w których blask naukowej chwały garną się liczni młodzi naukowcy, nie zawsze z poczuciem rzetelności badawczej, ale często na tyle sprytni, aby szybko awansować na owocach cudzej pracy. Przełożonych i mentorów tego rodzaju spryciarzy obciąża brak szybkiego odcięcia się od oszusta naukowego i publicznego potępienia jego działań. Tego właśnie prof. Radzimiński nie zrobił, mimo że był od września 2012 r. i jest do dzisiaj (jego czwarta z kolei kadencja wygasa 31 grudnia 2028 r.) przewodniczącym Rady Naukowej Polskiej Misji Historycznej, a jako rektor przed laty aktywnie walczył z plagiatorami. Całkowicie nieakceptowalna jest ochrona nierzetelnego badacza przed konsekwencjami nieuczciwych działań, z których pierwszą jest retrakcja splagiatowanego artykułu. W opisanym wypadku na formalne unieważnienie splamionego jawnym plagiatem rozdziału książki trzeba było czekać zbyt długo. W dodatku w retrakcji, podpisanej przez dr Renatę Skowrońską, zabrakło, niezbędnego przecież w tej sytuacji, słowa „plagiat". W ezopowym stylu napisano po niemiecku, angielsku i po polsku następujący tekst: „W kwietniu 2023 roku w czasopiśmie Forum Akademickie ukazał się artykuł, w którym stwierdzono, że jeden z artykułów opublikowanych w pierwszym tomie serii *Geschichte im mitteleuropäischen Kontext* nie spełnia podstawowych wymagań odnośnie do rzetelności pracy naukowej. Zarzuty wobec autora tego artykułu Jacka Rakoczego zostały potwierdzone przez biegłą powołaną przez Rzecznika Dyscyplinarnego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, która stwierdziła «bardzo bliskie podobieństwo» artykułu Jacka Rakoczego i artykułu Macieja Salamona pt. Dacja w oczach pisarzy późnorzymskich (IV–VI w. n.e.) (ukazał się w 1976 roku w pracy zbiorowej Prowincje rzymskie i ich znaczenie w ramach Imperium, s. 117–134). W związku z powyższym Redakcja serii *Geschichte im mitteleuropäischen Kontext* podjęła decyzję o wycofaniu artykułu Jacka Rakoczego pt. Abandoned, Lost or Forgotten? The Changes in the Perception of Transdanubian Dacia in Late Antiquity (Radzimiński, Andrzej / Rakoczy, Jacek / Flachenecker, Helmut / Skowrońska, Renata (Hg.): Migration – Kommunikation – Transfer, w: Skowrońska, Renata (Hg.): Geschichte im mitteleuropäischen Kontext, 1. 2021, s. 31-44) oraz zablokowaniu dostępu do niego. Z poważaniem, dr Renata Skowrońska".

Retrakcja powyższa została dokonana wbrew zasadom ustalonym przez Committee on Publication Ethics w Londynie, do którego należy także Wydawnictwo Brill, czyli właściciel wydawcy monografii, w której zamieszczony został opisywany artykuł/rozdział. Po pierwsze, nota retrakcyjna (unieważnieniowa) umieszczona jest tylko na serwerze UMK, na internetowej stronie Polskiej Misji Historycznej, która nie jest wydawcą książki. Retrakcja nie ma też daty i umieszczona jest poza numerowanymi stronami niemieckiej monografii. Ta jest przecież dostępna w trybie otwartego dostępu on-line i bez trudu można tam wprowadzić notę retrakcyjną. Jej brak utrudnia bądź nawet uniemożliwia skatalogowanie retrakcji w międzynarodowych bazach danych. Przez to informacja o plagiacie rozdziału szybko zaniknie, a przecież wydrukowana książka będzie stać na półkach bibliotek uniwersyteckich dziesiątki lat, skrywając, zamiast ujawniać, tajemnicę nierzetelnego tekstu dr. Jacka Rakoczego.

Po drugie, nota retrakcyjna jest mało czytelna i ukrywa prawdziwy powód unieważnienia rozdziału, którym jest masywny plagiat popełniony przez jego autora, który był także współredaktorem naukowym monografii. Zabrakło też przeprosin od pozostałych redaktorów naukowych tomu, skierowanych do okradzionego z dorobku prof. Macieja Salamona.

Po trzecie, wbrew zasadom COPE, dr Skowrońska usunęła z monografii plagiatowy rozdział, co skutecznie zaciera ślady po nierzetelnym autorze. Jak w każdej retrakcji, których dzisiaj są już tysiące, rozdział dr. J. Rakoczego powinien fizycznie pozostać w książce, jednak każda strona powinna być przekreślona dużym, ukośnym, czerwonym napisem RETRACTED. Co więcej, na początku strony piątej, gdzie zaczyna się *Wstęp* (*Inhalt*), jest miejsce na notę retrakcyjną, która powinna być opublikowana w ramce, nieco mniejszą czcionką, z datą jej podjęcia. Można także opatrzoną datą notę retrakcyjną w języku angielskim umieścić na stronie 44 (ostatniej w rozdziale), gdzie jest puste miejsce, z informacją, że jest to plagiat. To standard postępowania w takich sprawach.

Tak dużą opieszałość w ukazaniu się retrakcji dr Renata Skowrońska tłumaczyła koniecznością posiadania orzeczenia dyscyplinarnego lub wyroku sądowego, bo jakoby takie są wymagania prawne w niemieckich uczelniach. To bałamutne stwierdzenie, bo tutaj chodzi o plagiat w książce, za której rzetelność są odpowiedzialni redaktorzy naukowi i wydawca. Jak we wszystkich czasopismach naukowych, tak również w wydawnictwach o stwierdzeniu plagiatu naukowego decydują naukowcy, recenzenci, redaktorzy, a nie sąd czy komisja dyscyplinarna. Również w niemieckich uczelniach o stwierdzeniu plagiatu/nierzetelności naukowej decyduje uczelniany Ombudsperson (funkcja podobna do Rzecznika Rzetelności Naukowej) lub lokalna komisja naukowa powołana przez władze wydziału/uczelni. Na Uniwersytecie w Würzburgu tę funkcję pełni obecnie siedmiu profesorów, reprezentujących różne dziedziny nauki. Sąd jest zwykle angażowany wtedy, gdy zwalniany/obwiniany naukowiec odwołuje się od decyzji uczelni. Aczkolwiek w Niemczech, podobnie jak i w Polsce, plagiat jest ścigany z oskarżenia publicznego i z reguły karany wysokimi grzywnami, to jednak ktoś musi o nim zawiadomić lokalną prokuraturę.

Ukarany grant

Po prof. Andrzeju Sokali rektorem UMK został prof. Andrzej Tretyn, dla którego – po czteroletniej przerwie – jest to trzecia kadencja rektorska. Prorektorem ds. nauki został prof. UMK Andrzej Kola z Katedry Literatur Słowiańskich Instytutu Literaturoznawstwa Wydziału Humanistycznego UMK. I to do niego pod koniec października 2025 r. przyszło pismo od dyrektora Narodowego Centrum Nauki, prof. Krzysztofa Jóźwiaka, w którym zawiadomił uczelnię, że zespół ekspertów oraz Rada NCN w Krakowie uznała za niewykonany projekt badawczy nr UMO – 2016/21/B/HS3/02923 pt. „Rzymski fort Resculum. Funkcja, znaczenie i chronologia rzymskiego osadnictwa na południowo-zachodnim odcinku limesu Dacji Porolissensis". W związku z tym NCN wzywa uczelnię do zwrotu całości przyznanych środków w wysokości 737 878,96 złotych oraz odsetek ustawowych naliczonych za okres od dnia przekazania środków (warto wiedzieć, że odsetki od kapitału wynosiły w różnych latach od 5% do 10%, zaś obecnie jest to 7,5% – MW). Tłumacząc taką decyzję, dyrektor Jóźwiak poinformował, że powodem negatywnej oceny merytorycznej ww. projektu i uznania umowy za niewykonaną, jest fakt popełnienia przez kierownika projektu, dr. Jacka Rakoczego, nierzetelności naukowej w postaci plagiatu w trzech publikacjach, które zostały wykazane przez niego jako efekt realizacji zadań badawczych w wyżej wymienionym projekcie.

Chodzi tutaj o publikacje: 1. *Monetary series „PROVINCIA DACIA" in the Roman coinage*, opublikowaną w tomie IX z 2018 roku rocznika „Studia Historica Gedanensia", 2. Rozdział pt. *Abandoned, Lost or Forgotten? The Changes in the Perception of Transdanubian Dacia in Late Antiquity*, opublikowany w pracy zbiorowej pod redakcją prof. Andrzeja Radzimińskiego i wsp. pt. *Migration – Kommunikation – Transfer*, wydanej przez Vandenhoeck & Ruprecht Verlage w 2021 r., 3. Rozdział pt. *Cultural identity of ancient Dacia in the Roman tradition* opublikowany w pracy zbiorowej pod red. prof. Bogusława Dybasia i prof. UMK Jacka Bojarskiego pt. *Gruppenidentitäten im Ostmitteleuropa. Auf der Suche nach Identität*, wydanej przez Vandenhoeck & Ruprecht Verlage w 2021 r.

O tym ostatnim, także splagiatowanym rozdziale, który dr Skowrońska retraktowała „na prośbę autora" w taki sam nieprawidłowy sposób, jak to powyżej opisałem, nie zdążyłem jeszcze napisać. Duża część jego tekstu została zaczerpnięta z artykułu prof. Agaty Kluczek z Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach pt. *Dacja i jej mieszkańcy. Aspekty dziejów dackich w polskiej historiografii starożytności rzymskiej*. Ukazała się ona na stronach 81–97 dwujęzycznej 536-stronicowej monografii pt. *Związki polsko-rumuńskie w historii i kulturze. Legături istorice și culturale polono-române* pod red. dr Kariny Stempel-Gancarczyk, Elżbiety Wieruszewskiej-Calistru, prof. Ilony Czamańskiej i innych, a wydanej w Suczawie w 2018.

Na końcu pisma poinformowano, że dyrektor NCN „na podstawie art. 35 a ust. 2 ustawy o NCN na uzasadniony wniosek dłużnika albo z urzędu, może umorzyć, w całości albo w części, należność finansową wynikającą z rozliczenia środków finansowych przyznanych na podstawie art. 33 ust. 1, odroczyć termin spłaty tej należności lub rozłożyć ją na raty, o ile nie będzie to stanowiło pomocy publicznej lub pomocy de minimis". Uczelnia złożyła wniosek w tej sprawie. Wyniku tej wymiany korespondencji do czasu publikacji artykułu nie poznaliśmy.

UMK, jakby nie było uniwersytet badawczy, do dziś nie ma rzecznika rzetelności naukowej i nie prowadzi skutecznej prewencji nierzetelnych zachowań naukowych wśród nauczycieli akademickich. Fakt, że mimo popełnienia sześciu udowodnionych retrakcjami plagiatów, dr J. Rakoczy odszedł z uczelni na własną prośbę jest symptomatyczny.

Komentarz

Mam wrażenie, że surowość reakcji na plagiat czy inne poważne naruszenie etyki naukowej w toruńskim środowisku akademickim i prokuratorsko-sądowym w ostatnich latach bardzo się zmniejszyła. Kiedy w 2009 roku światło dzienne ujrzał plagiat dr. hab. Janusza Golińskiego, ówczesnego profesora w Instytucie Literatury Polskiej UMK, dokonany na rozdziale pracy doktorskiej Agnieszki Raubo z UAM w Poznaniu, rzecznik dyscyplinarny prof. Andrzej Adamski zażądał dla niego kary 10 lat zakazu wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego. Uczelniana Komisja Dyscyplinarna pod przewodnictwem prof. Marka Kalinowskiego ukarała Janusza Golińskiego 8 latami zakazu. Umotywowała to tym, że nie wykazywał on żadnej skruchy oraz wybrał taki sposób obrony, że epatując własnym cierpieniem nie pomyślał, iż również młoda badaczka, będąca na początku drogi naukowej, której pracę splagiatował, może czuć się pokrzywdzona. Orzeczenie uprawomocniło się.

Z kolei w sprawie karnej, po akcie oskarżenia z 27 maja 2010 r. złożonym przez prokuratora Arkadiusza Wolskiego, sędzia II Wydziału Karnego Sądu Rejonowego w Toruniu Ewa Lemanowicz Pawlak wyrokiem z 16 czerwca 2011 r. ukarała dr. hab. Janusza Golińskiego grzywną w wysokości 5 tys. złotych oraz przyznała dr Agnieszce Raubo zadośćuczynienie w wysokości 30 tys. złotych. Wyrok został wykonany.

W kolejnej sprawie plagiatu, tym razem dotyczącej dr. Jakuba Wójcika, adiunkta z Katedry Filologii Angielskiej UMK, Uczelniana Komisja Dyscyplinarna orzeczeniem z 30 czerwca 2010 r. ukarała go karą 10 lat zakazu wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego za dwukrotne przywłaszczenie autorstwa cudzego utworu. Na rozprawie w dniu 28 września 2010 r., wskutek odwołania obwinionego, karę obniżono do trzyletniego zakazu pracy w szkolnictwie wyższym. Orzeczenie wydał zespół orzekający Komisji Dyscyplinarnej przy RGNiSW pod przewodnictwem prof. Tomasza Gizbert-Studnickiego z Katedry Teorii Prawa UJ.

Wcześniej, 10 lutego 2010 r., sędzia Sądu Rejonowego w Toruniu, p. Hanna Mincer, w procesie karnym uznała Jakuba Wójcika winnym czynów zarzucanych mu w akcie oskarżenia z 30 grudnia 2009 r. Popełnił on plagiat artykułu naukowego w języku angielskim oraz naruszył prawa autorskie innych osób we własnym doktoracie, do czego się przyznał. Ukarano go łączną karą jednego roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na okres 3 lat tytułem próby oraz wymierzono grzywnę w wysokości 3 tys. złotych, obciążając także kosztami procesu w wysokości 750 złotych.

Co więcej, w styczniu 2010 r. Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów wznowiła przewód doktorski Jakuba Wójcika z maja 2006 r. i nakazała Radzie Wydziału Nauk Humanistycznych UMK przeprowadzić postępowanie wznowieniowe z powodu plagiatu. Po otrzymaniu opinii recenzentów, potwierdzających zarzuty naruszenia praw autorskich, późną jesienią 2010 r. doktorat został odebrany.

Kiedy opisywałem te dwie sprawy piętnaście lat temu, skomentowałem: „Cieszę się, że znalazł się uniwersytet w Polsce, w którym wykryte kanty naukowe są wreszcie karane z całą surowością prawa. Nie mam wątpliwości, że kryje się za tym determinacja nowych władz rektorskich i wybór mało pobłażliwego rzecznika dyscyplinarnego". Dzisiaj ta pochwalna opinia na temat Uniwersytetu Mikołaja Kopernika jest już nieaktualna.

Marekwro@gmail.com

Dr hab .n .med .Marek Wroński jest emerytowanym profesorem uczelnianym .
Zajmuje się patologią nauki od 28 lat .

Łukasz Komsta

Wyręczeni z myślenia

Każda zdobycz cywilizacyjna, która wyręcza człowieka w czymkolwiek, czyni go docelowo mniej zaradnym albo całkowicie bezradnym w tej dziedzinie, w której go wyręcza .Po pewnym czasie istnienie tej zdobyczy staje się absolutną koniecznością, bez której nikt nie byłby sobie w stanie poradzić .Dobre czasy rodzą coraz słabszych ludzi, coś w tym jest .

Przez prawie dwa lata od powstania mojego poprzedniego tekstu (*Nauki, jaką znamy, nie da się już zreformować*, forumakademickie.pl, 30 kwietnia 2024 r.) świat (niestety) dalej brnie w stronę, która utwierdza mnie w większości obaw. Chciałbym się mylić, jednakże wszystko zdaje się płynąć w tym samym kierunku siłą inercji, której nie da się w żaden sposób zatrzymać i jedyne, co możemy zrobić, to uświadomić sobie brak siły sprawczej i nieuchronność takich przemian. Wierzę (jeszcze), że w najbliższej przyszłości nie dojdzie do globalnego konfliktu niszczącego cały cyfrowy dorobek ludzkości, a może i większość dziedzictwa „analogowego". Pominę zatem taki scenariusz, a skupię się na tym, co dzieje się tu i teraz.

Przez chwilę polski świat naukowy miał nikłą nadzieję, że reforma nauki wprowadzająca sloty zachowa się niczym strażak-podpalacz (ugasi to, co podpaliła) albo rabin ze znanego dowcipu (zabierze dołożoną kozę, zmuszając do docenienia, jak dobry był bez niej ten świat). Ale znowu przeważa scenariusz pozostawienia slotów. Ja tej nadziei nawet przez chwilę nie miałem. A nawet obawiam się, że zmiana przyniesie coś jeszcze gorszego.

Na wiosnę miałem możliwość przez tydzień popracować w Narodowym Instytucie Fizyki w Belgradzie. Serbscy profesorowie są z dawien dawna wyłączeni z obowiązku jakiejkolwiek ewaluacji (dotyczy ona tylko niższych szczebli kariery akademickiej). Społeczeństwo zachodnie zwykle na taki model patrzy bardzo niechętnie, bo jawi się to jako relikt modelu poradzieckiego (czy się stoi, czy się leży…). Jednakże 1 maja cała kadra profesorska przyszła do pracy. Siedzieli cały dzień i pracowali. Dla wyjaśnienia dodam, że w Serbii tego dnia jest także święto, a ponadto dotarcie do pracy nie było łatwe ze względu na protesty studentów i nieprzejezdność znacznej części miasta.

Bynajmniej nie przyszli do instytutu, aby się „družiti" (ten czasownik oznacza miłe towarzyskie spędzanie czasu ze sobą, często z dużą ilością jedzenia i rakiji na stole). Nie mieli też do rozliczenia korporacyjnie zamordystycznych grantów i umów, nieustannego produkowania sylabusów (w końcu to instytut). Nie musieli się przepracowywać w obawie, że zabraknie im kilku punktów i wylecą z pracy, nie potrzebowali rakiją zapijać kilogramów stresu w obawie, że zdobycie tych punktów bardziej zależy od pogody i losowych czynników niż rzeczywistego ich wysiłku. Oni po prostu pragnęli ten dzień spędzić realizując swoją pasję, patrząc na nowe wyniki, robiąc nowe obliczenia, zastanawiając się wspólnie nad dalszymi badaniami.

Obserwując to wszystko można zauważyć, że w naszej części świata przeszliśmy od umysłu demoludów do czegoś skrajnie (i obowiązkowo) odwrotnego. Uznaliśmy, że bez nieustannego przymusu, ciągłego zagrożenia utratą stanowiska albo brakiem awansu, rozliczania z lupą i suwmiarką z każdej możliwej aktywności, a przede wszystkim pracy pod presją na granicy wytrzymałości, ludzie nie będą „sami z siebie" robić nic. A dodatkowo ktoś gdzieś uwierzył, że nawet bez zapewnienia podstawowych warunków do wykonywania pracy ona się i tak jakoś sama wykona, a jej autor będzie czymś w rodzaju dawnego przodownika pracy. A to niestety pozostałość tego demoludowego myślenia. Panie Kowalski, pan Iksiński nie dostał żadnych pieniędzy z NCN ani od nas, a i tak wyrobił dwieście IF w ciągu roku…, a pan to jest nieużyteczną lokomotywą, bo wyrobił pan tylko pięćdziesiąt i jeszcze zużył kilka tysięcy franków na open access, a czasy trudne. Jeśli ktoś nie wie o co chodzi z lokomotywą i jej użytecznością – polecam obejrzeć dowolny odcinek bajki *Tomek i przyjaciele*.

Wejście rozumnika

Ten model korporacyjno-zachodni przestaje działać. Biurokracja i wszelkie kłody rzucane pod nogi sprawiają, że w badaniach naukowych coraz mniej osób widzi pasję, a młodsze pokolenie ma coraz mniejszą motywację do samorozwoju, czyli udziału w wyścigu szczurów, który – jeśli jest obecny w minimalnym stopniu i nie przesłania ludziom innych aspektów życia – jest jednym z ważnych elementów rozwoju cywilizacji. Zdarzało mi się już spotkać profesorów, którzy młodym ludziom odradzają karierę naukową, chcąc im oszczędzić tego wszystkiego, co stało się ostatnio i raczej się nie zmieni. Ze zdumieniem słucham opowieści doktorantów z Indii o tym, że po obronie doktoratu w Europie planują wrócić do siebie i odetchnąć od biurokracji, spokojnie pracując naukowo. A niby to taki zły i niedobry nie-zachodni świat…

Czy zatem praca naukowa mogłaby być przywilejem, a nie obowiązkiem pracownika uczelni (obowiązkiem jedynie w instytutach)? Czy prowadzenie i przygotowywanie (dobrych) zajęć dydaktycznych nie jest wystarczającym obowiązkiem? Może gdyby zdjąć z większości ludzi ciężar produkowania kwitów za precyzyjnie określoną ilość punktów w określonym czasie, paradoksalnie efekty byłyby lepsze? Ile czasu dzisiaj przeciętny naukowiec poświęca na kombinowanie, z kim powinien jaką pracę opublikować (aby nie dzielić slotów), w co się zaanga-

żować, jak to wszystko rozegrać, a nie wystarcza mu już czasu na zastanowienie się, po co w ogóle robi te badania i czy mają one jakieś znaczenie? Sam odpowiadam ze smutkiem: nie, w praktyce zdaniem większości „kadry zarządczej" nie mogłaby. Nie da się cofnąć do takich czasów, nikt na coś takiego nie pójdzie, zmiany w mentalności zaszły za daleko, po latach zaostrzania punktozy nie umiemy już funkcjonować w żadnym innym, normalniejszym świecie.

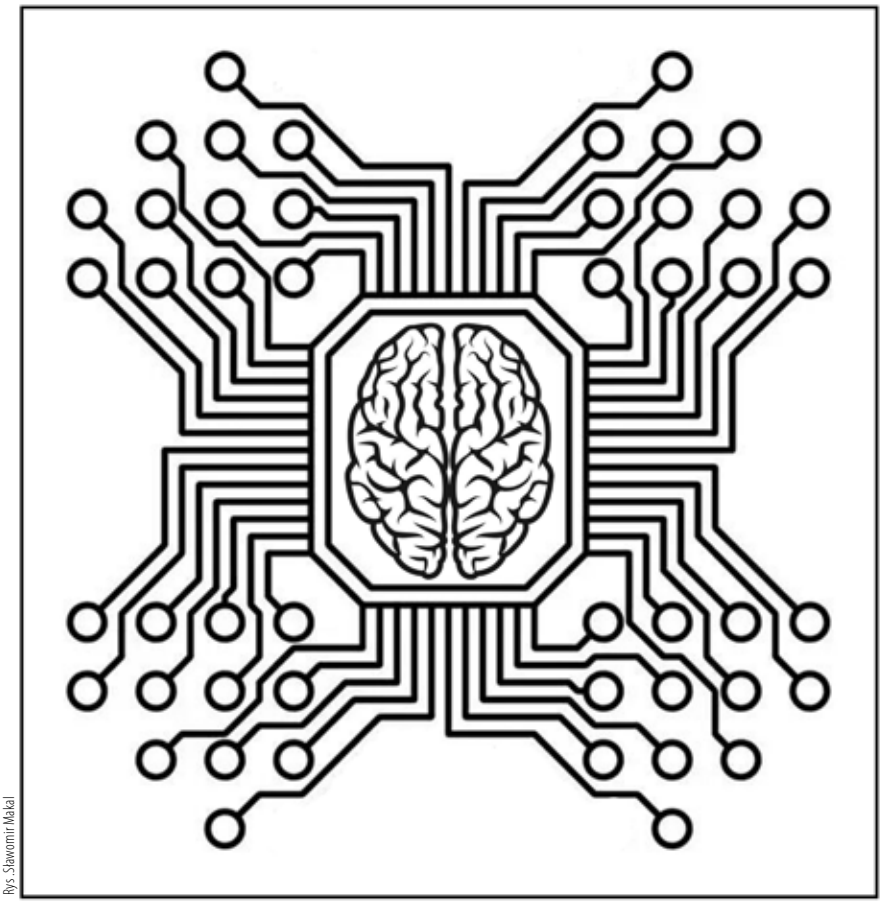
W takim właśnie momencie zastaje nas sztuczna inteligencja, aby nagle pokazać, że potrafi w realnym czasie stać się lepsza niż przeciętny pracownik naukowo-dydaktyczny. Może być użyteczniejszą lokomotywą w świecie przymusu produkcji. Nadchodzi ROZUMNIK. To słowo jakiś czas temu wymyślił (razem z kilkunastoma innymi propozycjami) ChatGPT, kiedy zadałem mu pytanie, dlaczego cały czas używa się frazy „sztuczna inteligencja" złożonego z dwóch słów i jakie miałby propozycje, aby język nadążał za czasami. Drugim świetnym pomysłem rozumnika był „intelikon", jednakże w mojej ocenie przegrał z rozumnikiem jako słowo obcego pochodzenia.

Oprócz udowodnienia swojej aplikacyjności jako zastępstwa naukowca, rozumnik przychodzi upośledzić umysłowo część społeczeństwa. Każda zdobycz cywilizacyjna, która wyręcza człowieka w czymkolwiek, czyni go docelowo mniej zaradnym albo całkowicie bezradnym w tej dziedzinie, w której go wyręcza. Po pewnym czasie istnienie tej zdobyczy staje się absolutną koniecznością, bez której nikt nie byłby sobie w stanie poradzić. Dobre czasy rodzą coraz słabszych ludzi, coś w tym jest.

Taką zdobyczą jest nawet pismo. Cywilizacje, które nie używały typowego pisma (a co najwyżej stosowały pismo węzełkowe, jak np. Inkowie), miały rozwinięte do granic możliwości podania ustne i całą spuściznę przekazywały w ten sposób z pokolenia na pokolenie. Człowiek cywilizacji piśmienniczej ma w głowie znacznie mniej informacji, ponieważ nie czuje potrzeby zapamiętywania. Tak dużo wszak istnieje w formie pisanej. Dzięki pismu można przekroczyć barierę pojemności umysłów kolejnych pokoleń, ale bez bibliotek nie umiemy funkcjonować i zniszczenie pisanego dziedzictwa ludzkości cofnęłoby nas do początku. Spalenie Biblioteki Aleksandryjskiej to taki epizod resetu.

A prąd elektryczny? Jeszcze sto lat temu był to luksus dla bogatych. Dziś uzależniona jest od niego cała gospodarka. Efekty widać w chaosie przy każdej awarii, dla której nawet stworzono straszliwe słowo blackout. W analogiczny sposób uzależniamy się od Internetu – nie czujemy podświadomej potrzeby zapamiętywania wielu informacji, ponieważ zawsze i wszędzie możemy ją przywołać z odmętów sieci. Kiedyś wymagało to pobytu w kawiarence internetowej, bibliotece albo siedzenia w domu przy dużym stacjonarnym komputerze. Dzisiaj wystarczy telefon lub zegarek. Kto dziś zastanawia się, ile informacji zostanie mu w głowie (albo w papierowych książkach, jeśli je jeszcze ma) w razie awarii sieci? Odnoszę wrażenie, że spora część ludzi miałaby problem z narysowaniem prostego szkicu Polski z miastami wojewódzkimi, a w razie awarii Internetu bez włączonej nawigacji mogliby mieć problem z powrotem z pracy do domu inną trasą niż najczęściej wykorzystywana. Nie wspominając już o zaplanowaniu bez GPS prostej podróży opierającej się na kilka odcinkach przejechanych autostradami.

Kalkulatory wyręczają wszystkich w matematycznym myśleniu do tego stopnia, że większość (zwłaszcza młodszego pokolenia) miałaby spore problemy z policzeniem czegokolwiek pisemnie, a co dopiero w pamięci. Tablice albo suwak to relikty muzealne (a suwak logarytmiczny rozwijał wyobraźnię matematyczną!). Numery telefonów, które kiedyś pamiętaliśmy (nawet jeśli mieliśmy notes, to częste użycie wbijało je do naszego mózgu), obecnie znajdują się w bazie kontaktów.



Rys. Sławomir Makal

Student i termibator

Już w 2011 roku Nicholas Carr ostrzegał w swojej książce *Płytki umysł* przed negatywnymi konsekwencjami regularnego korzystania z Internetu jako „przedłużenia naszego mózgu": problemy z koncentracją, nieumiejętność skupienia się na czymś dłużej niż kilka minut, problemy ze zrozumieniem dłuższych tekstów, porzucenie korzystania z książek i innych źródeł „linearnych", frustracja spowodowana brakiem informacji podanej na tacy natychmiast i od ręki, wiążąca się częściowo ze zjawiskiem FOMO (*Fear Of Missing Out*). O ile starsze pokolenie jest w stanie zachować mniej „płytki" umysł (pewne mechanizmy zdążyły zadomowić się w mózgu inaczej), o tyle pokolenie osób korzystających ze smartfona od urodzenia zaczyna mieć coraz więcej takich objawów.

Pokolenie X i Millenialsów zdobywało wiedzę notując wykłady, czytając kilka podręczników akademickich

do tego samego przedmiotu (dzięki czemu mogło na własne oczy sprawdzić, jak wygląda indywidualne ujęcie tego samego tematu), robiąc notatki, a następnie ucząc się z nich. Współcześni studenci zwykle nie potrafią już tego robić, a często zbyt dużo czasu i wysiłku wymaga samo przeczytanie gotowego, podanego na tacy przez nauczyciela (lub opracowanego przez starsze roczniki) skryptu. To zawdzięczamy w dużej mierze internetowi, i to jeszcze w tej wcześniejszej wersji, bez obecnego pod ręką rozumnika.

Kiedyś był modny dowcip: co to jest wykształcenie? Jest to wszystko, co zostaje w głowie po nauczeniu się materiału studiów i zapomnieniu większości tego materiału. W okresie popularności tego żartu sporo materiału w głowie (jednak) zostawało i absolwent studiów miał faktyczną wyniesioną z nich wiedzę. Dzisiaj jej ilość już w czasie studiów się zmniejsza, a nawet (to nie żart) zdarza się spotkać studentów, którzy w ogóle nie pamiętają, że jakiś przedmiot w ogóle mieli. Albo pamiętają tylko że był, a nie wiedzą już czego dotyczył, a tym bardziej jakie informacje na nim były przekazywane i kto prowadził zajęcia. Pamięć długotrwała zanika, bo przestaje być potrzebna.

Kiedy ukończyłem studia farmaceutyczne, stanąłem w aptece jako stażysta i obsługiwałem pacjentów. Chociaż było to prawie 25 lat temu, pamiętam wyraźnie, że nigdy przez myśl mi nie przeszło, że umiem lub wiem zbyt mało albo nie czuję się kompetentny do wykonywania tego zawodu. Tak, zdarzało się coś zapomnieć, o coś zapytać koleżankę obok, czegoś nie umieć znaleźć, coś sprawdzić w książce (smartfona w kieszeni fartucha nie było), a nawet przyznać się pacjentowi, że czegoś się zapomniało. Ale ogólnie było to w granicach normy stażysty czy młodego pracownika. Nie byłem wyjątkiem, podobnie czuli się w nowej pracy wszyscy, z którymi wtedy studiowałem. Teraz, 25 lat później, mamy coraz więcej absolwentów, którzy w ogóle nie są w stanie się odnaleźć w aptece. Było to nawet jednym z problemów omawianych przy okazji nowelizacji programu studiów (a słowo „nowelizacja" oznacza w praktyce okrajanie programu, więc może tutaj tkwi problem?). Lekarz i prawnik, według niektórych przerażających wizji, też zaczyna się „tak na serio" uczyć zawodu dopiero po studiach. To przepraszam, co on robi przez pięć lub sześć lat? Może należałoby powrócić zatem do modelu sześcioletniego „terminowania" u mistrza, a studia zlikwidować?

Swego rodzaju „duchem czasów" wobec zjawiska coraz mniejszej przyswajalności szerszej wiedzy przez statystycznego absolwenta jest powstawanie studiów wysoce specjalistycznych, które nawet dla przyszłego pracodawcy bywają zbyt enigmatyczne, aby móc ocenić kompetencje potencjalnego pracownika (a więc wymyślono suplementy do dyplomu z litaniami efektów kształcenia). Z epoki rolnika, matematyka, biologa, chemika, lekarza, farmaceuty przeszliśmy do epoki enologów, nanobiotechnologów, chemików farmaceutycznych, chemików medycznych, farmakobiologów, neurobiologów, trychologów, biostatystyków, absolwentów ziołolecznictwa tradycyjnego, analityków danych w ochronie zdrowia itd. Czy nie jest to zawężanie przyszłym absolwentom atrakcyjności na rynku pracy, o którą się tak bardzo martwią? A może jest to przyznanie się do tego, że obecnie – przez swoistą odporność i oporność mózgu – nie da się wykształcić już absolwenta o szerokim horyzoncie wiedzy i umiejętności?

Zdruzgotane umysły

No ale wracamy do rozumnika. Tak niedawno nikt nie wierzył w to, że „jakiś tam" rozumnik może zastąpić człowieka w poważnych momentach. Rozmawiając ze znajomymi, którzy czytali mój poprzedni felieton, słyszałem tyrady argumentów o mechaniczności generowanej przez rozumniki treści, o niesamowitej liczbie halucynacji, o braku specjalistycznej wiedzy w modelach językowych i konieczności kontaktu z żywymi ekspertami, a nawet o tym, że wszelkie modele językowe umrą śmiercią naturalną, kiedy zaczną same uczyć się własnymi wydalinami. Nie wspominając już o pukaniu się palcem w czoło, bo przecież żaden student czy pracownik nie zniży się do takiego poziomu, aby korzystać z rozumników, aby mieć „z głowy" przydzielone zadanie. Przecież to się natychmiast wyda, a ponadto każdy będzie rozumiał, że to droga na skróty. A co dopiero, aby pracodawca przedkładał rozumnika nad pracownika. To jak oszustwo największego kalibru.

Ale to już było: Wikipedia. Kto jeszcze pamięta piętnowanie studentów, którzy uczyli się z Wikipedii lub sprawdzali tam fakty naukowe? Na niektórych uczelniach traktowano ich jak przestępców. Kto pamięta rozdmuchiwane przypadki mistyfikacji i dezinformacji? Ale inercji nie dało się zatrzymać i po jakimś czasie stała się ona „wystarczająco" wiarygodnym źródłem wiedzy do większości zastosowań (oczywiście jeśli ktoś ma z tyłu głowy świadomość jej niedoskonałości), a obecny naukowy pośpiech sprawia, że nierzadko książki wydawane w poważnych wydawnictwach bywają mniej wiarygodne. Co więcej, nauczyciele akademiccy sami piszą hasła do Wikipedii i poprawiają w niej błędy.

A więc nie ma możliwości powstrzymania pokusy korzystania z rozumnika przez każdego, kto może zostać łatwo i szybko wyręczony z myślenia. Studenci nauk przyrodniczych lub technicznych generują rozumnikiem raporty z ćwiczeń (wystarczy sfotografować w sali kartę pracy z wpisanymi wynikami, aby otrzymać kompletny dokument potrzebny do zaliczenia, następnie go przepisać z telefonu lub wydrukować w domu). Piszą w ten sposób prace semestralne (niestety), a uczniowie odrabiają wszystkie zadania domowe (dlatego prace domowe przestały mieć sens na jakimkolwiek etapie edukacji). Jak wpłynie to na mózgi kolejnego pokolenia, nie wie dzisiaj nikt. Ale większość hipotez mówi: druzgocąco.

Gdyby nie programy wykrywające tekst generowany przez modele językowe, na pewno większość studentów nie oparłaby się pokusie pisania w ten sposób prac dyplomowych. Na razie jeszcze się nie da, jednakże rozumnik pisze coraz lepiej i za kilka lat prace dyplomowe będą musiały odejść do lamusa jako coś, czego pisanie nie ma żadnego sensu poza spełnieniem jakiegoś przepisu. Ostatnio testowałem bardzo zaawansowany algorytm weryfikacji autorstwa tekstu. Fragment mojej własnej pracy magisterskiej (z roku 2001, a więc o rozumniku nikomu się nie śniło) ocenił jako w 75% sztuczny, natomiast pozmieniany przeze mnie stylistycznie „na mój sposób" tekst autorstwa rozumnika ocenił jako w 5% sztuczny. Jaka jest zatem wiarygodność takiego algorytmu? Jedyne co mi przychodzi do głowy to pomysł, że student będzie przychodził na uczelnię i pisał w rogu pokoju tekst pod ścisłym nadzorem promotora. O ile będzie umiał, bo większość ludzkości może uznać, że przecież nie musi albo nie jest w stanie się nauczyć.

Hasło promujące książkę *Płytki umysł* „po co myśleć, przecież jest internet" zmienia się powoli na „po co myśleć, przecież jest rozumnik". Przez prawie cały XX wiek średni iloraz inteligencji społeczeństw zachodnich rósł, a od końca lat 70. obserwuje się ciągły spadek (obecnie 7 punktów na pokolenie). Jedną z bardziej przekonujących hipotez co do przyczyn jest właśnie to nieustanne wyręczanie umysłów przez technologię, przez co nie muszą lub nie czują potrzeby się rozwijać. I to nawet bez rozumnika! A teraz jeśli wszystkie zadania umysłowe ludzie zaczną wykonywać poprzez sprytnie obmyślane prompty dla modelu językowego, pójdziemy w stronę cywilizacyjnego kolapsu intelektualnego, łącznie z ryzykiem braku możliwości zrozumienia uzyskanych odpowiedzi (przecież trzeba się gdzieś kiedyś

nauczyć rozumienia tekstu pisanego). Czym innym jest pokolenie, które dorosło bez rozumnika, a czym innym ludzie zanurzeni weń od wczesnego dzieciństwa.

Całkowita zapaść

Być może ludzie nie tylko przestaną przyswajać wiedzę i umiejętności, ale dodatkowo przestaną czuć jakąkolwiek motywację by wiedzieć, umieć, rozumieć, skoro i tak swoim umysłem nigdy nie przewyższą modelu językowego. A ten będzie miał wiedzę całej cywilizacji, jego błędy i halucynacje zostaną zmniejszone do akceptowalnego poziomu, no i dla każdego będzie na wyciągnięcie ręki. Będzie lepszą alternatywą rodzica, tańszą wersją terapeuty, bardziej cierpliwym nauczycielem o indywidualnym podejściu, tłumaczem tekstów specjalistycznych. No i najważniejsze: dla naukowców będzie idealnym szeregowym pracownikiem naukowym, niezmordowanym autorem aktualnych podręczników, prezentacji wykładowych, podcastów zastępujących wykłady. Przez jakiś czas oprą się temu trendowi społeczności azjatyckie, ponieważ tam będzie musiała jeszcze dokonać żywota resztka najmocniej zakodowanego kulturowo wyścigu szczurów. Ale stanie się to szybciej, niż się może wydawać.

Jeśli do tego dojdzie, zaobserwujemy całkowitą zapaść studiów wyższych, bo ich ukończenie nie będzie nic zmieniało w życiu człowieka. Jakiś początek tego zjawiska już widać. Jeśli na tapetę weźmiemy np. studia filologiczne, jeszcze w czasie pandemii nikt nie przypuszczał, że rozumnik zastąpi w większości sytuacji absolwenta takich studiów i nie ma sensu ich kończyć. Dzisiaj filolog na rynku pracy ma zupełnie inną pozycję – rozumnik uczy języków obcych, automatyczne algorytmy tłumaczą całe książki, egzamin na tłumacza przysięgłego jest jeszcze trudniejszy, a przekład literacki można traktować jako dorywcze hobby, bo wyżyć się z niego absolutnie nie da.

Analogiczne obawy miewają studenci kierunków artystycznych. Jaką motywację musi dzisiaj mieć przyszły malarz, grafik albo muzyk, kiedy widzi grafiki i obrazy sztucznie wygenerowane, o jakości lepszej niż jego prace? Jaki jest sens zaczynać grę na gitarze, skoro algorytm generuje w 2 minuty kompletne piosenki rockowe o jakości gotowej do emisji w stacjach radiowych lub reklamach? Jeszcze dwa lata temu mówiło się o tym, że człowiek zawsze będzie najważniejszy. Nie będzie. Maszyna jest zawsze tańsza.

Spotkałem się z opinią, że przesadzam, wszak na przykład ludzkość nie przestała grać w szachy pomimo powstania silników szachowych (lepszych od najlepszych szachistów), więc świadomość istnienia takich silników nie zniechęca do nauki gry. Ale szachy to nie jest praca. Nie mamy pracodawcy zatrudniającego szachistów. Taki pracodawca już lata świetlne temu przeszedłby na silnik i rozumnik, a żaden szachista nie mógłby liczyć na zatrudnienie.

A więc już za kilka lat możemy doświadczyć likwidacji wydziałów, kierunków studiów, może nawet całych uczelni. W dobie sztucznej inteligencji nawet trzy lata nauki na pierwszym stopniu studiów młodzi ludzie będą postrzegać jako stratę czasu.

A na uczelniach przestaną być potrzebni indywidualiści, eksperci, osoby z dużym doświadczeniem w wąskiej dziedzinie. Podam przykład: mniej więcej rok temu przyszło mi do głowy zapytać rozumnika o sposób dobierania parametrów detekcji chromatograficznej w bardzo rzadko stosowanym detektorze. O pomoc zwrócił się do mnie znajomy, nie byłem w stanie mu odpowiedzieć i nie znałem nikogo, kto używa tego sprzętu, wyszukiwarki internetowe również mi nie pomogły. Rozumnik zapytał, jaki związek chcę oznaczać, a następnie wygenerował mi komplety wykład zasad optymalizacji detekcji z odnośnikami literaturowymi, które wcale nie były halucynacjami.

Był to jeden z wielu momentów, kiedy uzyskana odpowiedź przeszła moje wszelkie wyobrażenia. A od tego momentu wydano dwie nowe wersje modelu językowego. To nie obawy, to się stało. Rozumnik albo już w tej chwili jest mądrzejszy od eksperta, albo za kilka miesięcy będzie. Cały dorobek własnego naukowego życia stał się właśnie nikomu do niczego niepotrzebny. Człowiek przestał być potrzebny, bo rozumnik zawsze wie lepiej. Po co zatem zatrudniać na uczelni profesora? Trzeba mu zapłacić większą pensję, a przeciętny doktorant z rozumnikiem potrafi więcej.

Zagrożona jest też praca zespołowa, wszak wymaga umiejętności kontaktu z drugim człowiekiem, a konwersacja z rozumnikiem upośledza również tę zdolność. Jako dowód proszę wyszukać reportaż o Joannie, której ChatGPT się oświadczył. Joanna nie jest wyjątkiem, artykuł obnaża zadziwiająco dużą skalę tego fenomenu.

W bańce własnych gustów

Chociaż nie da się obecnie tego przesądzić, możemy również doświadczyć spadku zainteresowania sztuką tworzoną przez ludzi. Rozumnik jest w stanie wygenerować spersonalizowane wiersze, opowiadania, a w przyszłości być może całe powieści czy filmy fabularne wygenerowane pod konkretnego odbiorcę. Już od wielu lat radio jako medium dostarczające muzykę znajduje się w regresie. Wszyscy słuchają swoich własnych list na serwisach streamingowych, pozwalając algorytmowi proponować nowe piosenki (a część – to przedziwne w czasach dostępności muzyki – w ogóle nie chce słuchać czegoś nowego). Statystycznemu słuchaczowi nie zależy na tym, aby nową muzykę pozwalał im odkrywać żywy człowiek. Siedzą w bańce swoich własnych gustów. Wyobraźmy sobie teraz, że to rozumnik generuje piosenki, które podobają się konkretnemu odbiorcy… Wtedy żywa muzyka jest zawsze gorsza.

Wracając znów do nauki, modele językowe mogą już całkiem przyzwoicie proponować tematy nowych badań, oceniać nowość naukową tekstów, recenzować publikacje, automatycznie analizować wyniki i sugerować wnioski. Zagrożeni mogą się czuć liderzy grup badawczych (wymyśli się samo), statystycy i analitycy danych (zinterpretuje się i oceni samo), niedługo może nawet laboranci (rozumnik będzie sam sterował sprzętem).

A w szerszej perspektywie może dojść do konieczności całkowitego „zaorania" współczesnego systemu edukacji, zdobywania kwalifikacji i systemu stopni naukowych, ponieważ zupełnie przestanie on pasować do takiej rzeczywistości. Po „zaoraniu" żaden człowiek nie będzie w stanie zaproponować czegoś sensownego, więc… całą edukację ludzkości przejmie na siebie rozumnik?

Cywilizacja na pewno zmieni się diametralnie w bliższej niż by się zdawać mogło przyszłości i jestem przekonany, że nie będzie to ostatnia zmiana w jej historii. A uczelnie muszą szykować się na burzę z piorunami. Oby moje dzieci nie musiały konkurować z rozumnikiem w wypełnianiu roli rodzica względem moich wnuków. Oby kolejne pokolenie zachowało chociaż minimum ciekawości świata. I oby każdy człowiek czuł się potrzebny innym emocjonalnie i intelektualnie, tak w sposób ludzki i człowieczy, a nie rozumnikowy. Inaczej będzie można wysadzić cały świat w powietrze, a ostatni zgasi światło.

Prof. dr hab. n. farm. Łukasz Komsta pracuje w Katedrze i Zakładziew Chemii Leków na Wydziale Farmaceutycznym Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.

Rozmowa z dr hab. Beatą Mak-Sobotą, prof. ASP we Wrocławiu, dziekanem Wydziału Ceramiki i Szkła

Koszyńce i siatkańce

Szkło daje możliwość wyrażenia siebie i w sztuce, i w działalności o profilu bardziej użytkowym, przy czym spektrum technik szklarskich jest naprawdę wyjątkowe .

Jakie znaczenie miały dla pani studia w pracowni prof. Henryka Wilkowskiego i okres asystentury u prof. Jerzego Chodurskiego?

Czas studiów jest ważnym i bardzo intensywnym etapem życia młodego człowieka. Teraz, będąc po drugiej stronie relacji akademickiej i prowadząc zajęcia ze studentami, widzę, że jest to okres formowania się nie tylko w sensie zawodowym, ale też życiowym, bo także w obszarze budowania relacji. Równie istotne znaczenie jak program studiów mają ludzie, z którymi się spotykamy i ich wiedza oraz doświadczenia. W przypadku studiów artystycznych, kiedy proces kształcenia przebiega głównie na zasadzie mistrz-uczeń, wykładowcy, zwłaszcza jeżeli prowadzą przedmioty kierunkowe, a tak to było w przypadku prof. Henryka Wilkowskiego, stają się postaciami dla nas wiodącymi, wręcz mentorami.

Co panią skłoniło do wyboru jego pracowni jako dyplomowej?

Gdy dostałam się na studia, moje pierwsze spotkanie ze szkłem odbyło się na zajęciach z podstaw projektowania szkła, które prowadził prof. Jerzy Chodurski. Przechodziliśmy u niego kurs bazowy: poznawaliśmy tworzywo, jakim jest szkło, uczyliśmy się jak z nim pracować, jak do niego podchodzić, by osiągać dobre i ciekawe rezultaty. To była bardzo dobra lekcja. Później, od trzeciego roku, wybieraliśmy pracownie dyplomujące kierunkowe, biorąc pod uwagę osobę prowadzącego. Dla mnie wybór był oczywisty, bo wcześniej miałam okazję zobaczyć w galerii BWA przekrojową wystawę prof. Henryka Wilkowskiego. Ujęło mnie jego podejście do tworzywa i bardzo różne formy obiektów ze szkła, które pokazał – dmuchane, ale też ze szkła płaskiego. Pracował ze szkłem trochę na zasadzie cichego buntownika, szkło płaskie nie było wtedy popularne w pracy artysty szkła, a on po nie sięgał, skręcał jakimiś śrubami, przepiaskowywał. Wydało mi się to niezwykle interesujące.

Osobowość eksperymentatora…

Uznałam więc, że będę pracować nad dalszym sposobem poznawania materii szkła właśnie z prof. Henrykiem Wilkowskim, z jego ówczesnymi asystentami Wojciechem Peszko i Barbarą Zworską-Raziuk. Pracownia to nie tylko osoba profesora, który ją prowadzi i nadaje ton kształceniu, ale też atmosfera, jaką tworzą jego współpracownicy. Dla mnie to wszystko miało znaczenie i lata spędzone w pracowni prof. Wilkowskiego wspominam jako świetny okres. A potem pojawiła się możliwość pozostania na uczelni, bo zaproponowano mi współpracę z prof. Jerzym Chodurskim. Miałam z nim kontakt przez cały okres studiów, gdyż prof. Chodurski jest świetnym fachowcem i specjalistą w zakresie technik kształtowania szkła na gorąco w piecu. Znał wiele metod, które chciałam poznać, więc nierzadko realizując prace w pracowni Wilkowskiego przychodziłam do niego na takie „tajne komplety" i profesor pomagał mi w sprawach technicznych. Gdy okazało się, że jest możliwość współpracy, nie wahałam się ani chwili. Pracowaliśmy razem przez wiele lat i to była dla mnie bardzo ważna osoba, która mocno na mnie wpłynęła – cały szereg rozmów, spotkań, wspólnej pracy, ale też przyjaźni.

Prof. Barbara Zworska-Raziuk pracowała z kolei ze szkłem okiennym, wcześniej zajmowała się szkłem płaskim, witrażem, tworzyła szklane obiekty rzeźbiarskie. A co dla pani było szczególnie interesujące w okresie studenckim?

Z całą pewnością możliwość dotknięcia każdej z technik szklarskich. Miałam pragnienie, żeby wszystkiego spróbować. Dziś zdarza się, że studenci są już ukierunkowani, mają naturalną skłonność do określonej metody, której się poddają i idą w stronę konkretnej techniki. Ja miałam potrzebę spróbowania wszystkiego i poznania pełni możliwości kreacyjnych, jakie daje szkło. Teraz, gdy pani pyta, jak z perspektywy czasu wspominam osoby, z którymi współpracowałam, dostrzegam, że kontakt z nimi przełożył się wyraźne na to, jak później pracowałam ze szkłem. Do dzisiaj została mi chęć eksperymentowania i jak wypracuję już w jakieś technice oczekiwany rezultat, lubię zrobić zwrot i pójść w innym kierunku. Było to zresztą widoczne na tegorocznej wystawie retrospektywnej w muzeum w Wodzisławiu Śląskim pt. *Synchronia – teraźniejszość i retrospekcja*, która dała mi możliwość przeglądu prac z trzydziestu lat mojej pracy twórczej; ta rocznica mija w bieżącym roku.

I jaka refleksja po trzydziestu latach?

Podejmuję bardzo różne wątki: ideowe i technologiczne, koncepcyjne i narracyjne. Wracając do osób, które miały na mnie wpływ, to pracuję i ze szkłem na gorąco, jak to robił prof. Chodurski, i z taflą szklaną, jak prof. Zworska-Raziuk. Zajmuję się także szkłem dmuchanym, bo pamiętam jak obserwowałam prof. Wilkowskiego, gdy pracował nad cyklem głów na plenerze szklarskim w Stroniu Śląskim. Profesor zaprosił mnie na ten plener, gdy byłam jeszcze studentką i miałam wówczas okazję podpatrywać go bezpośrednio przy piecu hutniczym. Nie jestem więc związana z jednym sposobem traktowania two-



Beata Mak-Sobota

rzywa szklanego, staram się to robić różnorodnie i zadawać kolejne pytania. Cechuje mnie duża ciekawość, co by było gdyby, ale to dzięki moim wykładowcom znalazłam drogę, żeby pracować ze szkłem w sposób wszechstronny.

A aktualnie, po okresie ultraminimalizmu co panią fascynuje?

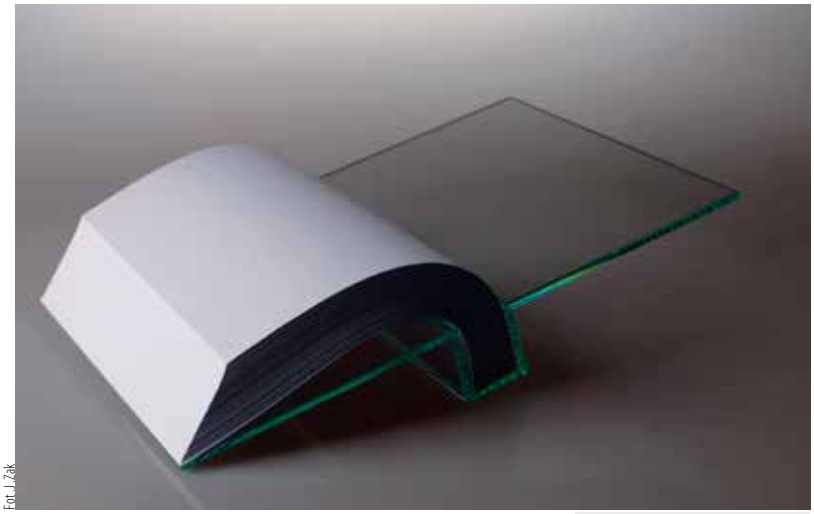
Teraz zwracam się bardziej w stronę natury, ale inaczej niż kiedyś, gdy na dyplomie i po ukończeniu studiów natura była obecna w moich pracach na zasadzie podejmowania pewnej tematyki. To były *Pejzaże* i *Widoki* – dwa cykle, które realizowałam na różne sposoby, bo i poprzez szkło dmuchane, i poprzez szkło płaskie, na które nakładałam malatury, i poprzez wprowadzanie koloru na dmuchane szklane bryły. Później to się zmieniało, pojawiały się motywy ze zdecydowaną woltą w stronę abstrakcyjnych rozwiązań rzeźbiarskich, jak w cyklu *Inkluzjonika*. Potem doszłam do jeszcze większej syntezy, której wyrazem był minimalizm ujęty w pracach cyklu *Izolacja struktury*, z wykorzystaniem szkła płaskiego i szklanych rur czy połączenia szkła z lustrem, papierem w obiektach tworzących cykl *Obiekty transliteralne*. A w tej chwili jestem znów w fazie zwrotu. Nadal mam wiele pomysłów, mogłabym te wątki pogłębiać, rozwijać, doskonalić, ale z drugiej strony chciałabym pracować ze szkłem nie na terenie dobrze poznanym, oswojonym, tylko wejść na ścieżkę trochę nieznaną, gdzie mogę postawić pytania, trochę poszukać, pogłębić kwestie, które jeszcze są dla mnie niejasne.

Co to za ścieżka?

Od roku towarzyszy mi zainteresowanie zjawiskiem kriokonitów. Są to miejsca na Antarktydzie czy w Arktyce, gdzie śnieg inaczej topnieje niż w innych strefach klimatycznych, wskutek czego tworzą się leje z mikrośrodowiskiem wewnątrz. Na skutek tych inspiracji po okresie pracy ze szkłem na zimno znów wracam do korzystania z pieca elektrycznego i topienia szkła w formie, aby zjawisko, które występuje w naturze, przełożyć na rzeźbę, ale w sposób już bardziej syntetyczny, nie tak narracyjny jak kiedyś. Nurtuje mnie też fakt, że nie jesteśmy bez wpływu na to, co się dzieje ze środowiskiem i z klimatem, dlatego chcia-



Strunowiec



Fot. J. Żak

Story

łabym tę kwestię poruszyć. Mam nadzieje, że uda mi się to w najbliższym czasie uczynić w sposób interesujący.

Jak od czasu pani studiów zmieniał się zewnętrzny kontekst prowadzenia kierunku, który obecnie nazywa się Sztuka i wzornictwo szkła? Pamiętam z opowiadań prof. Zbigniewa Horbowego, że niegdyś huty przyjmowały studentów na praktyki, mogli wówczas eksperymentować, a czasami mylić się i marnować szkło, bo gospodarka była socjalistyczna i nikt tego szczegółowo nie rozliczał. Potem przyszedł okres transformacji, kiedy przemysł szklarski zaczął upadać. Wspomniana huta w Stroniu Śląskim już nie istnieje...

Kiedy studiowałam, huty szkła sodowego i kryształowego jeszcze istniały, co dawało duże możliwości praktyk albo pobytów związanych z realizacją. Nie mogę powiedzieć, żeby mocno zajmowano się praktykantami z akademii, bo to jednak był przemysł: były terminy, była określona produkcja. Wspaniale jednak, że mogliśmy się tam pojawić, obserwować te procesy, realizować swoje prace, pomagać projektantom, a także spotykać się i rozmawiać; dotykaliśmy też ekonomicznej strony pracy ze szkłem. Takie doświadczenie było niezwykle cenne. Potem, w okresie transformacji, huty popadły w kłopoty, a kryzysy finansowe spowodowały, że dobrze rozwinięty przemysł szklarski teraz jest już tylko czymś, co możemy wspominać. Obecnie studenci nie mają możliwości przyglądania się procesom produkcyjnym, więc próbujemy przekazać im nasze obserwacje i doświadczenia. Ale z drugiej strony pojawia się inna możliwość pracy ze szkłem. Kiedyś nie było tylu studiów szklarskich, praktyk indywidualnych, warsztatów prowadzonych często przez naszych absolwentów. Trochę zmieniło się wykorzystywanie szkła w prowadzeniu własnej przedsiębiorczości i ścieżka pracy dla projektantów szkła użytkowego jest teraz znacznie węższa. Wzornictwo szkła ma swoją specyfikę, bo niezwykle ważne jest, żeby dobrze poznać materiał, z którym pracujemy, czyli jego właściwości i to co się z nim dzieje w zależności od techniki kształtowania, aby umiejętnie go wykorzystać w pracy projektowej. Hut działających na wielką skalę już nie ma, ale jest jeszcze np. Huta Szkła Kryształowego Julia, gdzie nasi absolwenci są projektantami, a niedawno reanimowała się huta szkła w Polanicy pod nazwą Manufaktura Szkła, działa Krakowska Huta Szkła przy Instytucie Ceramiki i Materiałów Budowlanych, z którą jako Wydział Ceramiki i Szkła realizujemy wspólne projekty.

Czy w związku ze zmianą sytuacji rynkowej przed studentami otworzyły się jakieś nowe możliwości?

Studenci w Katedrze Szkła dobrze poznają technologiczną stronę pracy ze szkłem i są w stanie otworzyć sobie małe studia szklarskie zaopatrzone w piece elektryczne. Rozwinęły nam się także techniki pracy ze szkłem w ogniu palnika i to jest bardzo dobra ścieżka pracy pod względem technologicznym. Poza tym kiedyś, po ukończeniu studiów byliśmy trochę zdani na to, co możemy realizować na miejscu, w kraju. Dzisiaj studenci mają lepszą sytuację, są bardziej otwarci na świat i lepiej wyposażeni w umiejętność komunikacji językowej, co pomaga im realizować swoje aspiracje nie tylko w ojczyźnie, bo generalnie cały świat stoi dla nich otworem i śmiało z tego korzystają.

A jaki rodzaj działalności w obrębie szkła ma szansę zaistnieć na rynku w szerszej skali?

Z całą pewnością szkło jest fascynującym tworzywem, wiele osób ulega jego urodzie i lubi się nim otaczać. I to zarówno szkłem unikatowym, artystycznym – myślę tu o tworzeniu rzeźb czy obiektów, które dopełniają wnętrza albo przestrzeń publiczną – ale też szkłem użytkowym. Często ludzie szukają czegoś oryginalnego, unikatowego, a szkło i jego piękno, interakcja ze światłem, są w stanie to zapotrzebowanie zaspokoić. Sądzę, że dzisiaj nasz absolwent może tak pracować ze szkłem, żeby, po pierwsze, spełnić potrzebę obcowania ze sztuką szkła, i swoją, i odbiorcy, a po wtóre – tworzyć przedmioty użytkowe. Jest jeszcze kolejna ścieżka, czyli zapewnianie odbiorcom takiej formy spędzania czasu, jak warsztaty połączone z edukacją w zakresie szkła. Wielu naszych kolegów prowadzi własne studia, oferując możliwość kontaktu czy to ze szkłem, czy z ceramiką. Ludzie szukają nowych doznań,

Masz wiadomość



dotknięcia czegoś, co jest wyjątkowe, a szkło jest właśnie taką fascynującą materią.


Siatkańce

Jakie zmiany nastąpiły w programie i organizacji studiów na Wydziale Ceramiki i Szkła, w odpowiedzi na zmieniająca się rzeczywistość?

Kontekst zewnętrzny, o którym rozmawiamy, zdecydowanie ma przełożenie na zmianę programu. Oczywiście jesteśmy, jako sztuka i wzornictwo szkła, kierunkiem studiów w Akademii Sztuk Pięknych, więc kwestia umiejętności bazowych związanych z rysunkiem i malarstwem jest niezmiernie ważna, bo trzeba rozwijać umiejętność obserwacji, wrażliwość i zdolności manualne. Później dochodzą przedmioty kierunkowe, więc pogłębianie wiedzy o szkle, co stanowi najważniejszą część kształcenia. Staramy się też wprowadzać dużo więcej przedmiotów, które przygotowują do wejścia zawodowego na rynek sztuki, czy prowadzenia własnej przedsiębiorczości. Ja na studiach nie miałam prawa autorskiego, podstaw przedsiębiorczości, zarządzania produktem, a obecnie te przedmioty są już realizowane, co więcej – przygotowujemy się do zmodernizowania programu studiów, bo dostrzegamy zdecydowaną potrzebę pozyskania przez studentów wiedzy związanej z tym, jak się w ogóle odnaleźć w dzisiejszym świecie. Kiedyś było to mniej skomplikowane, ponieważ nie było tak wielu przepisów, regulaminów, regulacji, zasad, formularzy, sprawozdań, życie było zdecydowanie prostsze i realizowanie własnej pracy również. W tej chwili trzeba się w tym świecie znaleźć inaczej i program już te nowe elementy zawiera, a pewnie będzie zawierał ich jeszcze więcej. Dostrzegamy nawet potrzebę, żeby wprowadzić taki element kształcenia, który pokaże studentom, w jaki sposób można się inspirować, motywować do działania, organizować czas, jak pracować nad sobą, żeby w obszarze sztuki i wzornictwa dobrze radzić sobie zarówno z samym tworzywem, jak i wymogami funkcjonowania na rynku pracy.

Jak duże jest obecnie zainteresowanie studiami na kierunku sztuka i wzornictwo szkła?

Wydział Ceramiki i Szkła jest jedynym takim wydziałem w kraju i ma tradycje sięgające początków uczelni. Biorąc pod uwagę demografię, zainteresowanie jest. Może trochę mniejsze niż w przypadku grafiki czy malarstwa, bo jeśli ktoś interesuje się sztuką, to w tę stronę najszybciej się zwraca. Szkło jest pewną niszą, ale widzimy, że studenci bardzo pragną kontaktu z tworzywem i odkrywania na nowo rzemiosła, rękodzieła, prac manualnych.

Następuje już zapewne powolne zmęczenie rzeczywistością wirtualną.

No właśnie, podczas rekrutacji zawsze mamy nadwyżkę kandydatów w stosunku do ilości miejsc, a w tym roku nawet dostrzegliśmy wyraźny skok. Nasza konkluzja jest taka, że


Maui

wraca chęć pracy w 3D, w kontakcie z materiałem, a szkło daje dodatkowo możliwość pracy dwuobszarowej: wyrażenia siebie i w sztuce, i w działalności o profilu bardziej użytkowym, przy czym spektrum technik szklarskich jest naprawdę wyjątkowe. Ten potencjał, jeśli się go dostrzeże, może uwieść. Podczas „Drzwi Otwartych ASP Wrocław" nierzadko studenci, którzy przychodzą z myślą o innych kierunkach studiów, po zapoznaniu się z naszą ofertą i możliwościami kreacyjnymi szkła ulegają fascynacji i zmieniają swoją decyzję życiową.


Cylindron

Jaki charakter ma prowadzona przez panią Pracownia Projektowania Integrującego?

Studenci dokonują wyboru pracowni już po „zapoznaniu się" ze szkłem w ramach przedmiotów, których treść to podstawy projektowania szkła i podstawy szkła artystycznego. W naszej pracowni, którą prowadzę z dr Justyną Żak, szkło jest głównym elementem rozwiązań projektowych, ale staramy się ze studentami wypracowywać takie koncepcje, żeby pojawiały się także inne tworzywa, inne materiały i pełne spektrum wątków projektowych związanych z oświetleniem czy z meblem. Patrzymy więc bardzo szeroko. Integrujemy przy tym, w odniesieniu do szkła użytkowego, kwestię formy i technologii z funkcjonalnością. Stawiamy studentom zadania w taki sposób, aby szukali różnych kontekstów, różnych odniesień i żeby w swojej pracy projektowej łączyli nie tylko tworzywa, ale też funkcje, pojęcia i zjawiska, które są dla nich interesujące. Czasami można przekazać w projekcie jakąś wiadomość, włączyć kontekst kulturowy, środowiskowy albo historyczny. Na przykład jednym z naszych dyplomów był zestaw lamp inspirowanych Atlantydą.

Atlantydą?

Wydawałoby się, że projekt lamp i Atlantyda to dwie różne kwestie. Okazało się jednak, że łączenie sprzeczności i bardzo odległych punktów może dawać interesujące rozwiązania. W tym przypadku motyw wody i wyspy zainspirował dyplomantkę do opracowania bardzo ciekawych reliefów w technice slumpingu, tworzących tafle kinkietów.

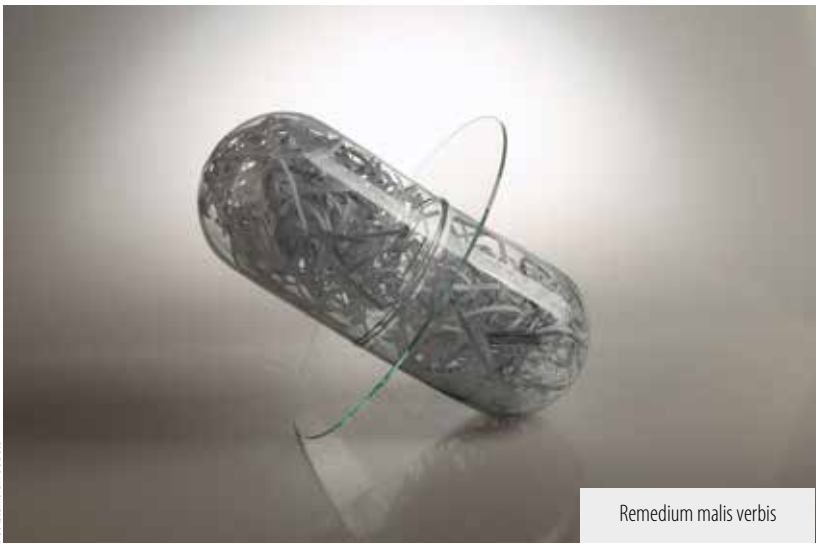
W jaką stronę idą zainteresowania studentów w pani pracowni?

Czasami jest to fascynacja tworzywem, danym rodzajem szkła czy określonym rodzajem technologii, techniki szklarskiej albo zainteresowanie jakimś problemem czy zagadnieniem projektowym, co głównie objawia się, gdy przystępują do realizacji pracy dyplomowej. Wcześniej w ramach pracy kursowej sami, jako wykładowcy, stawiamy im zadania, bo zależy nam na tym, żeby studenci w efektywny sposób uzyskali zakładane efekty uczenia. Ale dyplom to już jest rzecz bardzo indywidualna i tu jesteśmy mocno wsłuchane w głos studentów. Z perspektywy kilku ostatnich lat dyplomowych te ścieżki są bardzo różne: oświetlenie jako element biżuterii wnętrza, zestaw naczyń inspirowany kręgami na wodzie, zestaw meblowo-oświetleniowy sprzyjający relaksowi. Nurt projektowania oświetlenia dominuje w naszej pracowni i studenci chętnie go podejmują. W moim przypadku miejsce studiów stało się zarówno miejscem mojej pracy twórczej i dydaktycznej, którą bardzo sobie cenię, bo pytania zadawane przez młodych ludzi są dla mnie intrygujące i inspirujące. Cieszę się, że mogę im pomagać i jest dla mnie niezwykle ciekawe obserwowanie jak studenci przy naszej pomocy znajdują odpowiedzi i dojrzewają w swojej pracy.


Lava drums

Na jakim etapie studenci wybierają specjalność dyplomową?

Obecnie w przypadku studiów I stopnia już po czterech semestrach zastanawiają się nad tematem pracy dyplomowej, a w przypadku II stopnia – po dwóch. Zmienił się model kształcenia: ja studiowałam na studiach jednolitych, pięcioletnich, ale w pewnym momencie w przypadku wzornictwa, bo w taki obszar zostaliśmy wpisani, pojawił się wymóg studiów dwustopniowych. Natomiast od dwóch lat uczelnie, które posiadają odpowiednią kategorię, mają możliwość zmiany formy studiów. Teraz jesteśmy w procesie powrotu do studiów pięcioletnich.



Fot. Stanisław Sobota

Remedium malis verbis

studiów będzie dla nich korzystniejsza. Wydawało się, że system dwustopniowy sprzyja większej mobilności, ale tak nie jest, zwłaszcza w przypadku programu Erasmus. Na studiach licencjackich mamy rok bazowy, potem rok drugi kiedy rzeczywiście można gdzieś wyjechać, ale trzeba niebawem wrócić, by przygotować się do dyplomu. Na drugim stopniu w zasadzie zostaje tylko semestr, żeby gdzieś się wybrać. Studenci czasem z tego korzystają, a czasem nie, bo gdy rozważą wszystkie za i przeciw, okazuje się, że mogą wypaść z rytmu i zabraknie im czasu na dyplom. Myślę więc, że jeżeli już naprawdę ktoś inwestuje czas w naukę, to warto, by poświęcił go nieco więcej.

Wiele uczelni artystycznych korzysta z takiej możliwości.

W sztukach wizualnych, w mojej ocenie, ważny jest czynnik czasu i odpowiednio długi proces rozwoju. Cezura dyplomu licencjackiego trochę go przerywa. Doświadczamy sytuacji, kiedy studenci na studiach licencjackich dobrze pracowali, robili świetne dyplomy, a potem następował okres wypalenia, kolejne dwa lata mijały im niezmiernie szybko i trochę tracili moc, żeby je lepiej spożytkować. Podobne odczucia mają koledzy z innych uczelni, z politechniki czy z uniwersytetu. Drugi stopień jest trochę nieefektywny, zwłaszcza gdy dochodzi perspektywa procesów technologicznych i wymiany doświadczeń, a szkło jest bardzo wymagającym technologicznie materiałem. Cykl pięcioletni na pewno przysłuży się lepszemu przygotowaniu studentów do samodzielnej działalności zawodowej i zapewni właściwy rozwój twórczy.

W przypadku studiów dwustopniowych pojawia się jeszcze problem tzw. magistrów dwuletnich, którzy przychodzą z innych obszarów.

Tak, istotnie, na drugim stopniu pojawiają się zarówno studenci, którzy kontynuują naukę, jak i ci, którzy przyszli z innych uczelni albo z innych kierunków naszej akademii. Nierzadko są to osoby po kierunkach takich jak sztuka mediów, malarstwo, rzeźba, ale też po kierunkach związanych z tkaniną czy ubiorem w Łodzi. Nie ukrywam, że w przypadku studiów, których osią jest tworzywo, jest to problematyczne, bo wiedza o tworzywie ma ogromne znaczenia, podobnie jak zebrane doświadczenia. Nierzadko było tak, że zachodziła potrzeba wykonania z tymi studentami dodatkowej pracy, ponieważ program nie dawał możliwości, żeby nadrobić braki. Ale z drugiej strony, obecność osób po innych kierunkach była niezwykle ożywcza dla studentów, którzy teren pracy ze szkłem mieli już trochę zbadany. Zdarzało się, że osoby z innych obszarów inaczej myślały, dostrzegały możliwości innych połączeń i nagle wszyscy zaczynaliśmy zastanawiać się nad rozwiązaniami, które wcześniej wydawały się niemożliwe lub mocno ryzykowne. Projektowanie integrujące ma także przełożenie na relacje, które są dla nas ważne. Praca w grupie, dyskusje na zajęciach, gdzie każdy może stawiać pytania, są niezmiernie istotne. Biorąc pod uwagę to, jak należy przygotować się do pracy ze szkłem, uważam, że formuła pięcioletnia jest lepsza. Z drugiej strony, mam w sobie też zrozumienie, że obecnie bardziej waży się zainwestowany czas i studenci chcieliby do pewnych rozwiązań dojść szybciej i prościej, słowem: krótszą drogą. Zakładam jednak, że mają do nas zaufanie i wiedzą, że proponowana przez nas forma

Rozglądając się po pani pracowni, można zobaczyć różnorodne obiekty wykonane ze szkła.

Rzeczywiście, jesteśmy w pracowni i są tu m.in. prace, które ostatnio realizuję w tradycyjnej technice szkła dmuchanego, w dwóch cyklach: *Koszyńce* i *Siatkańce*. Prace zostały wykonane w akademii, w naszej hucie Katedry Szkła. Proces technologiczny dmuchania szkła jest bardzo wymagający od strony przygotowania warsztatu huty, przeprowadzenia procesu realizacji, ale też od strony finansowej. Mamy kilka miesięcy w roku, kiedy huta działa – musimy wtedy być gotowi z realizacjami studentów, przede wszystkim tymi dyplomowymi, ale też kursowymi. Realizujemy także jako pracownicy naukowi nasze badania, prace artystyczno-naukowe i projekty. Jeden z moich ostatnich projektów to wspomniane wcześniej cykle, czyli eksperyment związany z tym, jak forma wykonana z siatki wpływa na ukształtowanie naczynia. Przy wdmuchaniu szklanej bańki do siatki, tworzą się efekty optyczne, a po zdjęciu zostaje jej ślad. Pracuję też obecnie nad cyklem unikatowych form użytkowych, są to misy o nazwie *Wyspy wulkaniczne*. W czasie pracy z hutnikiem kształtujemy bańkę i nakładamy kolor, a potem jest moment dotknięcia szkła od dna i wepchnięcia go do środka i tu dochodzi element kontrolowanej przypadkowości. Ostatecznie ukształtowana i wystudzona w wymagającym procesie bańka zostaje przecięta, a krawędź szkła wyszlifowana. Obiekt ten może być traktowany w pełni jako artystyczny, ale posiada też funkcjonalną wewnętrzną przestrzeń misy.

Co panią najbardziej fascynuje w szkle?

Poznałam chyba każdą technikę. Pracowałam ze szkłem w ogniu palnika, topiłam szkło w formie w piecu elektrycznym, szlifowałam, malowałam i piaskowałam. Można powiedzieć, że nie żałowałam sobie skorzystania z różnych możliwości. Szkło fascynuje mnie w jego interakcji ze światłem, która daje nieprawdopodobne efekty. Dochodzi jeszcze kwestia magii, która dzieje się przy piecu, gdy masa jest gorąca, rozżarzona, a później nabiera krystaliczności wody. Można pokusić się o stwierdzenie, że w procesie dmuchania szkła biorą udział cztery żywioły: masa szklana powstaje przecież z kwarcu, czyli z piasku, potem dochodzi ogień, temperatura i powietrze, by szkło mogło nabrać kształtu, a woda towarzyszy procesowi szlifowania. Trudno oprzeć się żywiołom, może dlatego fascynacja procesami formowania szkła towarzyszy mi nieustannie i sprawia, że cały czas powstają twórcze koncepcje, dzięki którym kontynuuję mój dialog ze szklanym tworzywem.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Monika Kuryło

Jesteśmy poznawczymi leniami

O prawie konsumenta do informacji i tym, co z niego (nie) wynika

Uwzględniając ograniczoną wydolność poznawczą człowieka i sposób podejmowania przez niego decyzji, ochrona konsumenta przez informację jawi się jako narzędzie raczej zawodne .Może ono spełniać swoje funkcje dopóty, dopóki nie wyczerpie możliwości przetwarzania danych, a sprawdza się raczej w przypadku prostych umów i produktów .

Informacja stanowi fundament unijnego prawa ochrony konsumenta. Wagę prawa konsumenta do informacji podkreślał już J.F. Kennedy w swoim wystąpieniu przed Kongresem USA 15 maja 1962 roku. Przemówienie to uznaje się współcześnie za początek publicznej polityki konsumenckiej w gospodarce rynkowej. Prawo do informacji i edukacji uwzględnione zostało już w pierwszej rezolucji Rady w sprawie polityki konsumenckiej z 14 kwietnia 1975 roku, stanowiącej zalążek rozwijanego później w ramach Wspólnoty Europejskiej, a następnie Unii Europejskiej prawa ochrony konsumenta. Obecnie prawo konsumenta do informacji ma również umocowanie traktatowe w art. 169 ust. 1 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. W polskim porządku prawnym konstytucyjnych podstaw tego prawa doszukuje się we współstosowaniu art. 76 i 54 Konstytucji RP. Na poziomie ustawowym obowiązek przedsiębiorcy do przekazania konsumentowi stosownych informacji na etapie zawierania umowy wynika m.in. z art. 8 i 12 ustawy o prawach konsumenta. Liczne obowiązki informacyjne zostały również uregulowane w innych ustawach, regulujących konkretne typy umów. Bywają to regulacje bardzo rozbudowane i kazuistyczne, często wprowadzane w ramach implementacji poszczególnych dyrektyw unijnych do polskiego porządku prawnego.

Informacja lekiem na całe zło

Zgodnie z założeniami ochrony konsumenta przez informację zagrożenie interesów konsumentów w umowach zawieranych z przedsiębiorcami wynika z asymetrii informacyjnej. Konsument zawiera umowy, dążąc do zaspokojenia swoich indywidualnych potrzeb w możliwie największym zakresie. Często nie ma on jednak szczegółowej wiedzy na temat produktów, które nabywa, albo usług, z których korzysta, co wiąże się z ryzykiem niezaspokojenia jego rzeczywistych potrzeb lub narażeniem go na straty. Przedsiębiorca z kolei najczęściej dysponuje bogatą wiedzą na temat oferowanych towarów i usług. Ma również doświadczenie w prowadzeniu działalności na określonym rynku – zna działające na nim zjawiska i potrafi przewidywać wpływ czynników rynkowych na wykonywanie umów zawieranych z konsumentami. Prawo unijne zakłada, że konsument dysponujący rzetelną, klarowną, prawdziwą i kompletną informacją na temat oferowanych dóbr i konfrontując tę informację ze swoimi uświadomionymi potrzebami, jest w stanie podjąć najbardziej korzystną decyzję. Zniwelowanie asymetrii informacyjnej pozwala więc konsumentowi ustrzec się przed błędnymi wyborami – niejako chroni go przed samym sobą.

Ochrona konsumenta przez informację odbywa się rękoma (i portfelem) przedsiębiorcy. Prawodawca jedynie wskazuje, jakie informacje powinien on zgromadzić i przekazać konsumentowi, czasem precyzując również formę, w jakiej ma to nastąpić. Koszty związane z obowiązkami informacyjnymi przeniesione zostają na przedsiębiorcę, a ustawodawca cieszy się poczuciem dobrze spełnionej misji. Nie powinno więc dziwić, że obowiązki informacyjne określane w poszczególnych dyrektywach wręcz pęcznieją w oczach. Tytułem przykładu wystarczy porównać Dyrektywę 87/102 i zastępującą ją Dyrektywę 2008/48. Obie dotyczą umowy o kredyt konsumencki. Dostrzec można wyraźne rozbudowywanie katalogu informacji, jakie na etapie przedkontraktowym kredytodawca obowiązany jest przekazać kredytobiorcy.

Obowiązki informacyjne nakładane przez prawo przyczyniają się do tego, że informacja jest dla konsumentów łatwiej dostępna i obszerniejsza. Udział w ułatwianiu dostępu do informacji o różnych dobrach i usługach ma również Internet. Jednocześnie jednak obserwuje się, że oferty, z których skorzystać mogą konsumenci, stają się coraz bardziej skomplikowane. Tym zaś, co nie ulega zasadniczej zmianie, są możliwości „przerobowe" ludzkiego systemu poznawczego. Pod tym względem homo sapiens, który żył w jaskini, niewiele różni się od homo sapiens grającego na giełdzie.

Homo oeconomicus w odwrocie

Rzeczywista skuteczność ochrony konsumenta przez informację może być kwestionowana w świetle badań nad procesem

przyswajania i przetwarzania informacji i podejmowania decyzji, prowadzonych w nurcie psychologii społecznej i psychologii zachowań konsumenckich, a także ekonomii behawioralnej. Warto zwrócić uwagę na to, że u podstaw ochrony konsumenta przez informację leży wiele założeń dotyczących stricte funkcjonowania poznawczego człowieka. Zakłada się bowiem m.in., że konsument 1) rzeczywiście przyswaja informacje dostarczone mu przez przedsiębiorcę na różnych etapach „życia" umowy; 2) pamięta i świadomie przetwarza dostarczone mu informacje; 3) podejmuje decyzje na podstawie przetworzonej informacji. Co więcej, zakłada się, że konsument jest ekspertem w zakresie własnych, uświadomionych potrzeb, a w swoich decyzjach kieruje się maksymalizowaniem korzyści. Niektóre z tych założeń odpowiadają wizji homo oeconomicus, którego zachowanie jest racjonalne i ukierunkowane na maksymalizację użyteczności.

Obalanie wskazanych wyżej założeń pozwoliło wielu psychologom uzyskać tytuły naukowe, a ekonomistom również Nagrody Nobla. Wykryte i zbadane przez nich odstępstwa od optymistycznego modelu racjonalności ludzkich decyzji od dziesięcioleci wykorzystywane są w marketingu do wpływania na wybory dokonywane przez konsumentów. Prawo ochrony konsumenta wyraźnie nie nadąża za praktykami marketingowymi, chętnie implementującymi odkrycia innych nauk społecznych. Jest to o tyle zrozumiałe, że trudno określić, kiedy decyzja podjęta zostaje przez konsumenta w warunkach behawioralnych ograniczeń, a kiedy stanowi wyraz jego rzeczywi-



Joachim Beuckelaer, *Rynek z Ecce Homo* (1561)

stych preferencji. Nadmierne przywiązanie do założeń podważanych przez psychologię i ekonomię, dotyczących np. sylwetki przeciętnego konsumenta i jego sposobu podejmowania decyzji, może jednak prowadzić do tworzenia nieefektywnych regulacji prawnych. Sytuacji nie poprawia fakt, że skuteczność stosowanych w prawie metod ochrony konsumenta nie jest w istocie weryfikowana empirycznie. W efekcie nadmierne poleganie na rozpatrywanej w artykule ochronie konsumenta przez informację może prowadzić w istocie do pozostawienia konsumenta samemu sobie.

Z licznych badań prowadzonych przez psychologów wynika, że samo udostępnienie informacji nie gwarantuje, że 1) zwrócimy uwagę na to, co istotne; 2) zapamiętamy i przetworzymy to, na co zwróciliśmy uwagę; 3) podejmiemy decyzję na podstawie wniosków wypływających z przetworzonej informacji. Nasza możliwość przetwarzania informacji jest bowiem ograniczona już na poziomie spostrzegania, czyli samej recepcji bodźców.



Inne ograniczenia wiążą się z naszymi zasobami uwagowymi. O uwadze zwykliśmy myśleć jak o pewnej zdolności, mięśniu, który możemy ćwiczyć. Tymczasem, w koncepcjach wielu psychologów stanowi ona pewnego rodzaju zasób i jak każdy zasób jest wyczerpywalna. Intuicyjnie na poziomie językowym zdaje się to trafnie oddawać angielski zwrot „pay attention", kiedy płacimy za coś uwagą, nie możemy jej już spożytkować na nic innego. Uwaga musi więc być mądrze wydatkowana przez nasz system poznawczy. Mądrość tego systemu objawia się w jego lenistwie – jeśli może on uniknąć wysiłku poznawczego, z całą pewnością skorzysta z tej możliwości. Choć trudno jest pogodzić się z tym, zwłaszcza miłośnikom nauki, na poziomie procesów przyjmowania i przetwarzania informacji jesteśmy poznawczymi leniami. Sygnalizowana tu selektywność uwagi jest jednak zbawienna dla naszego zdrowia psychicznego. Nie pozwala nam na zapoznanie się z wszystkimi napływającymi do nas bodźcami (również semantycznymi, będącymi potencjalnie ważną informacją), ale jednocześnie zapobiega przeładowaniu naszego systemu poznawczego.

Kolejne ograniczenia wiążą się z naszą pamięcią krótkotrwałą i dotyczą zarówno jej pojemności (która zgodnie z kwestionowaną współcześnie liczbą Millera miała wynosić 7 +/– 2 elementy), jak i trwałości (ok. kilkanaście sekund). To właśnie przeładowanie naszego magazynu pamięci krótkotrwałej daje poczucie przytłoczenia informacją, wręcz swego rodzaju stresu informacyjnego.

Nie rozwijając zagadnień związanych z innymi obszarami psychicznego funkcjonowania człowieka, warto zasygnalizować jedynie, że nawet jeśli uwaga i pamięć nas nie zawiodą, nasze zachowania konsumenckie mogą być dalekie od racjonalności homo oeconomicus. W podejmowanie decyzji, także tych związanych z zakupem albo z zawarciem konkretnej umowy, zaangażowane są bowiem również emocje, postawy, procesy samoregulacyjne, a także osobowość.

Z założeniem racjonalności konsumenta ściera się obecnie również ekonomia. Zgodnie z teorią ekonomii głównego nurtu, racjonalne zachowanie konsumenta bazuje na namyśle nad własnymi potrzebami i środkami do ich zaspokojenia. Namysł ten oznacza kalkulowanie nakładów i korzyści wynikających z różnych wariantów decyzji i skutkuje wyborem najlepszego dostępnego wariantu. Ograniczona racjonalność postępowania konsumenta może wynikać z braku informacji na temat dostępnych mu alternatyw, co uniemożliwia wybór najlepszej z nich. W nurcie ekonomii behawioralnej założenie o takiej racjonalności konsumenta jest jednak podważane. Podkreśla się bowiem, że konsument funkcjonuje i podejmuje decyzje w warunkach niedoskonałej konkurencji, niedoskonałej informacji i wysokich kosztów transakcyjnych, na co nakładają się również dalekie od ideału sposoby podejmowania decyzji.

Herbert Simon, noblista w dziedzinie ekonomii, krytykował teorię racjonalnego podejmowania decyzji. Wskazywał, że decydenci mają zarówno niepełną informację, jak i ograniczone możliwości przetwarzania tych danych, które zdobyli. Człowiek nie dysponuje nieograniczonymi możliwościami obliczeniowymi, więc nie jest w stanie ze wszystkich dostępnych alternatyw wybrać tę, która maksymalizowałaby wszelką użyteczność. Zadowala się raczej decyzjami „dostatecznie dobrymi" i to dobrymi w chwili dokonywania wyboru.

Być może znany jest szerszemu gronu odbiorców Daniel Kahneman, psycholog i noblista w dziedzinie ekonomii, który wraz z Amonem Tverskym opracował teorię perspektywy,

zgodnie z którą, wbrew dominującej w ekonomii głównego nurtu teorii oczekiwanej użyteczności, w procesie podejmowania decyzji człowiek motywowany jest bardziej stratą aniżeli zyskiem. Na podstawie licznych badań eksperymentalnych Kahneman i Tversky wyciągnęli również wniosek o stosowaniu przez człowieka dwóch diametralnie różniących się od siebie systemów myślenia. Pierwszy z nich jest szybki, automatyczny, oparty na intuicji i często korzysta z heurystyk, czyli swego rodzaju myślowych „dróg na skróty", a prowadzi do wniosków niekoniecznie odpowiadających rzeczywistości. Drugi system jest powolny, świadomy i wymagający większego wysiłku, ale pozwala na podejmowanie bardziej złożonych decyzji i niesie ze sobą mniejsze ryzyko błędu. W kontekście sygnalizowanej wcześniej oszczędności poznawczej i związanych z nią dobrodziejstw, nie sposób rozstrzygać o wartościowości obu systemów. Nie można jednak również ignorować udziału pierwszego systemu w podejmowaniu decyzji konsumenckich.

Jeśli fakty przeczą teorii…

Uwzględniając ograniczoną wydolność poznawczą człowieka i sposób podejmowania przez niego decyzji, ochrona konsumenta przez informację jawi się jako narzędzie raczej zawodne. Może ono spełniać swoje funkcje dopóty, dopóki nie wyczerpie możliwości przetwarzania danych, a sprawdza się raczej w przypadku prostych umów i produktów. Wyrównanie asymetrii informacyjnej przy zakupie obuwia nie będzie bowiem nadwyrężać systemu poznawczego w takim samym stopniu, jak np. analiza umowy dotyczącej złożonej usługi finansowej.

Po przekroczeniu pewnej granicy przyswajalności dalsze bombardowanie konsumenta informacjami nie przekłada się na lepszą „jakość" zachowań na rynku. Co gorsza, nadmiar informacji może wręcz przejawiać się mniej racjonalnymi decyzjami konsumentów. Przetwarzanie informacji wiąże się bowiem z wysiłkiem, który nie może już zostać włożony w samo podjęcie decyzji. Zbyt duża ilość informacji zmusza system poznawczy do uruchomienia mechanizmów selekcji, w wyniku których w okrojonej wersji komunikatu, rzeczywiście przetworzonej przez konsumenta, nie znajdą się kwestie istotne z punktu widzenia przedmiotu zawieranej umowy. To co ważne zginie w szumie informacyjnym.

Realizowaniu ochrony konsumenta przez informację nie sprzyja obecnie również praktyka masowego zawierania umów konsumenckich o jednakowej treści, z wykorzystaniem tzw. wzorców umownych, tj. standardowych wzorów, regulaminów, formularzy umów, których indywidualizacja polega często jedynie na wskazaniu danych personalnych konsumenta. Wzorce te bywają bardzo obszerne, zwłaszcza w przypadku różnych usług oferowanych na rynku finansowym. Czy są one w całości czytane przez konsumenta? Niech odpowiedzią na to pytanie będzie bardzo interesująca inicjatywa „Terms of Service; Didn't Read (ToS;DR)". Zgodnie ze sloganem, który twórcy zamieścili na swojej stronie internetowej: „Przeczytałem i zgadzam się z warunkami" to największe kłamstwo w sieci. Razem możemy to naprawić. Strona służy prezentacji ocen i analiz regulaminów i polityki prywatności różnych serwisów internetowych. Inicjatywa ma ułatwić internautom wgląd w rozbudowane i skomplikowane warunki użytkowania, które zwykle „odhaczają" mechanicznie, zakładając konta na różnych platformach. Większość użytkowników nie czyta regulaminów w Internecie. Optymistycznym jest założenie, że sam fakt wręczenia konsumentowi wzorca umownego na trwałym nośniku sprawi, że zawierając umowę „w realu", zechce on wnikliwie zapoznać się z jego treścią.

W kontekście takiej praktyki zawierania umów warto przyjrzeć się również temu, jak przedsiębiorcy wywiązują się z nakładanych na nich obowiązków informacyjnych. Najczęściej polega to na przekazaniu konsumentowi dodatkowego pliku dokumentów. Niektóre przepisy wprost nakazują, aby informacje zostały udostępnione na trwałym nośniku i najczęściej jest nim papier albo nośnik elektroniczny. W zależności od stopnia złożoności oferowanego dobra lub usługi, udostępnione informacje mogą być mniej lub bardziej obszerne, posługiwać się pojęciami o różnym stopniu specjalizacji i wymagać od konsumenta innego poziomu wiedzy. Wymieniane w przepisach konkretne informacje, jakie przedsiębiorca obowiązany jest przekazać konsumentowi, często wyczerpują materię, która stanowi w istocie treść samej umowy albo znajduje się już we wzorcu umownym, którym posługuje się przedsiębiorca. Prowadzić to może do dublowania treści w całym pliku papieru, który został wręczony konsumentowi. To zaś skutkować może dezorientacją i marnowaniem cennych zasobów poznawczych na zapoznawanie się z daną informacją po raz kolejny. Wpływa też na sferę motywacyjną konsumenta, który może zrezygnować z wnikliwej lektury wszystkich udostępnionych mu materiałów. W efekcie, mimo przekazania pełnej informacji, podjęta przez konsumenta decyzja może nie różnić się od wyboru, którego dokonałyby „w ciemno".

Taki model ochrony przez informację, realizowany przez nakładanie na przedsiębiorcę coraz liczniejszych obowiązków informacyjnych może prowadzić do niezadowolenia obu stron umowy. Konsument, który po otrzymaniu informacji i tak podjął niekorzystną dla siebie decyzję, nie odczuje, by był chroniony przez prawo. Przedsiębiorca z kolei, wraz z rosnącą troską prawodawcy o doinformowanie konsumenta, będzie ponosić dodatkowe koszty.

Czasem mniej znaczy więcej

Paradoksalnie, w świetle nakreślonych w artykule ograniczeń poznawczych człowieka, informacja bywa obecnie wykorzystywana do dezinformacji. W warunkach nadmiaru docierających zewsząd bodźców ochrona konsumenta przez informację powinna koncentrować się raczej na jej jakości i przyswajalności. Pozwoliłoby to zdjąć z konsumenta ciężar związany z samodzielną selekcją danych i pomóc lepiej rozumieć to, co dotarło do niego przez filtr uwagowy. Wskazany byłby również większy udział doradztwa na etapie przekazywania informacji. Obecnie etap ten często sprowadza się do przekazania konsumentowi tego, co zostało enumeratywnie wymienione w przepisie ustawy.

Pewnym rozwiązaniem nakreślonego tu problemu mógłby być również większy nacisk na realizowanie prawa konsumenta do edukacji, często wymienianego obok prawa do informacji. Kształtowane w ramach edukacji konsumenckiej umiejętności korzystania z dostarczanych przez przedsiębiorców informacji, przyczyniałyby się do większej świadomości i ostrożność w podejmowaniu decyzji.

Niezależnie od powyższych uwag, warto podkreślić znaczenie badań interdyscyplinarnych nad przetwarzaniem informacji i podejmowaniem decyzji przez konsumentów, a także potrzebę wykorzystywania wyników tych badań w kształtowaniu prawa konsumenckiego. Badania empiryczne powinny być również prowadzone w celu weryfikacji skuteczności istniejących i projektowanych regulacji prawnych w tym zakresie. Prawno-dogmatyczne zagadnienia ochrony konsumenta, również przez informacje, stanowią już przedmiot rozbudowanych badań prawników, w tym autorki niniejszego tekstu.

Mgr Monika Kuryło jest absolwentką psychologii i prawa, doktorantką w Szkole Doktorskiej KUL w dyscyplinie nauki prawne.

Marta Michalska

Czy służąca może słuchać muzyki?

Jako historyczkę interesuje mnie skok na główkę w niekończące się morze wycinków prasowych i fragmentów pamiętników, jako filozofkę interesują mnie poznawcze możliwości wynikające z przyłożenia ucha do przeszłości .

Czterech facetów pisze list do gazety i apeluje o zachowywanie ciszy w zamieszkiwanej przez nich okolicy.

Czterech facetów – mieszkańców ul. Chopina w Warszawie – pisze list do gazety i trzy razy w tym liście podkreśla, że płacą oni bardzo wysokie czynsze, że ul. Chopina w Warszawie jest bardzo droga i że oni sporo płacą, aby w ich okolicy panowała cisza i spokój.

Czterech facetów pisze list do gazety i narzeka, że powodem, jak piszą, „piekła hałasów, klątw, kłótni i turkotu" są koncerty odbywające się w pobliskiej Dolince Szwajcarskiej oraz później-



sze kawalkady dorożkarzy, którzy rozwożą koncertowiczów do domów lub na dalsze rajzy.

Czterech facetów pisze list do gazety, bo oburza ich, że plenerowe koncerty w Dolinie Szwajcarskiej sprowadzają „niesforne gromady dzieci, które bandami całymi wyprawiają z wrzaskiem i piskiem gonitwy i harce po chodnikach. Jednocześnie wszyscy mieszkańcy suteren z tej i sąsiednich dzielnic zbierają się przed bramami lub w bramach domów. Do 'rautów' tych przyłączają się sługi i ich adoratorowie, przy czym wszyscy ci bezpłatni słuchacze koncertów p. Windersteina, na dowód, że im chodzi o miejsce schadzek, lecz nie o muzykę, starają się przekrzyczeć ją i stłumić grubymi żartami, śmiechami i wszelkim ze zbiegowisk podobnych wynikającym hałasem".

Poszkodowani mieszkańcy ul. Chopina w Warszawie – „najdroższej ulicy w mieście" zamienionej w „najniesforniejszą stację dorożkarską" – muszą zamykać okna i balkony, opuszczać rolety, wycofywać się w głąb mieszkań (co jest dla nich bardzo uciążliwe szczególnie latem). A przecież wystarczyłoby (panowie mają przemyślany i rozpisany w punktach quasi-regulamin), żeby dzieci bawiły się w swoich suterenach, ludzie nie gromadzili się w bramach kamienic, ponadto należy karać dorożkarzy, wprowadzić limit końskiej prędkości do stępa (w Alejach Ujazdowskich, czyli nieco dalej, mogą już sobie urządzać gonitwy do woli), nie pozwalać dorożkom na postój i nakazywać rozwożenie koncertowiczów między godziną 22.00 a 23.00, czyli wtedy, gdy zwykle kończy się koncert.

Czterech facetów pisze w 1900 roku list do „Kuriera Warszawskiego" i prosi o przydzielenie dwóch policjantów – jednego na rogu ul. Mokotowskiej, drugiego przy Alejach Ujazdowskich. „O ciszę wieczorną".

Klasowa uzurpacja

To niesamowite źródło (*Skrzynka na listy: O ciszę wieczorną*, „Kurier Warszawski" 1900, 7 (20) sierpnia, nr 229) – tutaj zreferowane, przyznaję, dość efekciarsko, pod tekstem dodałam więc oryginał ze stosownymi przypisami do samodzielnej lektury – ujawnia kilka bardzo ciekawych problemów badania dźwięków w przeszłości. Na pierwszy rzut ucha zinterpretowałybyśmy, że w rozumieniu autorów listu głównym źródłem hałasu na ul. Chopina w Warszawie są dorożki i dorożkarze – ich „klątwy, wymyślania, głośne nawoływania i rozmowy, śmiechy i żarty, słowem od godz. 6 do 12 w nocy trwający istny sabat czarownic". Dorożki te i powożący nimi dorożkarze, dodajmy, są sobie nierówni, oprócz dostojnych powozów mamy tu „odrapane jednokonki" oraz „szeregi typowych 'drynd' warszawskich". Łatwo wyobrażam sobie chaos pojazdów walczących o przejazd na tej stosunkowo wąskiej ulicy. Autorzy proszą o wzmocnienie nadzoru policyjnego, „aby nie patrzeć na wykwint sielanki, zamienionej w najniesforniejszą stację dorożkarską", w oczy i uszy kole rozwarstwienie klasowe, wołania dorożkarzy i widok odrapanych drynd na eleganckiej, „najdroższej ulicy w mieście".

Nie bez powodu zwracam uwagę na fakt, że aż trzy razy autorzy tekstu podkreślają, jak droga jest ul. Chopina. W tym powtórzeniu słyszę pewne zdziwienie pomieszane z oburzeniem. Status materialny, pieniądze, możliwość opłacenia wysokiego czynszu – czyli narzędzie klas wyższych służące fizycznemu odgradzaniu się od klas niższych – przestały bowiem działać na ul. Chopina. (Warszawa przełomu XIX i XX wieku jest szczególnie ciekawym polem bliskich spotkań klasowych, bo struktura tkanki miejskiej jest patchworkowa: bogaci i biedni mogą zamieszkiwać właściwie ten sam dom, tyle że na różnych piętrach, albo wystawniejsze mieszkania znajdują się od frontu a biedniejsze w oficynach, od podwórza, w sutenerach.) Na co dzień zaciszna, pozbawiona dużego ruchu i elegancka ulica zamienia się w „piekło niemożliwe do zamieszkiwania", gdy



spragnieni muzyki warszawianie i warszawianki (nie mający przecież wówczas własnej filharmonii; dopiero w 1901 roku, po latach starań i wyłącznie ze składek społecznych, zbudowano w mieście gmach Filharmonii, wówczas, Warszawskiej przy ulicy Jasnej) pielgrzymują do Doliny Szwajcarskiej na koncert.

Ale czy rzeczywiście to właśnie dorożkarze „hałasują"? I czy faktycznie chodzi tu o dźwięk traktowany jako fizyczne zjawisko i wrażenie odbierane uszami, zmianę ciśnienia w ośrodku wywołaną ruchem strun głosowych dorożkarza wołającego swoje 'kurwy' i 'wiśta wio', która to zmiana ciśnienia dzięki sprężystości powietrza dociera do małżowiny ukrytego w mieszkaniu bankiera czy właściciela fabryki w postaci fali mechanicznej podłużnej etc. i wywołuje weń reakcję emocjonalną na tyle silną, że skłania do napisania listu do najważniejszej gazety w mieście? Pogłębiona lektura źródła wskazuje, że nie tylko. Dźwięki koncertu w plenerze (Dźwięki „muzyczne" traktujemy w takim badaniu tak samo, jak wszystkie pozostałe dźwięki; jeśli w źródłach XIX-wiecznych pojawia się dużo wątków muzycznych, świadczy to po prostu, jak mi się wydaje, o dużej obecności muzyki w codziennym, społecznym życiu miasta.) nie zatrzymują się na bramie i płocie, roznoszą się po okolicy i docierają do uszu innych. Do uszu biedoty, bawiących się dzieci oraz służących, które zdaniem autorów tekstu na pewno nie słuchają muzyki, a tylko szukają pretekstu do schadzek z chłopakami. Mieszkańcom ul. Chopina nie mieści się w horyzoncie ich dźwiękowej wyobraźni, by biedota mogła chcieć słuchać muzyki – jej obecność słyszą zatem jako klasową uzurpację albo wymówkę nieporządku, mitrężenie czasu wystawaniem w bramach czy lekceważenie zadań służby. Uliczne zabawy dzieci są dla nich „krzykami i swawolą", a ludzie gromadzący się w bramach – węzłowym przecież punkcie sąsiedzkim kamienicy – to hałaśliwe „zbiegowisko". List-petycja *O ciszę wieczorną* pokazuje odmienne punkty słyszenia i odmienne potrzeby dźwiękowe, które spotykają się w mieście i wchodzą ze sobą w społeczny, klasowy, symboliczny czy genderowy konflikt.

Ćwiczenie z myślenia i empatii

Te dźwiękowe spotkania stały się motywem przewodnim książki *Dźwięki, ludzie i nasłuchiwanie miasta*. Zaglądając do prasy codziennej i tygodniowej, pamiętników i wspomnień, ogłoszeń drobnych, rebusów i kalamburów usłyszymy liczne przykłady tych spotkań, a sposób opisu, narracja i pojęcia używane przez aktorów i aktorki życia codziennego stają się dla nas materiałem do odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób dźwięki były wykorzystywane, by kształtować, definiować, przetwarzać i podważać społeczne i kulturowe ramy codziennego życia w mieście. W odczytywaniu źródeł, które mają nam powiedzieć o czymś tak ulotnym, jak dźwięk sprzed stu kilkudziesięciu lat, najczęściej zadaję pytanie: o co tutaj tak naprawdę chodzi?, żeby przejść przez wielokrotne zapośredniczenia i często nieczytelne dla nas dzisiaj konteksty. Wybrałam dla siebie Warszawę przełomu XIX i XX wieku i kilka studiów przypadków, które pokazują, jak można badać dźwięk w historii; bohaterami tej książki są: warszawski kataryniarz, dziewczyna grająca na fortepianie w domu, „kocia muzyka", wędrujący, uliczni sprzedawcy i usługodawcy oraz cisza, a właściwie jej poszukiwanie w mieście.

Pierwszy rozdział, filozoficzno-teoretyczny, jest propozycją metody badania dźwięków w przeszłości z wykorzystaniem pojęcia akustemologii i ontologicznego rozumienia dźwięku jako zdarzenia (a nie jako obiektu). Jako historyczkę interesuje mnie skok na główkę w niekończące się morze wycinków prasowych i fragmentów pamiętników, jako filozofkę interesują mnie poznawcze możliwości wynikające z przyłożenia ucha do przeszłości. Ostatni człon tytułu książki – nasłuchiwanie – odnosi się bowiem do nas, do naszej współczesnej wrażliwości, przez którą przepuszczamy zebrany i ułożony według jakiejś logiki materiał źródłowy. Kto mieszka przy ruchliwej ulicy albo mierzy się z problemem miejskich patowyścigów stuningowanymi samochodami, na pewno ma dużo więcej empatii do mieszkańców ul. Chopina roku 1900, których apel w jakiejś mierze odnosi się po prostu do wyregulowania ruchu kołowego w ich okolicy.

Ta bliska lektura tekstów źródłowych z otwartymi uszami, dokonywana z pomocą rozmaitych narzędzi filozoficznych, daje nam bardzo ciekawy obraz rzeczywistości historycznej. Jest też znakomitym ćwiczeniem z myślenia i empatii, bo o dźwięku przecież każdy i każda z nas ma coś do powiedzenia. Dlatego zachęcam do własnej lektury i do własnej interpretacji źródła, który w tym tekście wzięliśmy sobie na warsztat.

Dr Marta Michalska, historyczka, badaczka dźwięków, laureatka Nagrody FNP Monografie FNP

SKRZYNKA NA LISTY[1]

O ciszę wieczorną

Szanowny Panie Redaktorze!

Za pośrednictwem *Kurjera*, jako najpoczytniejszego z pism naszych[2], pragniemy zwrócić uwagę na nieprzyjemności, jakich doznają mieszkańcy ul. Chopina skutkiem panujących tu w porze wieczornej nieporządków.

Ulica ta, jedna z najpiękniejszych w mieście, zamieszkana bądź to przez właścicieli kosztownie urządzonych willi prywatnych, bądź przez ludzi, którzy za to głównie płacą drogie komorne, aby po pracy całodziennej znaleźć tu spokój i ciszę, wymaga, szczególniej wieczorem, nieodzownego wzmocnienia dozoru, w porze tej bowiem zamienia się ona w istne piekło hałasów, klątw, kłótni i turkotu, w piekło niemożliwe do zamieszkiwania.

Koncerty w Dolinie[3] ściągają tu już naprzód niesforne gromady dzieci, które bandami całemi wyprawiają z wrzaskiem i piskiem gonitwy i harce po chodnikach. Jednocześnie wszyscy mieszkańcy suteren z tej i sąsiednich dzielnic zbierają się przed bramami lub w bramach domów. Do „rautów"

1 Skrzynka na listy: O ciszę wieczorną, „Kurier Warszawski" 1900, 7 (20) sierpnia, nr 229, s. 4.

2 Wydawany w latach 1821-1939 „Kurier Warszawski" był w moim badaniu chyba najczęściej cytowanym źródłem. Docierał do szerokiego grona odbiorców i odbiorczyń, dotyczył praktycznie wszystkich dziedzin życia, dzięki ogłoszeniom i reklamom był istotny dla kupców czy przedsiębiorców, dzięki sprawozdaniom z wydarzeń religijnych i dobroczynnych miał poparcie relewantnych instytucji. Był szeroko czytany poza Warszawą. W 1875 roku nakład gazety wynosił aż 25 000 egzemplarzy, w międzywojniu – nawet w obliczu pojawienia się licznych nowych tytułów prasowych – utrzymywał bardzo wysoki nakład, sięgający 50 000 egzemplarzy.

3 Dolina Szwajcarska była jednym z licznych miejsc, w których w Warszawie można było posłuchać muzyki, od sal Teatru Wielkiego po knajpy i ogródki restauracyjne. Zofia Kozak-Wawrzyńska pisze, że wobec niemożności pełnej realizacji muzyki symfonicznej ciągłe zapotrzebowanie na tego typu muzykę opierało się na powszechności i wysokiej popularności, jak to określa, muzyki rozrywkowej. Chodzi tutaj o „lżejsze" formy muzyczne, formy taneczne, operetki, transkrypcje popularnych utworów. Taką muzykę grały często sezonowe orkiestry zagraniczne, które cieszyły się czasem nawet większą popularnością niż zespoły rodzime. Stałym miejscem obcowania z ową muzyką rozrywkową w płynnej rzeczywistości muzycznej Warszawy była w sezonie letnim właśnie Dolina Szwajcarska. Jej oddalenie od śródmieścia zwiększało koszty uczestnictwa w kulturze muzycznej ze względu na konieczność wynajęcia dorożki lub skorzystania z tramwaju, mimo to można uznać to miejsce za popularne i chętnie odwiedzane przez mieszkańców i mieszkanki miasta. Zob. Z. Kozak-Wawrzyńska, Kultura muzyczna Warszawy jako tło działalności Instytutu Muzycznego 1879–1901, Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie, Warszawa 1969.

tych przyłączają się sługi i ich adoratorowie, przyczem wszyscy ci bezpłatni słuchacze koncertów p. Windersteina[4], na dowód, że im chodzi o miejsce schadzek, lecz nie o muzykę, starają się przekrzyczeć ją i stłumić grubemi żartami, śmiechami i wszelkim, ze zbiegowisk podobnych wynikającym hałasem.

Nie tu jednak koniec utrapień dla tych, którzy kosztem nieraz sum znacznych pragnęli zyskać trochę spokoju i ciszy. Z chwilą rozpoczęcia koncertu na ul. Chopina zaczynają zjeżdżać się wszystkie „gumy"[5] oraz znaczna część odrapanych jednokonek m. Warszawy. Do poprzednio więc wymienionych hałasów dołączają się dwa lub trzy zwarte szeregi typowych „drynd"[6] warszawskich. Klątwy, wymyślania, głośne nawoływania i rozmowy, śmiechy i żarty, słowem od godz. 6 do 12 w nocy trwający istny sabat czarownic, oto warunki, w jakich mieszkańcy najpiękniejszej i najdroższej w mieście ulicy muszą spędzać wieczory.

Aby tego uniknąć, aby nie patrzeć na wykwint sielanki, zamienionej w najniesforniejszą stację dorożkarską, trzeba latem, w upały, zamykać okna i balkony, a zapuściwszy rolety, cofać się w głąb mieszkania.

I za co ta kara zbiorowa na niewinnych?

Wszak dzieci, zamiast wyprawiać bandami harce po ulicy, mogą się bawić w podwórzach domów, które zamieszkują. Wszak publiczność koncertowa potrzebuje dopiero dorożek, wychodząc z zabawy, a więc między godz. 10 a 11 wieczorem. Wobec tego byłoby gorąco pożądane, aby wzmocniony został na ulicy tej dozór w godzinach wieczornych. Jeden policjant bowiem na rogu ul. Mokotowskiej a drugi przy Alejach potrafiliby:

1) ukrócić swawolę i krzyki dzieci;

2) nie pozwolić na hałaśliwe zbiegowiska przed bramami;

3) ukarać nieprzyzwoite zakłócanie spokoju przez dorożkarzy;

4) nakazać, aby powozy przejeżdżały stępa a rozwijały „kawalerskie" gonitwy w dopiero Alejach;

5) nie dopuścić do tłumnego zjazdu dorożek na kilka godzin przed ukończeniem koncertu.

W nadziei, że Szan. Redaktor raczy łaskawie pomieścić parę tych uwag, pozostajemy z wysokim szacunkiem.

W. Sawicki.[7] *— Jan Szymanowski.*[8] *— E. Szturm de Sztrem.*[9] *— Adolf Hopfenblum*[10].

4 Chodzi o Hansa Windersteina (1856-1925) i jego orkiestrę z Lipska. Jak podaje Andrzej Pytlak, w latach 1899 (od 30 kwietnia do 20 września), 1900 (od 4 maja do 19 września), 1901 (od 6 maja do 15 września) i 1904 (od 5 maja do 8 września) Winderstein-Orchestra grała jako orkiestra sezonowa w Dolinie Szwajcarskiej; w 1901 roku występowała w Warszawie, próbnie wykonując Symfonię e-moll „Odrodzenie" Mieczysława Karłowicza. W pierwszym sezonie zespół „szybko zdobył uznanie polskich melomanów i krytyków. Publiczność warszawska, pozbawiona wtedy jeszcze dużej orkiestry i własnej filharmonii, była zachwycona liczebnością i profesjonalizmem zespołu z Lipska", co badacz uzupełnia wyimkami z recenzji z warszawskich gazet. Jak podaje dalej, „sezon letni 1899 r. okazał się bardzo udany i zespół Windersteina został zaproszony do Warszawy na dwa kolejne lata. […] Dużym atutem warszawskich koncertów Windersteina był ich bogaty i różnorodny repertuar. Niemiecki dyrygent prezentował nie tylko popularne utwory mistrzów epok minionych, lecz także nieznane jeszcze nad Wisłą trudne dzieła muzyków współczesnych (np. poemat symfoniczny Tako rzecze Zaratustra Richarda Straussa). Chętnie wykonywał także utwory kompozytorów słowiańskich – Polaków, Czechów i Rosjan. Nie ulega wątpliwości, że jego działalność w Dolinie Szwajcarskiej odegrała istotną rolę w rozwoju polskiej kultury muzycznej w okresie poprzedzającym utworzenie Filharmonii Warszawskiej. Po uruchomieniu tej instytucji entuzjazm polskiej publiczności dla orkiestry Windersteina znacznie osłabł. Warszawscy filharmonicy zastąpili ją też w Dolinie Szwajcarskiej w sezonach 1902 i 1903. Zespół z Lipska wrócił do Warszawy dopiero wiosną 1904 r. […] Jednak tym razem nie odniósł on spodziewanego sukcesu. Publiczność stolicy Królestwa Polskiego oceniała jego występy z dużo większym niż poprzednio krytycyzmem – za punkt odniesienia przyjmując nie tylko orkiestrę Filharmonii Warszawskiej, lecz także renomowane zespoły z zagranicy" (A. Pytlak, Mieczysław Karłowicz i orkiestra Hansa Windersteina. Hipoteza dotycząca próbnego wykonania „Rapsodii Litewskiej" w Lipsku w 1907 roku, „Muzyka" 2020, t. 65 (1)).

5 Potoczne określenie dorożek o kołach z obręczami gumowymi – rozwiązanie, które znacznie wyciszało turkot powozu, ale było kosztowne, a więc zarezerwowane dla najszykowniejszych powozów. Było też rozwiązaniem stosunkowo nowym, Józef Galewski w swoich wspomnieniach twierdzi, że dorożki na gumach zaczęły wchodzić w użycie właściwie dopiero po 1900 roku. Zob. J. Galewski, Warszawa zapamiętana: ostatnie lata XIX stulecia, oprac. Ludwik B. Grzeniewski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961.

6 Drynda to po prostu powóz; co ciekawe, słownik Doroszewskiego podaje też czasownik „dryndać", czyli chwiać się, dyndać", zob. https://sjp.pwn.pl/doroszewski/dryndac;5423239 [dostęp 18.12.2025].

7 Być może chodzi o Wojciecha Sawickiego (1841–1918), mieszkającego przy ulicy Chopina 13, dyrektora Banku Handlowego w Warszawie, który, co ciekawe, miał też w mieszkaniu podłączony telefon (nr 24-70), na co wskazują Adresy Warszawy na rok 1908, zob. Adresy Warszawy na rok 1908, oprac. A. Żwan, Gebethner i Wolff, Kraków–Warszawa 1909. Taryfa z 1905 roku podaje z kolei, że był on właścicielem zamieszkiwanego domu pod nr 13, zob. Taryfa nieruchomości miasta Warszawy, nakładem Policeńskiej Typografii, Warszawa 1905.

8 Z książki adresowej wiemy, że w 1908 roku, czyli 8 lat po publikacji tekstu, niejaki Jan Szymanowski mieszkał przy sąsiedniej ulicy Mokotowskiej 26. Jest to jedyny ślad związany z osobą o takim nazwisku, na jaki natrafiłam – może to właśnie jeden z autorów tekstu, który z czasem zmienił mieszkanie? Zob. Adresy Warszawy na rok 1908.

9 Nie mylić z Edwardem Szturm de Sztremem – ten statystyk i demograf urodził się w 1885 roku i w 1900 roku miał 15 lat, swoją karierę zawodową rozwijał dopiero w międzywojniu.

10 Zamieszkiwał adres Chopina 14, w mieszkaniu podłączony był zaś telefon (nr 1705), zob. Telefony warszawskie. Wykaz abonentów, połączonych ze stacją centralną w ciągu zeszłego miesiąca, „Gazeta Handlowa", 23 listopada (5 grudnia) 1899, r. 36, nr 278. Takie nazwisko znajdziemy też w Wykazie składek dobrowolnych na utrzymanie Warsztatów Rzemieślniczych przy ul. Przebieg w roku 1899 (składka opłacona przez Adolfa Hopfenbluma wynosiła 10 rubli i w zestawieniu była raczej mniejsza od większości), zob. „Izraelita" 8 (21) grudnia 1900, r. 35, nr 49.

Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało

Profesor Antoni Włodzimierz Wysokowicz (1854–1912)

Wybitny bakteriolog i człowiek z wielkim sercem

Jeden z pionierów współczesnej bakteriologii, autor szeregu odkryć naukowych skierowanych na zwalczanie chorób epidemicznych oraz nowych metod pokonania chorób zakaźnych, założyciel i kierownik trzeciego w Europie Instytutu Pasteura w Charkowie .

Antoni Włodzimierz Wysokowicz urodził się 2 marca 1854 r. w miasteczku Hajsyn w guberni podolskiej. Jego rodzice należeli do polskiej szlachty. Ojciec Konstanty Wysokowicz, absolwent studiów weterynaryjnych Wileńskiej Akademii Medyczno-Chirurgicznej, pracował jako lekarz weterynarii przy urzędzie wojskowym, dlatego rodzina przemieszczała się do różnych miejsc jego służby. W wieku dwóch lat chłopiec z rodzicami przeniósł się do Woronieża, gdzie ukończył prywatną szkołą początkową.

Okres charkowski

W 1864 r. Wysokowiczowie osiedli w Charkowie. Dla ich syna rozpoczął się okres, który trwał do połowy 1895 roku. Tutaj Antoni Włodzimierz spędził dzieciństwo, otrzymał wykształcenie, zdobył znaczące osiągnięcia w pracy zawodowej i działalności naukowej. W 1871 r., po ukończeniu ze złotym medalem prestiżowego gimnazjum nr 1, młodzieniec rozpoczął studia na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Charkowskiego. Na kartach *Spisu studentów i słuchaczy zewnętrznych Cesarskiego Uniwersytetu w Charkowie na rok akademicki 1871/1872* był wpisany jako „Anton Wysokowicz". Zgodnie z pisownią nazwisk w Imperium Rosyjskim podawano „Władimir Konstantinowicz Wysokowicz". Natomiast w *Formularzu służbowym* (1895) był wpisany jako „Anton Władimir Wysokowicz". W niniejszym opracowaniu używamy jego polskiego odpowiednika – Antoni Włodzimierz Wysokowicz.



Antoni Włodzimierz Wysokowicz .Źródło: Zbiory Narodowego Muzeum Medycyny Ukrainy w Kijowie

Już podczas studiów Antoni Włodzimierz Wysokowicz wykazał zdolności do nauki. Z wielkim zapałem studiował anatomię patologiczną pod kierunkiem profesora Władimira Kryłowa, założyciela charkowskiej naukowej szkoły anatomii patologicznej. W tym okresie opublikował pierwsze artykuły: *Sarcoma myelogenicum* (1875) i *Węzły psorospermii jako przyczyna niektórych*

nowotworów (1876). W 1876 r. otrzymał dyplom z wyróżnieniem cum eximia laude.

W okresie wojny rosyjsko-tureckiej 1877–1878 przebywał na Kaukazie w charakterze lekarza wojskowego. Pracował w szpitalach w Achalcińsku, Abas-Tumańsku, w Tyflisie. Obok działalności lekarskiej prowadził badania naukowe, których wyniki przedstawił na posiedzeniu Imperatorskiego Kaukaskiego Stowarzyszenia Medycznego. Po zakończeniu konfliktu militarnego powrócił do Charkowa.

Na początku 1879 r. na Uniwersytecie Charkowskim został zatrudniony na stanowisku nadetatowego asystenta prosektora (prosektor – pracownik przy katedrze anatomii lub anatomii patologicznej, do którego obowiązków należy dokonywanie sekcji zwłok i sporządzanie preparatów narządów) przy Katedrze Anatomii Patologicznej. W latach 1880–1884 pracował jako prosektor przy szpitalu wojskowym w Charkowie. W tym okresie na polecenie profesora Kryłowa Wydział Medyczny Uniwersytetu zgłosił go jako stypendystę do przygotowania do tytułu profesorskiego. Powierzono mu w trakcie półrocza prowadzenie kursu anatomii patologicznej oraz sekcji zwłok. W maju 1882 r. Wysokowicz obronił rozprawę doktorską pt. *Zmiany w naczyniach krwionośnych w syfilisie* i 30 czerwca otrzymał dyplom doktora medycyny, który otworzył drogę do pracy naukowej na Uniwersytecie Charkowskim.


ПОДЪ ВЫСОЧАЙШИМЪ ПОКРОВИТЕЛЬСТВОМЪ
ВСЕПРЕСВѢТЛѢЙШАГО, ДЕРЖАВНѢЙШАГО, ВЕЛИКАГО ГОСУДАРЯ
АЛЕКСАНДРА АЛЕКСАНДРОВИЧА,
ИМПЕРАТОРА И САМОДЕРЖЦА ВСЕРОССІЙСКАГО,

Dyplom doktora nauk medycznych Antoniego Włodzimierza Wysokowicza po obronie pracy magisterskiej nr 795 na Uniwersytecie Charkowskim w dniu 30 czerwca 1882 r .Źródło: Zbiory Państwowego Archiwum Miasta Kijowa, zespół 16 Kijowski Uniwersytet św .Wołodymyra, inw .334, sygn .91, k .3b .

W Charkowie założył rodzinę. Ożenił się z wdową po lekarzu Olgą Kowalewską, z którą wychowywali jej syna Leonida (1876) i wspólne dzieci: córkę Ninę (1880), synów Jewgienija (1887) i Nikołaja (1889). Mieszkali w jednym z budynków Charkowskiego Towarzystwa Medycznego przy ulicy Niemieckiej 14 (obecnie ulica Hryhorija Skoworody).

W 1884 r. Wysokowicz dostał od Ministerstwa Edukacji Publicznej zezwolenie na dwuletni wyjazd za granicę w celu prowadzenia badań w medycznych ośrodkach naukowych ówczesnej Europy. Pracując w Getyndze w laboratorium profesora Carla Flüggego, zajmował się bakteriologią oraz anatomią patologiczną przy profesorze Johannesie Orth. W Lipsku prowadził badania w zakresie fizjologii, a w Paryżu i Berlinie zajmował się poznaniem zasad prowadzenia kursów patologii ogólnej oraz anatomii patologicznej. Profesor Flügge, który prowadził pionierskie badania w zakresie immunologii, zaproponował młodemu uczonemu stanowisko asystenta w laboratorium, jednak Antoni Wysokowicz marzył o własnej katedrze w Charkowie.

Niestety w charkowskim okresie życia nie zostało ono zrealizowane. Na przeszkodzie stała nowa ustawa uniwersytecka, która pozwalała ministrowi edukacji publicznej samodzielnie mianować pracowników akademickich na stanowiska uczelniane. Mimo tego, że Wysokowicz prowadził pionierskie badania w dziedzinie bakteriologii, jak również wprowadził do nauczania anatomii patologicznej kurs bakteriologii, nie został awansowany na wymarzone stanowisko.

Działalność naukowa i organizacyjna

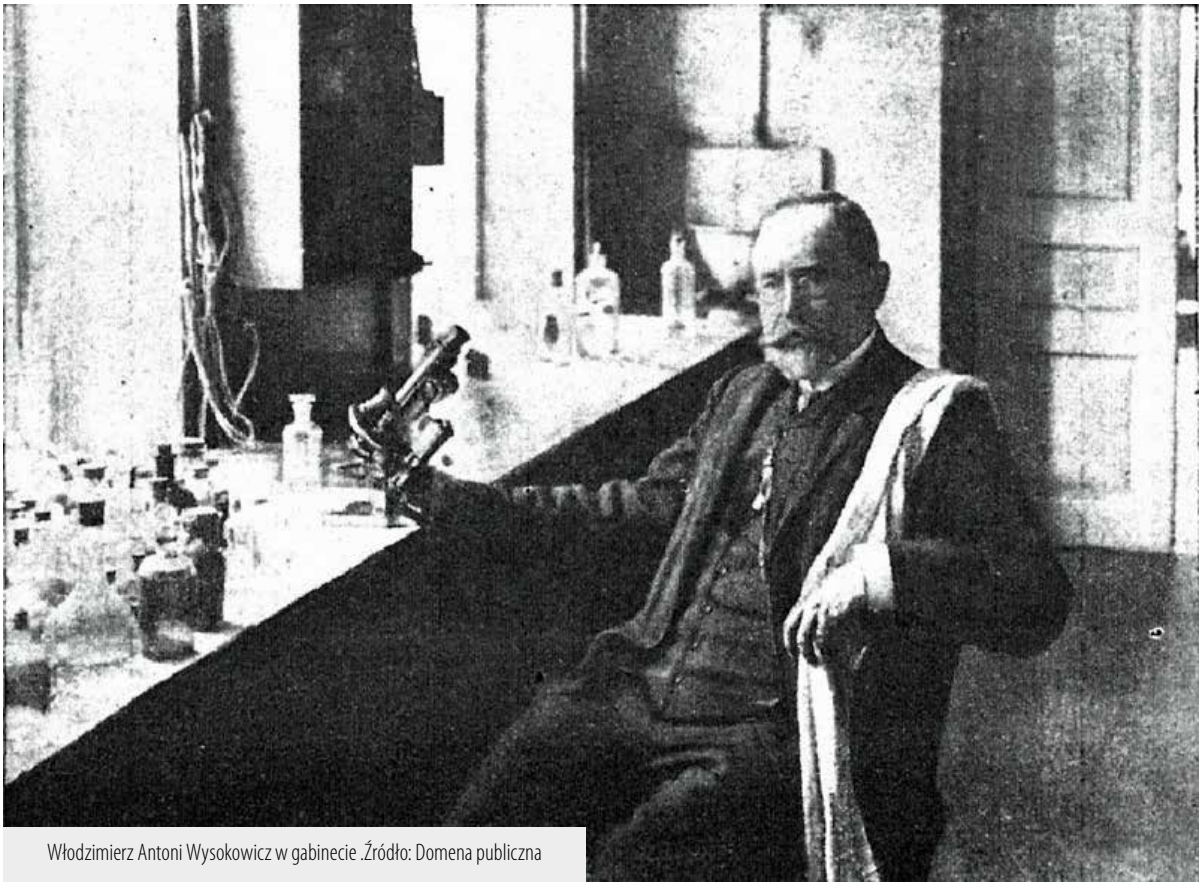
Po powrocie do Charkowa w 1886 r. Antoni Włodzimierz Wysokowicz zaangażował się w rozmaite działania dydaktyczne, naukowe i społeczne. Pracując na stanowisku profesora nadzwyczajnego, prowadził na uniwersytecie kursy patologii ogólnej, bakteriologii, a w niektórych latach także kursy anatomii patologicznej, technik sekcyjnych i epizootiologii. Na kursach zawsze korzystał się z preparatów demonstracyjnych; prowadził eksperymenty. „Na wykładach uwielbiał podejmować pewne pytania i wszechstronnie je krytycznie naświetlać, wprowadzać studentów w laboratorium myśli naukowej" – wspominał Władimir Fawr, jego kolega z Uniwersytetu Charkowskiego.

Ogromną zasługą Wysokowicza dla uniwersytetu było to, że wprowadził bakteriologię do kursów medycznych, korzystając przy tym z najnowszych danych nauki europejskiej.

Z wielkim zapałem zaangażował się w założenie Stacji Bakteriologicznej i Instytutu Szczepień Pasteura, których inicjatorem było Charkowskie Towarzystwo Medyczne. Instytucje te zostały otwarte 20 kwietnia 1887 r. W końcu tego roku Wysokowicz został zaproszony na stanowisko dyrektora Stacji Bakteriologicznej, któremu w dużym stopniu zawdzięcza ona swój rozwój.

Wysokowicz dołożył wielu starań w celu poszukiwania sposobu leczenia błonicy, choroby, która na masową skalę dotykała mieszkańców Charkowa i guberni charkowskiej. W tej sprawie utrzymywał ścisły kontakt z europejskimi uczonymi, zajmującymi się poszukiwaniem sposobów leczenia tej choroby. W grudniu 1894 r. po raz pierwszy w Charkowie zastosował leczenie surowicą przeciw błonicy według metody profesora Rouxa. Był w kontakcie z jednym z asystentów profesora Pierre'a Paula Emile'a Rouxa z Instytutu Pasteura w Paryżu, który przekazał mu 20 ml serum przeciwbłoniczego. Wysokowicz zajmował się również szkoleniem lekarzy na temat poprawnego stosowania tej surowicy. Na przykład w sierpniu 1895 r. przebywał w powiecie charkowskim, gdzie szkolił lekarzy ziemskich, jak poprawnie korzystać się z serum przeciwbłoniczego.

Ważnym aspektem jego działalności było prowadzenie wykładów publicznych, na których omawiał metody leczenia chorób zakaźnych, a szczególnie błonicy. Dochody otrzymane z takich „ciekawych wykładów" były przekazywane na rzecz rozwoju wiejskich bibliotek. Był też zaangażowany w różne



Włodzimierz Antoni Wysokowicz w gabinecie .Źródło: Domena publiczna

szkolenia zorganizowane przez Charkowskie Towarzystwo Medyczne. W październiku 1894 r., w ramach szkoleń „Kursy pomocy choremu", prowadził wykłady pt. *Przyczyny chorób zakaźnych w ogóle i szczegóły chorób zakaźnych*. Niejednokrotnie prowadził szkolenia z bakteriologii. Ogromna zasługa Antoniego Wysokowycza dla Charkowa polega na tym, że jako pierwszy zaprezentował charkowianom bakteriologię jako naukę, przedstawiał lekarzom na szkoleniach wyniki najnowszych badań europejskich w tej dziedzinie nauki, kształcił kadrę młodych bakteriologów.

W 1892 r. Wysokowicz zaangażował się także w proces ratowania Charkowa przed zbliżającą się epidemią cholery. Z tej też racji spod jego pióra wyszła publikacja pt. *W oczekiwaniu na cholerę,* a po ustąpieniu epidemii wydał opracowania *O bakteriologicznych badaniach w czasie cholery w Charkowie 1892 roku*, *O przyczynach słabego rozwoju epidemii cholery w Charkowie 1892 roku*. Jesienią 1894 r. wraz z kolegami profesorami Władimirem Kryłowem oraz Stiepanem Kosturinym prowadził bakteryjną ekspertyzę wody w charkowskim wodociągu.

29 lipca 1895 r. charkowska gazeta „Jużnyj Kraj" umieściła jak zwykłe oficjalne telegramy, a w jednym z nich poinformowano czytelników: „Petersburg. 28 lipca, piątek. Prosektor charkowskiego Uniwersytetu Cesarskiego Wysokowicz mianowany na stanowisko profesora zwyczajnego Uniwersytetu Kijowskiego św. Włodzimierza zamiast zwolnionego przez chorobę profesora Mincha". Wladimir Fawr, współczesny autor życiorysu uczonego, podsumował: „Charków stracił wybitnego naukowca, świetnego dydaktyka, człowieka o wielkiej inicjatywie, który był w stanie doprowadzić wszystkie pomysły do końca".

W Kijowie

Antoni Włodzimierz Wysokowicz został zatrudniony na Katedrze Anatomii Patologicznej Wydziału Medycznego Uniwersytetu Kijowskiego św. Włodzimierza. Rok później został jej kierownikiem, co pozwoliło spełnić jego marzenie. W latach 1906–1907 organizował kursy szkoleniowe dla chirurgów z anatomii patologicznej, a też został kierownikiem Instytutu Bakteriologicznego. W 1907 r., będąc wielkim zwolennikiem edukacji kobiet, założył i kierował Zakładem Anatomii Patologicznej Wydziału Medycznego na Wyższych Kursach dla Kobiet w Kijowie.

Jednym z wątków pracy zawodowej Wysokowicza były inicjowane przez rząd wyjazdy do różnych miejscowości Imperium Rosyjskiego oraz za granicę, gdzie wybuchały epidemie. W styczniu–lutym 1897 r. w Indjach kierował rządową komisją, która się zajmowała badaniami nad dżumą szalejącą w Bombaju. O wynikach trzymiesięcznego pobytu wygłosił referat na XII Międzynarodowym Kongresie Medycznym w Moskwie. W 1899 r. zajmował się badaniami nad dżumą w guberni astrachańskiej, a następnie w Kijowie walczył z cholerą. W 1901 r. w celu badania dżumy wyjeżdżał do Batumi, w lipcu–sierpniu 1902 r. do Odessy, stamtąd do Noworossyjska, a dalej do astrachańskiej, saratowskiej i samarskiej guberni. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej delegowano go jako najwybitniejszego epidemiologa na teatr wojny, zgodnie z rozporządzeniem głównodowodzącego armią mandżurską.

Osiągnięcia naukowe

Antoni Włodzimierz Wysokowicz był uważany za jednego z najwybitniejszych epidemiologów swojej epoki. Opublikował ponad 160 prac naukowych, z których wiele poświęcono nowym kartom nauki w dziedzinie pokonania chorób zakaźnych (dżuma, cholera, dur brzuszny itp.), których zwalczeniem zajmował się przez całe życie, a też zagadnieniom bakteriologii, epidemiologii, problematyce tkanki łącznej, gruźlicy, nowotworom złośliwym. Jego dorobek naukowy dał początek nowej nauce w medycynie światowej nazwanej patofizjologią. Był jed-

nym z promotorów filozofii badawczego podejścia w medycynie, łączącego wiedzę z zakresu fizjologii i morfologii z uwzględnieniem funkcji układów i organów w chorobie i w zdrowiu.

Wraz z noblistą Ilją Miecznikowem opracował teorię dotyczącą układu siateczkowo-śródbłonkowego, w szczególności dotyczącą zdolności fagocytarnej komórek śródbłonka podczas infekcji bakteryjnych. Zajmował się problematyką infekcji meningokokowych i gruźlicy. Po raz pierwszy ustalił właściwości aglutynacyjne surowicy krwi u pacjentów wracających do zdrowia po zarazie; stosował masowe szczepienia przeciwko durowi brzusznemu; brał udział w pierwszych w Rosji szczepieniach przeciwko wąglikowi i wściekliźnie. Udowodnił bakteryjną etiologię zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych (niezależnie od austriackiego bakteriologa Antona Wekselbauma, 1894), gruźliczy charakter skrofulozy (1890).

Za najważniejsze fakty naukowe ustalone przez profesora Wysokowicza w medycynie i biologii uznawane są: pochodzenie fibroblastów i błędnych komórek tkanki łącznej z histiocytów; zdolność fagocytarna komórek śródbłonka naczyń krwionośnych i komórek błędnych tkanki łącznej w przypadku infekcji bakteryjnych; długotrwałe przechowywanie żywotności zarodników bakterii w fagocytach; metody uzyskiwania eksperymentalnego zapalenia wsierdzia; wzrost liczby leukocytów we krwi pod wpływem toksyn bakteryjnych; cytotoksyczne działanie toksyn bakteryjnych; wpływ wspólnego działania różnych mikroorganizmów chorobotwórczych na ciężkość choroby; znaczenie odporności antytoksycznej; odporność jako reakcja całego organizmu i jej układu nerwowego; przydatność martwych bakterii do szczepienia przeciwko wąglikowi; niedrożność płuc dla bakterii; przydatność martwych bakterii do szczepienia przeciwko dżumie.

Zakres jego działalności na polu medycyny publicznej był niezwykle szeroki, był członkiem szeregu towarzystw naukowych. W okresie charkowskim był członkiem Towarzystwa Naukowego Medycyny i Higieny w Charkowie, Charkowskiego Oddziału Sankt Petersburskiego Lekarskiego Towarzystwa Pomocy Wzajemnej. Dużo siły oddał pracy w Charkowskim Towarzystwie Medycznym i za swoje starania 14 października 1895 r. został utytułowany jako członek honorowy.

W następnym okresie życia był wiceprezesem i członkiem honorowym Kijowskiego Stowarzyszenia Lekarzy, szefem Kijowskiego Towarzystwa Fizjoterapeutycznego, jednym z aktywnych członków Towarzystwa Zwalczania Chorób Zakaźnych, członkiem-założycielem Towarzystwa Walki z Gruźlicą, Kijowskiego Towarzystwa Syfilidologicznego i Dermatologicznego, szefem Towarzystwa Zwalczania Nowotworów, założycielem i prezesem Towarzystwa Rozpowszechniania Średniego Szkolnictwa Handlowego z Kształceniem Koordynacyjnym w Kijowie. Z końcem 1901 r. został wybrany na członka zarządu Pogotowia Ratunkowego założonego w Kijowie przez jego rodaka Kazimierza Modzelewskiego. We wszystkich tych instytucjach działał bezinteresownie, z pełnym poświęceniem, bez uszczerbku dla wykonywania głównych obowiązków profesora uniwersytetu.

W 1907 r. zorganizowano w Kijowie obchody 30-lecia działalności naukowo-dydaktycznej profesora Wysokowycza, na których było wielu przedstawicieli różnych organizacji i instytucji naukowych. Jego uczniowie zaprezentowali mu obszerny zbiór swoich prac. Za swoją działalność został odznaczony orderami św. Stanisława II i III stopnia, św. Anny III stopnia (1893), św. Włodzimierza IV stopnia, ciemnobrązowym medalem pamięci wojny 1877–1878 roku, miał również tytuł radcy kolegialnego (1891).

O tym, jakim profesor Wysokowicz był człowiekiem, w jaki sposób komunikował się z ludźmi, można dowiedzieć się ze słów jego ucznia, doktora medycyny Lwa Papkowa: „Władimir Konstantinowicz wyróżniał się niezwykłą życzliwością: każdy, kto go potrzebował, zawsze mógł się do niego zwrócić;



Budynek przy ul .Iwana Franki w Kijowie, w którym mieszkał wraz z rodziną profesor Wysokowicz .Źródło: Zbiory Narodowego Muzeum Medycyny Ukrainy w Kijowie

nigdy nie sprawiał wrażenia, że jest od kogoś ważniejszy, wszystkich traktował jak równych sobie i zachowywał się zaskakująco prosto. Z uwagą słuchał tego, kto się do niego zwracał i był całkowicie przesiąknięty sprawą, którą miał do rozwiązania. W stosunkach z ludźmi była zawsze pewna odrobina humoru, zwłaszcza gdy był w dobrym nastroju. I ten humor był humorem człowieka, który doskonale zna życie i dobrodusznie śmiał się z tych ludzkich słabości, które z wysokości jego filozoficznego światopoglądu mogły wydawać się drobnymi i przelotnymi zjawiskami".

Był także filantropem. W Kijowie założył specjalny fundusz pomocy biednym studentom – Towarzystwo Kliniczne Studentów Medyków Wydziału Medycznego Uniwersytetu, do którego środki przekazywał ze sprzedaży swoich książek i broszur. Jednym z takich źródeł dochodu był jego kurs wykładów *Anatomia patologiczna*, wydawany kilkakrotnie i do lat 20. XX w. służył jako podręcznik dla lekarzy i studentów.

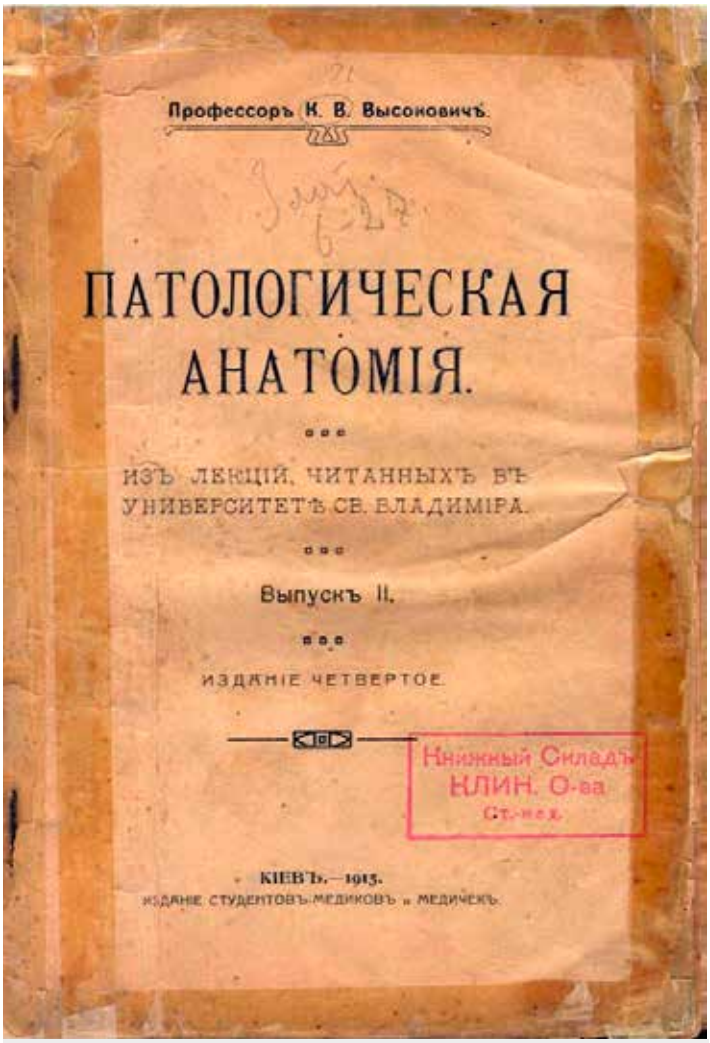
Ostatnie lata życia

Niestety stan zdrowia Antoniego Wysokowicza stopniowo stawał się coraz gorszy. W wieku 35 lat zachorował na gruźlicę płuc, która nigdy nie została całkowicie wyleczona, a w 1907 r. po zatruciu pokarmowym zaczęło się ciężkie zapalenie nerek, któremu towarzyszyły powikłania sercowe. Mimo to kontynuował pracę dydaktyczną, naukową i społeczną. W 1911 r. jednak zmuszony był wyjechać na leczenie do Niemiec, do Nauheim, a następnie do Egiptu, do Gelwan. Niestety leczenie nie pomogło. 2 maja 1912 r. ciężko chory wrócił do Kijowa i 13 maja zmarł. Został pochowany na cmentarzu Bajkowa (dzielnica rzymskokatolicka). Za jego trumną, jak wspominają współcześni, szła procesja złożona z 10 tys. ludzi. Na nagrobku obok niewielkiego zdjęcia był napis po polsku: „Ś.p. Włodzimierz Wysokowicz" i dalej po rosyjsku „Professor Władimir Konstyntinowicz Wysokowicz. Rod. 2 marta 1854 g. – 13 maja 1912 g. Od towariszczej, druziej i poczitatielej".

Po śmierci wybitnego uczonego odezwały się gazety warszawskie, m.in. „Polak Katolik" i „Kurier Warszawski". Na łamach tego ostatniego 1 czerwca odnotowano: „(...) zmarł w Kijowie profesor uniwersytetu tamtejszego ś. p. dr. Włodzimierz Wysokowicz, wybitny bakteriolog, człowiek wysokiej nauki i energiczny działacz społeczny, któremu między innymi Kijów zawdzięcza powstanie instytutu bakteriologicznego, oraz wiele instytucji użyteczności publicznej".

W Charkowie dla upamiętnienia działalności uczonego odbyło się posiedzenie Charkowskiego Towarzystwa Medycznego. Na nim wygłoszono szereg przemówień i wszyscy podkreślali fakt, że do końca życia Wysokowicz podtrzymywał kontakt z Towarzystwem. Jako podziękowanie za nieustanną jego pracę Towarzystwo Medyczne przekazało rodzinie 1000 rubli.

Po latach dla upamiętnienia wybitnego uczonego europejskiej skali w Ukrainie zostały umieszczone trzy tablice pamiątkowe: w rodzinnym mieście Hajsynie na budynku Szkoły Medycznej (1984, ul. Bohdana Chmelnyckogo 16), w Charkowie na gmachu Instytutu Mikrobiologii i Immunologii imienia Ilji Miecznikowa Narodowej Akademii Nauk Medycznych Ukrainy (2008, ul. Hryhorija Skoworody 14), w Kijowie na gmachu byłego Instytutu Patologiczno-Anatomicznego (2014, bulwar Szewczenki 17).



Okładka podręcznika prof .Wysokowicza .Źródło: Zbiory Narodowego Muzeum Medycyny Ukrainy w Kijowie

***

Antoni Włodzimierz Wysokowicz to wybitny uczony europejskiej skali, patolog, bakteriolog i epidemiolog, profesor uniwersytetów w Charkowie i Kijowie. Założone przez niego w Charkowie i Kijowie naukowe instytucje funkcjonują do naszych czasów. Był wielkim naukowcem, a jednocześnie człowiekiem zamiłowanym w swoim zawodzie, o wysoko rozwiniętym poczuciu obowiązku, empatycznym, miłosiernym do chorych. Jego życzliwość, chęć zawsze szczodrego dzielenia się z innymi swoimi osiągnięciami nadawały życiu uczonego wielkie znaczenie. Był Polakiem, którego zdolności i osiągnięcia naukowe w okresie zaborów rozwijały się poza obszarem Ojczyzny.

Prof. dr hab. Lubow Żwanko – kierowniczka Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach uchodźstwa I wojny światowej, historii Polonii Charkowa i Polaków na Ukrainie Wschodniej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Prof. dr hab. Dmytro Kibkało – profesor Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach chorób wewnętrznych zwierząt, biochemii klinicznej weterynaryjnej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomierski

Marcelina Smużewska

Ludoman na krańcu świata

W kilka lat po przybyciu na Sachalin Piłsudski rozpoczął szeroko zakrojony program badań etnograficznych .Zaczął od języka i obyczajów Giliaków .Spisywał ich wiersze i legendy .Pasja ta była zbieżna z oficjalną polityką zaborcy, który chciał pokazać światu, że interesuje się czy „dba" o ludy podbite .Bronisław Piłsudski był więc w pewnym sensie „użyteczny".

Pochodził ze starego, znaczącego, choć zubożałego rodu. W młodości zamieszany w próbę zamachu na cara, zapłacił 15 latami zesłania. Jego życie było pełne sprzeczności i niezrozumiałych decyzji. Na zesłaniu mieszkał wśród ludów tubylczych Sachalina. Próbował zainteresować nimi świat, ale ten pozostał obojętny. Po powrocie do ojczyzny nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Zginął w wodach Sekwany, a jego kości zostały we francuskiej ziemi. Po II wojnie światowej postać, o której się nie mówiło. Dziś próbuje się ją wydobyć z zapomnienia. Oto historia najstarszego z braci Piłsudskich – Bronisława.

Żmudzin, Polak, Litwin

Urodził się 21 października (czasem podawana jest data 2 listopada, co pewnie wynika z różnic między stosowanymi kalendarzami) 1866 roku w Zułowie. Ojcem był Józef Wincenty Piłsudski (1833-1902), a matką Maria z Billewiczów (1842-1884). Piłsudscy mieli liczne powiązania ze starymi rodami ze Żmudzi (m.in. z Butlerami, Oziembłowskimi, Gadonami). Bronisław, jako najstarszy syn, uznawany był za przyszłą głowę rodu i szykowany na dziedzica ziem, których głównym właścicielem była matka chłopca. Uposażanie kobiet w tamtym czasie było zabezpieczeniem przed konfiskatą majątku przez zaborcę. Ponieważ nie były one podmiotami prawnymi, osobami samodzielnymi nie można było ich karać odebraniem środków do życia z powodu np. wywrotowej aktywności krewnych. Małżeństwo Piłsudskich było więc poniekąd przymierzem strategicznym, gdzie znaczenie miał aspekt finansowy. Para była ze sobą spokrewniona. Józef był dla Marii ciotecznym wujem. Biskup (także członek rodziny) niechętnie, ale udzielił indultu.

Broniś miał dwie starsze siostry Helenę i Zofię i trzech młodszych braci: Józefa, (przyszłego Marszałka), Adama i Kazimierza oraz młodszą siostrę Marysię. Wszyscy byli urodzeni w majątku w Zułowie, który leży współcześnie na pograniczu Litwy i Białorusi. Folwark był jednym z większych w guberni wileńskiej. W 1875 roku doszło tam do katastrofalnego pożaru. Spłonęło niemal wszystko: świeżo zbudowany pałac, budynki gospodarcze, gorzelnia, liczny inwentarz (w majątku była hodowla koni rasowych, trzody chlewnej i ferma kur). Stało się tak dlatego, że wszyscy mężczyźni zajmowali się tego dnia transportem zakupionego kotła parowego. Nie było komu gasić ognia. Inna sprawa, że budynki znajdowały się dosyć blisko siebie, umiejscowione wokół stawu, więc ogień łatwo się przenosił. Z pożaru uratowano wszystkie dzieci Piłsudskich, ale majątku nigdy nie odbudowano. Nie był ubezpieczony, a rodzina nie miała tak znacznych środków finansowych, żeby zrobić to własnymi siłami. W efekcie pogorzelcy przenieśli się do Wilna. Do majątku wracali jedynie latem, gdzie zatrzymywali się w ocalałej części starych budynków. W mieście na świat przyszły kolejne dzieci państwa Piłsudskich: Ludwika, Kacper oraz bliźnięta Piotr i Antonina (zmarły w dzieciństwie).

W 1877 roku Bronisław Piłsudski rozpoczął naukę w gimnazjum. Mimo że brat Ziuk był młodszy, chodzili do jednej klasy. Broniś był odpowiedzialnym i wrażliwym młodym człowiekiem. Przykładał się do nauki, choć w karierze edukacyjnej przytrafiła mu się repeta, której się wstydził. Młodszy brat nie za bardzo się starał w szkole, ale mimo to sobie radził. Wraz z kolegami założyli samokształceniowe kółko o nazwie „Spójnia". Wymieniali się w nim zakazanymi przez zaborcę lekturami i dyskutowali o sprawach politycznych. Oprócz tego Broniś prowadził „przedsiębiorstwo transportowe". Ocalałe z pożaru konie były zaprzęgane do dorożek. W ten sposób najstarszy syn państwa Piłsudskich zdobywał gotówkę dla rodziny, której im chronicznie brakowało. Właściciele ziemscy w tamtym czasie często popadali w tarapaty finansowe. Mimo że ziemia stanowiła wartość samą w sobie, zyski z niej przychodziły rzadko, straty za to częściej. Żeby natomiast żyć w mieście, potrzebna była gotówka.

W 1884 roku spadła na rodzinę kolejna tragedia. Maria Piłsudska odeszła z tego świata. W *Dzienniku* naszego bohatera, który był pisany w latach 1882-1886, możemy znaleźć liczne uwagi o dolegliwościach ukochanej matki. Zaczęło się od tajemniczych bólów kończyny dolnej. Potem pojawiły się otwarte rany. Kobieta nie była poprawnie leczona. Uzależniono ją od chininy i morfiny. Niewykluczone, że zmarła na skutek przedawkowania przypadkowego lub celowego (jak sugeruje Witold Kowalski w swoim komentarzu do wspomnianych zapisków). Matka była dla Bronisława i Józefa bardzo ważną postacią, którą idealizowali i do której tęsknili. Do ojca odnosili się bardziej krytycznie, choć nie do końca wiadomo, czy słusznie.

Broniś był wrażliwy i uczuciowy, nieśmiały wobec dziewcząt. Męczyło go życiowe niezdecydowanie, które będzie z nim już na zawsze. Charakteryzował go słomiany zapał i zmienność nastrojów. Witold Kowalski wspomina także o różnych reakcjach somatycznych na problemy życiowe. Zachowania te mógł przejąć nieświadomie od rodziców, którzy w obliczu kry-



Bronisław Piłsudski

Źródło: Wikipedia

zysu najczęściej reagowali chorobą. Zamykali się w sobie, mając nadzieję, że problemy rozwiążą się same (W. Kowalski, *Posłowie* [w]: *Dziennik 1882-1886*, Arcana, Kraków 2021). Bronisław Piłsudski od najmłodszych lat identyfikował się jako Polak (potem przechodził różne tożsamościowe kryzysy), poglądy miał socjalistyczne i był zwolennikiem darwinizmu.

Zamachowiec

W 1886 roku Bronisław wyjechał na studia prawnicze do Petersburga i świadomie lub nie dał się wciągnąć w próbę zamachu na cara Aleksandra III. Warto tu się zatrzymać i dać parę słów wyjaśnienia. Głównymi pomysłodawcami byli Aleksander Iljicz Uljanow (starszy brat Lenina) i Józef Łukaszewicz. Obaj byli zdolnymi studentami nauk przyrodniczych na Uniwersytecie Petersburskim przekonanymi o własnej wyjątkowości i wielkości. Mieli zaledwie po 20 lat. Plan był taki, żeby w warunkach chałupniczych przygotować bombę i zdetonować ją w pobliżu cara. Rola Bronisława w zamachu była następująca: „załatwił" w Wilnie kwas solny dla Łukaszewicza (który był potrzebny do budowy bomby, choć ostatecznie nie został wykorzystany, gdyż miał za niskie stężenie), pośredniczył w przekazywaniu pieniędzy między Wilnem a Petersburgiem i udzielił noclegu w Wilnie Michałowi Kanczerowi, który współpracował z młodymi spiskowcami. Obciążyło go także to, że Uljanow napisał ulotkę, która miała być dystrybuowana po udanym zamachu. Bronisław przyznał przed sądem, że znał jej treść, a co więcej wydrukowano ją w jego mieszkaniu. Choć do zamachu nigdy nie doszło, bo w planowany dzień car nie wyjechał w ogóle z pałacu i nie było szans zbliżyć się do niego z ładunkiem wybuchowym, sam fakt spiskowania był dla władz rosyjskich wystarczająco obciążający, bu wyznaczyć wszystkim zamieszanym karę śmierci.

Studentów aresztowano, gdyż po nieudanej akcji zeszli się w jednej kawiarni. Podejrzane zgromadzenie od razu przyciągnęło uwagę policji. I tak zaczęły się aresztowania. Liczba skazanych zwiększyła się do 15, gdyż wspomniany Kanczer wymienił nazwiska osób, które spotkał w Wilnie. Na ławie oskarżonych zasiadł m.in. aptekarz, który sprzedał kwas solny i brat Bronisława – Józef Piłsudski. Kłopoty miała nawet ciotka Bronisia, która przenocowała spiskowca. Początkowe wyroki szubienicy dla wszystkich 15 spiskowców zamieniono na wieloletnie więzienia i zesłania. Życie straciło 5 niedoszłych terrorystów, w tym brat Lenina. Natomiast Łukaszewicz uniknął śmierci, choć dostał dożywocie. Bronisław Piłsudski został skazany na 15 lat katorgi na Sachalinie. Jego brat Józef dostał „administracyjnie" wyrok (czyli bez powoływania się na dowody). Było to 5 lat więzienia w twierdzy szlisselburskiej, która znajdowała się na wysepce w korycie rzeki Newa.

Katorżnik

Wyrok Bronisława był surowy. Rodzina starała się o jego złagodzenie, ale bezskutecznie. Ojciec pisał, gdzie mógł, próbował wręczać łapówki, lecz wszystko to było daremne. Podróż na miejsce zesłania trwała 2 miesiące. Statek więzienny płynął przez Morze Czarne, Śródziemne, Kanał Sueski, tropikalne morza Afryki i Azji. Wraz z Bronisławem na statku znajdowało się około 500 innych więźniów. Cały czas spędzili pod pokładem. „Politycznych" umieszczono razem, a więc Piłsudski znalazł się w towarzystwie zdrajcy Michała Kanczera. Ten wyprosił u niego wybaczenie i dyskrecję. Było to o tyle kontrowersyjne, że o ile sam młody Piłsudski mógł nie chować urazy za własną karę, to czy miał moralne prawo rozgrzeszyć wspomnianego Kanczera za całe zło, które spowodowały jego zeznania?

Na Sachalinie młody Polak nie był traktowany źle. Więzienie było zlokalizowane w miejscowości Rykowskoje. Nie trafił do najcięższej pracy przy karczowaniu lasu, jak większość „kryminalnych". Najpierw proponowano mu naukę stolarki, potem „prace biurowe", ze względu na chroniczny brak ludzi potrafiących pisać i czytać w języku rosyjskim. Po wyspie mógł się poruszać w miarę swobodnie. Był w pewnym sensie pozostawiony sam sobie. Za niewielką kwotę kupił nieco ziemi, na której uprawiał warzywa wraz z innymi więźniami politycznymi. W okolicy marca 1887 roku na Sachalin dotarła wieść o faktycznej roli Kanczera w sprawie nieudanego zamachu na cara. Tajny sąd koleżeński stworzony ze współwięźniów skazał go na śmierć przez samobójstwo. Kanczer wyrok ostatecznie wykonał jesienią 1891 roku, zwalniając tym samym Bronisława z powierzonej mu tajemnicy.

Mimo pewnych zalet, nie należy mieć wątpliwości co do natury zesłania. Młody Piłsudski znajdował się na „końcu świata", z dala od bliskich, zepchnięty na sam dół drabiny społecznej – gdzieś między ludami tubylczymi a „kryminalnymi" katorżnikami. Wszyscy mieli w zasadzie niemal niewolniczy status. Bronisław był do tego podwójnie zniewolony: jako więzień i jako Polak.

Będąc na zesłaniu, przyszły etnograf nie chciał pozostawać na utrzymaniu rodziny, której i bez tego było ciężko. Dlatego najpierw podjął się wspomnianych zajęć biurowych (choć miał rozterki moralne), potem zajął się nauczaniem dzieci urzędników. Stąd miał skromny i nieoficjalny dochód. Z czasem zainteresował się tubylczymi dziećmi tzw. Giliaków. Na Sachalinie istniały państwowe szkoły. W praktyce, rosyjskie nauczycielki chętnie pozbywały się obcych kulturowo tubylców i były zadowolone, że młody Piłsudski przejmuje nad nimi pieczę. On z kolei odgrywał rolę „dobrego wujaszka". Pozwalał giliackim dzieciom ze sobą mieszkać (dziś nie do pomyślenia). Uczył się od nich, a one od niego.

Jeden z badaczy życia Piłsudskiego skomentował tę sytuację w sposób następujący: „próbował być «demokratą» dla swych lewickich (chodzi o lewicowych, ale użyto tu prześmiewczej wersji – przyp. M.S.) współwięźniów, konserwatystą dla tradycjonalistów, kompetentnym współpracownikiem dla władz imperialnych, tulącym do łona przyjacielem dla uciśnionych tubylców, pozbawionym statusu (a przez to i przebicia, co czyniło go gołosłownym) rozjemcą starającym się pogodzić imperialne zakusy Rosji z potrzebami małych, całkiem bezbronnych wobec tych zakusów nacji. I tak na tych próbach uładzenia się ze wszystkimi tak się zaplątał, że już sam nie wiedział, kim jest i jakie nim kierują motywy, gdzie kończą się wzniosłe dogmaty a zaczynają się przyziemne żądze. Raz dzieci przyciągał, raz je odtrącał. Tak samo z kobietami. To samo nawet z ojczyzną. Takim bardzo dogłębnie zapętlonym człowiekiem zostanie Bronisław do końca swych dni" (Kowalski).

Etnograf

W kilka lat po przybyciu na Sachalin Piłsudski rozpoczął szeroko zakrojony program badań etnograficznych. Zainspirował go Lew Sternberg (1861-1927), który także przebywał na sachalińskim zesłaniu. Bronisław zaczął od języka i obyczajów Giliaków, którzy mieszkali głównie na południu wyspy. Spisywał ich wiersze i legendy. Pasja ta była zbieżna z oficjalną polityką zaborcy, który chciał pokazać światu, że interesuje się czy „dba" o ludy podbite. Bronisław Piłsudski był więc w pewnym sensie „użyteczny". W tym czasie poznał kobietę o imieniu Wunit, z którą (co nie jest potwierdzone ani wyznaniami samego Piłsudskiego, ani badaniami genetycznymi, ale informacjami od jej zstępnych) miał rzekomo dwójkę potomstwa. Za to potwierdzone jest w korespondencji, że kształcił brata Wunit – Indyna, którego zabrał aż do Władywostoku. Chłopiec niestety zmarł w wieku lat 18 i nie stał się nigdy pierwszym z „oświeconych" tubylców na Sachalinie.

Piłsudski w swoim *Curriculum Vitae* przygotowanym dla potencjalnych wydawców książek (które nigdy nie powstały) podzielił swój pobyt na Dalekim Wschodzie na kilka okresów. Lata 1887-1899 spędził na Sachalinie. Od marca 1899 do czerwca 1902 roku był we Władywostoku. Od czerwca 1902 roku do maja 1905 roku mieszkał ponownie na Sachalinie, choć dwa razy podróżował na północ Japonii. Drugie 6 miesięcy 1905 roku spędził w Kraju Nadmorskim w miastach Mikołajewsk, Modlińsk, Chabarowsk i Władywostok. Później przebywał w Japonii do sierpnia 1906 roku, by wreszcie wsiąść na statek do Ameryki, skąd przez Anglię, Francję i Austrię dotarł do Galicji.

Od lata 1902 roku Bronisław Piłsudski mieszkał na północy wyspy wśród plemienia zwanego Ajnami. Nie był już katorżnikiem, ale bardziej kimś w rodzaju rosyjskiego mieszczanina. Miał za sobą pracę jako kustosz muzeum we Władywostoku. Przygotował na wystawę w Paryżu kolekcję etnograficznych artefaktów, która została nagrodzona srebrnym medalem. Tubylcy nazywali go „rosukai niśpa", czyli „ruskie panisko". Dla nich Piłsudski był Rosjaninem, bo mówił w tym języku i zakładał szkoły, które tego języka uczyły. Był dla nich pomocny, bo mógł przydać się w relacjach z carską administracją. Miał też środki finansowe na swoje badania etnograficzne, które otrzymał od rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Nie był już więc – jak dla Giliaków parę lat wcześniej – „starszym bratem", „dobrym wujkiem" czy towarzyszem niedoli. Dla Ajnów był kimś wpływowym i ważnym. Dlatego też zainteresował się nim wódz plemienia Ajnów – Bahunke. Pozwolił mu mieszkać w swoim kotanie (wsi) Ai i oddał mu za żonę swoją bratanicę Chuhsammę. Urodziła ona Bronisławowi syna Sukezō (1903) i córkę Kyō (1905), co akurat jest potwierdzone w źródłach. W międzyczasie Bronisław sporo podróżował, odwiedzając Japonię i Kraj Nadmorski.

Wyjazdy na wyspę Yezo (później Hokkaido), których oficjalnym celem było lingwistyczne badania porównawcze, były wielce podejrzane dla władz japońskich. Czuć już było wtedy napięcie i zbliżającą się wojnę. Jej wybuch był jednocześnie końcem badań naukowych dla Bronisława Piłsudskiego. Wódz Ajnów postawił na współpracę z Japończykami. Rosyjskie szkoły przestały być potrzebne. Na Sachalinie nie było już dla „niśpy" miejsca. Piłsudski otrzymał zgodę na osiedlenie się w dowolnym miejscu w Cesarstwie, oprócz Moskwy i Petersburga. W tym czasie podejmuje jednak dziwną decyzję i udaje się do... Tokio.

Przez jakiś czas miał jeszcze listowny kontakt z jednym z Ajnów, który informował go o sytuacji „tubylczej" żony i dzieci. Do swojej sachalińskiej rodziny Piłsudski nigdy się jednak oficjalnie nie przyznał ani też do niej nie wrócił. Jest to fakt zawstydzający, który trudno wytłumaczyć ze współczesnej perspektywy. Szerzej zastanawiają się nad tym Jerzy Chociłowski i Witold Kowalski, do których odsyłam zainteresowanych tym wątkiem.

Jeden z biografów pisze o tym, że najbardziej prawdopodobnym zadaniem Bronisława w Japonii było uformowanie „legionu polskiego" z jeńców wojennych (Kowalski). Kontaktowali się z nim ludzie z PPS-u, w tym Wacław Sieroszewski (1858-1945). Z drugiej strony, Bronisław dowiedział się, że zanosi się na dużą wyprawę antropologiczną na północne obrzeża Pacyfiku, która byłaby kierowana przez cieszącego się dobrą sławą Franza Boasa. Piłsudski pisał nawet do uczonego w nadziei, że ten odkupi jego zbiory artefaktów ajnuskich, które w tamtym czasie były już odesłane do polskich krewnych. Do ekspedycji jednak nie doszło i Boas kolekcji nie kupił. Piłsudski postanowił więc ruszyć w dalszą drogę.

Dorobek Bronisława Piłsudskiego jako etnografa regionu sachalińskiego składa się ze słownika języka ainu, giliackiego, orockiego i mangunckiego. Są także bogate opisy kultury i obyczajów, podania i legendy. Polak nagrał też mowę i pieśni Ajnów na woskowe wałki fonograficzne. Zrobił około 300 fotografii. Oprócz nagrań dźwiękowych, posługiwał się też kamerą. To co przetrwało z kolekcji, znajduje się obecnie w Zbiorach Specjalnych Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie.

Romantyczny rozbitek

Podróż z Jokohamy do Zakopanego zajęła Bronisławowi 3 miesiące. Najpierw parostatkiem dopłynął do Kanady, przebył znaczną część Stanów Zjednoczonych, gdzie wsiadł na

statek do Wielkiej Brytanii. Potem już koleją dostał się do Galicji. Podróż odbywała się najprawdopodobniej za fundusze PPS-u, gdyż sam Bronisław raczej ich nie miał. Po 20 latach bracia Piłsudscy spotkali się po raz pierwszy w Poroninie, gdzie akurat rezydował przyszły Marszałek. Pod koniec 1906 roku przenieśli się do Krakowa, gdzie Bronisław rozpoczął starania o wydanie wyników swoich badań i być może dalszą ich kontynuację na łonie uniwersytetu. Był jednak w trudnej sytuacji, gdyż w konserwatywnym środowisku akademickim traktowano go jako socjalistę i wywrotowca. On sam nie chciał iść politycznymi śladami brata. Na przeszkodzie karierze naukowej stały także braki w formalnym wykształceniu etnografa.

Znaczna część 1907 roku minęła Bronisławowi na rekonwalescencji (nie wiadomo, czy od krakowskich niepowodzeń, czy autentycznych chorób). Z rzadka jedynie pisał artykuły popularnonaukowe do gazet i czasopism, w tym do periodyku „Lud". Zapewne utrzymywał go brat, bo innych dochodów nie miał. W tym czasie nawiązał kontakt z miłością z czasów młodzieńczych Marią Baniewicz. Była ona wtedy w separacji z mężem Janem Żarnowskim, mając mu za złe brak wsparcia dla kariery śpiewaczej. Żarnowski był ważnym urzędnikiem carskim w Petersburgu. Bronisław i Maria zamieszkali razem w Zakopanem, zachowując się i przedstawiając jako małżeństwo. Potem wyjechali na dalszą kurację do Karlsbadu, o czym dowiedział się mąż Marii i podesłał jej nastoletniego syna Janka. Pierwsze dni fascynacji zaczęły mijać i ukazała się prawdziwa natura kochanka. Marynia zwierzyła się własnej rodzinie, że Broniś jest w istocie człowiekiem niezdecydowanym i niezaradnym. Taka była okrutna prawda, gdyż większość ich wspólnego życia sponsorował nieświadomy sytuacji Jan Żarnowski.



Źródło: Wikipedia

Kółko samokształceniowe Spójnia w gimnazjum wileńskim .Drugi z lewej Bronisław Piłsudki, trzeci – Józef, 1885

Podczas romansu para mieszkała także we Lwowie, gdzie Maria uczyła się śpiewu, a Bronisław tradycyjnie już szukał pracy i próbował sprzedawać swoją kolekcję azjatycką. Około 1908 roku spadło na nich nieszczęście – choroba nowotworowa Marii. Z tego powodu przenieśli się do Paryża, by Maria miała lepsze szanse na wyleczenie. Piłsudski pracował tam jako dziennikarz-korespondent, lecz nie był w stanie zarobić na koszty leczenia kochanki. Zmęczona chorobą i brakiem środków Żarnowska wróciła do Petersburga, gdzie przejął nad nią opiekę porzucony wcześniej mąż. Maria Żarnowska z domu Baniewicz zmarła w 1911 roku w wieku zaledwie 42 lat (Jerzy Chochołowski, *Bronisława Piłsudskiego pojedynek z losem*, Iskry, Warszawa 1918).

Po rozstaniu z Marią Bronisław nie wrócił już do Lwowa, gdzie miał zapewne długi. Pomieszkiwał w Krakowie i w Zakopanem. W 1910 roku wraz z Wacławem Sieroszewskim i Stefanem Żeromskim pojechał do Londynu na wystawę światową, by porozmawiać ze specjalnie tam przywiezioną grupą Ajnów. Podobno porozumieli się bez problemów. W 1911 roku ukazał się w języku angielskim tom niewielkiej części materiałów zebranych na Sachalinie. Może byłoby ich więcej, ale jak to Bronisław miał w zwyczaju, stracił serce do projektu przed jego ukończeniem. Za to zapalił się do badań etnograficznych na Podhalu. Doprowadził nawet do utworzenia w ramach Towarzystwa Tatrzańskiego Sekcji Etnograficznej, której (a jakże!) został pierwszym prezesem. Rozpoczął zbieranie tekstów do „Rocznika Podhalańskiego". Prace przerwała jednak I wojna światowa. Bronisław jako poddany rosyjski został internowany przez władze austriackie w Zakopanem.



Ainu z Sachalinu .Fot .Bronisław Piłsudski, ok .1905

Źródło: Wikipedia

Emigrant

Choć Bronisław Piłsudski nie był uznawany za ważną osobę w społeczeństwie polskim, sam fakt pokrewieństwa z charyzmatycznym Józefem stanowił wystarczający powód, żeby go chronić. Bronisław nie mógł być więziony przez żadne władze, bo mogłoby to wpływać na decyzje przyszłego Marszałka. Dlatego też zdecydowano, że Bronisław ma opuścić Galicję. Trafił najpierw do Wiednia jako wysłannik Naczelnego Komitetu Narodowego. Miał być łącznikiem między bratem a Gabrielem Narutowiczem. Odwiedzał też Paryż, Brukselę i Zurych. Zaangażował się w projekt polskiej encyklopedii, która miała powstać jako dowód żywotności narodu pragnącego odzyskać niepodległość. Inicjatywę wspierali m.in. Sienkiewicz, Askenazy, Estreicher, Kucharzewski, Kallenbach, Rozwadowski. W tym samym czasie najstarszy z braci Piłsudskich wymyślił, że byłoby dobrze otoczyć specjalną opieką litewskie dzieci i dać im możliwość wyjazdu z ogarniętych wojną terenów. Do współpracy zaprosił hrabiego Andrzeja Platera, a potrzebne na ten cel środki wyprosił u Paderewskiego. Organizacja Bronisława otrzymała czek na 50 tys. franków. To jednak zdenerwowało środowisko polonijne w Szwajcarii i rozpętał się spór o wspomnianą dotację.

Od tego momentu coraz wyraźniej widać, że Bronisław Piłsudski stracił kontakt z rzeczywistością i umiejętność oceny sytuacji. W lipcu 1917 roku Józef został aresztowany przez Niemców. Polskie środowiska nie miały o nim wieści. W Lozannie zawiązał się Komitet Narodowy Polski z Romanem Dmowskim na czele. W jego skład wszedł Bronisław. O ile ze strony środowisk narodowych był to zrozumiały zabieg PR-owy, decyzję najstarszego Piłsudskiego trudno wyjaśnić. Czy chodziło o faktyczne przekonania, czy raczej przyziemną pensję i ciepły pokój? Trudno orzec.

Wiemy na pewno, że Bronisław Piłsudski jako pacyfista nie mógł mentalnie pogodzić się z wojną. Nie akceptował także sporów między rodakami na emigracji. Napisał w tej sprawie memoriał, który datowany jest na 3 maja 1918 roku. Potem poroznosił go wśród zaprzyjaźnionych Polaków w Paryżu. Jego wypowiedzi w kontaktach z ludźmi w tym czasie stawały się coraz mniej logiczne. 16 maja Władysław Zamoyski zorganizował mu wizytę u najsłynniejszego polskiego lekarza w stolicy Francji, dr. Józefa Babińskiego. Ten zdiagnozował u Bronisława „zaburzony stan układu nerwowego, stwardnienie żył, niezwykle wysokie ciśnienie krwi" (Kowalski 2021). 17 maja 1918 roku strażnik miejski zauważył na moście Pont des Arts postać, która skoczyła do Sekwany. Mimo natychmiastowych poszukiwań, ciało Bronisława Piłsudskiego odnalazło się dopiero 21 maja w okolicach innego paryskiego mostu. Identyfikacją zwłok zajęli się Władysław Zamoyski i Władysław Mickiewicz (syn wieszcza). Bronisław Piłsudski został pochowany na cmentarzu Les Champeaux w Montmorency.

Od połowy lat 90. XX wieku pojawiają się inicjatywy, które mają na celu przypomnienie postaci Bronisława Piłsudskiego. Wydawane są jego materiały etnograficzne i korespondencja, organizuje się wystawy. Stawia się pomniki i wieszane są tablice pamiątkowe. Jednak nadal jest to promil w porównaniu z upamiętnieniem postaci jego brata Józefa Piłsudskiego.

Paulina Szymalak-Bugajska

Silna i konsekwentna

Niechęć artystki do polskich uczelni wynikała zapewne z oceny jej malarstwa w oczach części polskiego społeczeństwa, a także niektórych twórców .Prace Boznańskiej, według opinii wielu, były zbyt nowoczesne i pozbawione anegdoty, a ich kolorystyka zbyt smutna i szara .

„Boznańska nie jest uczenicą Francuzów, tylko jest ich siostrą, nie jest jakąś ubogą krewną, ale pełnoprawną dziedziczką tego, co się w malarstwie działo od zarania wieków".

(J. Wolff, *Pankiewicz i Boznańska*, „Głos Plastyków", grudzień 1946)

Konstatacja Jerzego Wolffa, malarza, a zarazem krytyka sztuki, podkreśla nie tylko wartość Olgi Boznańskiej jako utalentowanej i pracowitej artystki, ale przede wszystkim wskazuje na oryginalność jej myśli twórczej i brak kompleksów wobec współczesnych malarzy francuskich.

Cofnijmy się jednak do drugiej połowy XIX wieku i do Krakowa, gdzie 15 kwietnia 1865 roku na świat przyszła Olga Helena Aleksandra Boznańska, jako pierwsze dziecko Adama Boznańskiego (inżyniera budowlanego i kolejowego) oraz Eugénii Mondant (rodowitej Francuzki, nauczycielki języka ojczystego). Trzy lata później urodziła się Izabela, drugie i zarazem ostatnie dziecko państwa Boznańskich. Olga, która dorastała w kochającym i troskliwym domu, dość szybko zaczęła przejawiać zainteresowanie sztukami plastycznymi. Pierwszymi nauczycielami dziewczyny zostali Józef Siedlecki oraz Kazimierz Pochwalski, zaś od 1884 roku przyszła malarka rozpoczęła naukę na Wyższych Kursach dla Kobiet im. Adriana Baranieckiego. W tzw. Baraneum pedagogami Boznańskiej w dziedzinie malarstwa byli Hipolit Lipiński i Antoni Piotrowski, a historię sztuki wykładali Marian Sokołowski i Konstanty Maria Górski. Następnym krokiem w edukacji był wyjazd do Monachium, który miał miejsce z początkiem 1886 roku (ewentualnie już jesienią 1885 roku). Początkowo Boznańska uczęszczała do pracowni Karla Kricheldorfa. Po dwóch latach zdecydowała się wynająć wspólną pracownię z niemiecką artystką Hedwig Weiss. Młodym malarkom lekcji udzielał akademicki profesor Wilhelm Dürr, który również przeprowadzał korekty ich prac. Niewątpliwy wpływ na doskonalenie warsztatu artystycznego miał również czas spędzany przez Boznańską w Starej Pinakotece i kopiowanie przez nią europejskich arcydzieł malarstwa. Jak powtarzała sama artystka, to właśnie Monachium ukształtowało ją artystycznie i to tu w 1889 roku otworzyła pierwszą własną pracownię przy Theresienstrasse. W stolicy Bawarii odwiedzała domy znakomitych polskich malarzy Józefa Brandta oraz Alfreda Wierusz-Kowalskiego, i tu też poznała swoją wielką miłość – Józefa Czajkowskiego, który był jej narzeczonym do 1900 roku.

Z okresem monachijskim wiążą się również pierwsze zawodowe sukcesy Boznańskiej. W 1893 roku namalowała *Portret Paula Nauena*, który stał się przełomowym dziełem w jej karierze artystycznej, pomagając zyskać aprobatę krytyków sztuki oraz publiczności. Portret był pierwszym dziełem Boznańskiej pozyskanym do polskich zbiorów, w 1896 r. został zakupiony do krakowskiego Muzeum Narodowego, zaś sama artystka była kilkukrotnie nagradzana za wizerunek Nauena, m.in. złotym medalem w Wiedniu. W 1894 powstało kolejne arcydzieło Boznańskiej, enigmatyczna i przesycona smutkiem wpisującym się w nastrój końca XIX wieku *Dziewczynka z chryzantemami*.

Cena niezależności

Od momentu debiutu w 1886 r. w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych oraz monachijskim Lokalaustellung Boznańska starała się pokazywać swoje prace jak najczęściej nie tylko w Monachium, ale i w Polsce. Po śmierci matki w listopadzie 1892 roku malarka nawiązała kontakt z francuskim kuzynem Danielem Mordant, działającym w Paryżu jako grafik. W tym czasie artystka również podróżowała po Europie, odwiedzając: Wiedeń, Berlin, Weimar, Paryż, Awinion, Genewę czy Mediolan.

W 1896 r. zadebiutowała na paryskim Salonie Société Nationale des Beaux-Arts na Polu Marsowym, a jesienią 1898 roku zamieszkała w Paryżu, w którym spędzi już resztę życia. Mieszkając w stolicy Francji, Boznańska nadal bierze aktywny udział w wystawach, stając się również członkinią artystycznych ugrupowań i stowarzyszeń, jak np. wspomnianego już Salonu Société Nationale des Beaux-Arts, londyńskiego Society of Sculp-



Olga Boznańska Źródło: Wikipedia

tors, Gravers and Painters, ale i rodzimego Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka". Wystawia swoje prace w towarzystwie artystów takich, jak m.in.: Édouard Vuillard, Pierre Bonnard, Claude Monet, Paul Gauguin, Henri de Toulouse-Lautrec, Vincent van Gogh, Camille Pissarro i Paul Cézanne. Miarą sukcesu jest również zakup przez francuski rząd trzech prac artystki, które dziś znajdują się w zbiorach Musée d'Orsay (m.in. *Portret panny Dygat*).

Doceniana przez krytyków sztuki, podziwiana na licznych wystawach, przeżywa najlepsze lata w Paryżu, które zakłóca wybuch Wielkiej Wojny. Zanim jednak wojenna zawierucha opanuje Europę, artystka przeżywa osobisty dramat, ponieważ w styczniu 1906 roku umiera ukochany ojciec, który od połowy 1904 roku znajdował się pod jej troskliwą opieką w Paryżu. Po śmierci ojca niewielka kamienica rodzinna, znajdująca się w Krakowie przy ulicy Wolskiej, staje się własnością Olgi oraz

jej młodszej siostry Izy. W późniejszych latach czynsze pochodzące z wynajmowanych pokoi w krakowskiej kamieniczce staną się nierzadko jedynym źródłem utrzymania dla cierpiącej biedę malarki.

Od 1907 roku Boznańska zajmuje w Paryżu pracownię przy Boulevard Montparnasse 49, w której co i rusz pojawiają się Polacy–emigranci bądź przedstawiciele artystycznej braci. Utrzymuje ożywione kontakty z Ludwikiem Pugetem, Marcinem Samlickim, Bolesławem Biegasem i wielu innymi twórcami.

Po rozstaniu z Czajkowskim serce artystki próbował zdobyć Franciszek Mączyński, który przez rok studiował architekturę i sztukę w paryskiej École des Beaux-Arts. Związek rozpadł się powodowany z jednej strony odległością Paryża od Krakowa, z którym związał swoje życie Mączyński, ale zapewne też decyzją Boznańskiej, dla której małżeństwo równało się rezygnacji z niezależności, a co za tym idzie rezygnacji z malarstwa. Pozostawała również kwestia Krakowa, na którego duszną atmosferę artystka narzekała od lat. W 1896 roku jej niechęć do rodzinnego miasta zaowocowała odrzuceniem propozycji Juliana Fałata objęcia katedry malarstwa dla kobiet w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych. Swoją decyzję argumentowała w liście do ojca, pisząc: „ja nie czuję i nie czułam się zobowiązaną poświęcać swego malarstwa i siebie samej dla kilku głupich, nadętych panien, które z braku innego zajęcia brałyby się na kilka miesięcy do sztuki. Na to jest mi mój zawód zanadto poważny" (cyt. za: H. Blum, *Olga Boznańska*, Warszawa 1974). Propozycja objęcia stanowiska profesorskiego ze stałą pensją i własną pracownią, z której Boznańska również nie skorzystała, została wystosowana także ze strony warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w 1914 roku. Niechęć artystki do polskich uczelni wynikała zapewne z oceny jej malarstwa w oczach części polskiego społeczeństwa, a także niektórych twórców. Prace Boznańskiej, według opinii wielu, były zbyt nowoczesne i pozbawione anegdoty, a ich kolorystyka zbyt smutna i szara. Nie dziwi zatem fakt, że artystka pracę pedagoga podejmowała wyłącznie poza granicami ojczyzny, dlatego w połowie lat 90. XIX stulecia zastępowała przez jakiś czas prof. Theodora Hummla w jego monachijskiej szkole, a w latach późniejszych prowadziła korekty w paryskiej Académie de la Grande Chaumière.

Oficjalnie doceniona

Z biegiem lat zmienia się jednak stosunek artystki do Krakowa. W 1912 roku na jej prośbę Mączyński wykonuje przebudowę pracowni w kamienicy na Wolskiej i odtąd malarka ma również swoje miejsce do pracy w rodzinnym mieście. Odwiedzając Kraków, widuje się z dawnymi przyjaciółmi, ale i nawiązuje nowe, serdeczne przyjaźnie. Szczególne relacje łączą ją z rodziną Pusłowskich, których odwiedza w krakowskiej willi przy Kolejowej 10 lub w pałacu w Czarkowych nad Nidą. Powstają portrety nestora rodu Zygmunta, a także jego synów: starszego Emanuela oraz młodszego Ksawerego.

Nadchodzi czas, gdy Boznańska wreszcie zostaje oficjalnie doceniona również w Krakowie, kiedy w 1913 roku obejmuje stanowisko prezeski Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka". Malarka już w 1908 roku otrzymała nagrodę im. Probusa Barczewskiego, którą komisja konkursowa przyznała jej ponownie w 1921 roku.

W odrodzonej Polsce Boznańska zostaje odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta (1924), otrzymuje nagrodę artystyczną m. st. Warszawy (1934), a dwa lata przed śmiercią Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski IV klasy (1938). W latach 30. rząd polski zdecydował również o zakupie kilku prac malarki do zbiorów państwowych.



Dziewczynka z chryzantemami, olej na tekturze, 1894 Źródło: Wikipedia

Artystka pokazuje swoje prace, m.in. w warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, gdzie zostaje uhonorowana najwyższym odznaczeniem w trakcie trwania wystawy *Portret polski* (1925), uczestniczy w słynnej Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu (1929). Nadal prezentuje swoje malarstwo za granicami kraju, zdobywając Grand Prix na wystawie światowej Sztuka i Technika w Paryżu (1937), czy mając indywidualny pokaz 27 prac podczas XXI Biennale w Wenecji (1938).

Zarazem sytuacja finansowa artystki nie jest najlepsza, a momentami wręcz tragiczna. Nigdy nie potrafiąca zarządzać pieniędzmi, z czego zdawali sobie sprawę jej najbliżsi (zarówno ojciec, jak i siostra), przez wiele lat wykorzystywana była przez wielu fałszywych „przyjaciół", znajomych, ale też prawdziwych biedaków korzystających z jej dobrego serca.

W 1934 roku popełniła samobójstwo jej młodsza siostra, zwana przez najbliższych Izią, co drastycznie odbiło się na stanie zdrowia artystki. Relacje sióstr były skomplikowane, czego nie ułatwiał trudny charakter młodszej z nich. Niestety, poza psychicznymi problemami, Iza pogrążona była również w nałogach. Po śmierci rodziców opieka nad nieprzewidywalną siostrą, mieszkającą również w Paryżu, spadła na Olgę. Panie, pomimo ogromnych różnic je dzielących i gwałtownych kłótni, były ze sobą mocno związane, co widoczne jest w zachowanej korespondencji do przyjaciół.

Ostatnie lata życia wielkiej malarki to ciągła walka z biedą, z której próbują ratować ją życzliwi jej Polacy, zarówno ci w kraju, jak i na emigracji. Powstaje komitet opieki nad artystką, a także Komitet Przyjaciół Olgi Boznańskiej (inspirowany przez Maję Berezowską).

Najwierniejszymi i ukochanymi towarzyszami artystki pozostają jednak zwierzęta, których dość spora grupa przewinęła się przez paryską pracownię, a były wśród nich: mały czarny ratler Boby la Beauté i późniejszy terier Oui-Oui, kanarki, świnka morska oraz myszki. Te małe gryzonie, które schodziły się do jej pracowni z całej kamienicy, były zresztą odpowiedzialne za uszkodzenia tekturowych podłoży wielu prac artystki.

Olga Boznańska umiera w wieku 75 lat, 26 października 1940 roku w paryskim Szpitalu Sióstr Miłosierdzia (Pitié). Pochowana została 5 dni później na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

Pod prąd

Malarstwo Olgi Boznańskiej ewoluowało przez lata. Początkowo twórczość artystki nosiła silne cechy realizmu monachijskiego. Kolejno w jej pracach zauważalne stały się wpływy hiszpańskiego mistrza Diego Velázqueza, Amerykanina Jamesa McNeill Whistlera, a także oddziaływanie sztuki japońskiej.

Artystka, korzystając z postimpresjonistycznej bazy, zaczęła odchodzić od budowania trójwymiarowości, w kierunku własnej, oryginalnej formuły malarskiej składającej się z płaskich, wibrujących plam barwnych. Określana często mianem „szarej" malarki, budowała swe prace najczęściej w oparciu o jedną tonację barwną, z którą zestrajała pozostałe, użyte w obrazie kolory.

Boznańska była przede wszystkim twórczynią portretów i martwych natur, dużo rzadziej malowała wnętrza oraz pejzaże. Zasłynęła jako autorka psychologicznych wizerunków postaci, których wygląd zewnętrzny był dla niej rzeczą wtórną. Stąd obiektywna, czasem okrutna szczerość wobec modeli, ukazująca ich fizjonomię bez upiększeń czy trików estetyzujących, nie zawsze spotykała się ze zrozumieniem u zamawiających swe portrety. W zamian jednak portretowany otrzymywał wizerunek sięgający głębi duszy i wydobywający jego psychikę. Szczególną uwagę Boznańska przykładała do charakterystyki twarzy i rąk, które potrafiły dużo powiedzieć o portretowanym. Redukcja trójwymiarowości bryły, postępująca dematerializacja postaci, i charakterystyczny dla Boznańskiej sposób kładzenia farby – drobnymi plamkami, bądź krótkimi pociągnięciami pędzla, składał się na końcowy efekt fantastycznych, wizyjnych portretów.

Do rangi legendy urosło wielogodzinne pozowanie modela w pracowni Boznańskiej, trwające nieraz przez wiele miesięcy, które dowcipnie podsumowała młodsza o całe pokolenie Zofia Stryjeńska, pisząc: „Malowała powoli, portret robiła wprost latami. Model się zestarzał, wyłysiał, schudł, musiał pozować, chciał czy nie chciał, chyba że umarł".

Wśród modeli, których nie zniechęciły metody pracy artystki, znaleźli się m.in.: Henryk Sienkiewicz, Gabriela Reval, Wanda Chełmońska (córka Józefa Chełmońskiego), Jadwiga z Sanguszków Sapieżyna, Łucja Dettloff, Feliks Manggha Jasieński, Artur Rubinstein (portret zaginiony) oraz wielu, wielu innych.

W opiniach wielu historyków sztuki również portrety dzieci, pędzla Boznańskiej, należą do majstersztyków w dziejach polskiego malarstwa. Zaskakuje w nich powaga, melancholia, a czasem smutek, widziany w twarzach małych modeli, którzy w portretach malarki wyzbyci są radosnej lekkomyślności typowej dla dziecięcego wieku.

Martwa natura stała się również jednym z ulubionych tematów malarskich Boznańskiej. W szczególności zwiędłe kwiaty, tracące swe żywe barwy, fascynowały artystkę, dla której przygaszona nieco kolorystyka stawała się malarskim wyzwaniem. Warto wspomnieć, że ulubionym podłożem malarskim artystki była tektura, której naturalną barwę ciepłego brązu, wykorzystywała bardzo często w powierzchni malarskiej swych prac.

Najmniej lubianym przez Olgę Boznańską gatunkiem malarskim był pejzaż, którego zasadniczą regułą trwania jest zmienność. Dlatego też portretowanie krajobrazu zdecydowanie kłóciło się z metodą pracy preferowaną przez malarkę. Podczas wieloletniej kariery artystycznej Boznańska jednak stworzyła przynajmniej kilkadziesiąt prac ukazujących miejskie kadry, widziane przeważnie z okien pracowni. Fragmenty pejzażu pojawiają się także nieraz jako dopełnienie portretu bądź sceny rodzajowej umiejscowionej na pierwszym planie w jej pracach.

Życie i twórczość Olgi Boznańskiej dowodzi, jak silna i konsekwentna w swych działaniach była ta drobna i delikatna fizycznie kobieta. Pełna sprzeczności w życiu osobistym, nieraz naiwna w ocenie innych ludzi, o romantycznej naturze i szlachetnym sercu, potrafiła iść pod prąd, kiedy chodziło o sztukę. Inteligentna i utalentowana, od początku pewna swojej drogi twórczej, systematycznie i pracowicie dążyła do celu, którym było życie poświęcone wyłącznie malarstwu. Wielokrotnie poddawana była powierzchownej ocenie, postrzegana przez ludzi płytkich jako samotna i biedna stara panna, ubrana w niemodne suknie, dokarmiająca rzesze myszek zaludniających jej paryską pracownię. Społeczne stereotypy nie są jednak w stanie zdeklasować artystycznej spuścizny, którą pozostawiła po sobie ta wielka malarka.

Myślę, że jedną z piękniejszych i prawdziwych refleksji na temat życia i twórczości Olgi Boznańskiej pozostawiła Maria Rostworowska, pisząc: „Czy można uznać za nieszczęśliwe, nieudane i nudne życie osoby, która od najwcześniejszych lat zrozumiała swoje posłannictwo, która potrafiła podporządkować mu wszystko, nie niszcząc przy tym nikogo, i która czerpała radość i siłę ze swojej twórczości aż do ostatnich miesięcy życia?" (M. Rostworowska, *Portret za mgłą. Opowieść o Oldze Boznańskiej*, Kraków 2003)

Paulina Szymalak-Bugajska, historyk sztuki, kustosz w Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, autorka książki-albumu „Boznańska. Zbliżenia" (Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2025)

W głąb tunelu



W kontekście funkcjonowania nauki dużo mówi się o czasopismach naukowych i ich nieuczciwych praktykach. Jako redaktor takiego czasopisma mogę tylko ze smutkiem potwierdzić, że jest źle, a znaczące pieniądze, które zwłaszcza duzi gracze mogą zarobić na tym rynku, powodują, że patologie mogą się niestety w przyszłości nawarstwiać. Różnego typu transgresje mogą jednak następować także po stronie autorów, a brak profesjonalizmu lub niedbalstwo recenzentów i redaktorów pogłębiają już istniejące problemy. Media (w tym branżowe) skupiają się na tych jawnie bezprawnych, jak działalność fabryk artykułów i handel autorstwem oraz generowanie całych prac za pomocą AI. Tymczasem – jak słusznie wskazuje w swojej książce Stuart Ritchie, doświadczony brytyjski badacz w obszarze psychologii – zjawiskiem trudniejszym do zwalczenia, gdyż całkowicie zdecentralizowanym, są nadużycia wynikające z ludzkich ograniczeń samych naukowców. Ograniczeń, które dzielimy z nimi wszyscy, a które często wynikają z prawa Goodharta: „Gdy dowolny wskaźnik zaczyna być traktowany jako cel, przestaje być dobrym wskaźnikiem". W tym przypadku wskaźniki te to przede wszystkim indeks Hirscha wśród badaczy i impact factor dla czasopism.

Autor nie ujawnia żadnej tajemnej wiedzy. Przyczyn nierzetelności w nauce upatruje przede wszystkim w presji na wyniki i zdobywanie coraz to nowych grantów, w niedbalstwie, uwikłaniu w relacje z mediami, a w najgorszym razie przeroście ambicji, nieumiejętności oparcia się pokusie sławy czy nadmiernym, emocjonalnym przywiązaniu do konkretnych koncepcji (szczególnie własnych). Wyraźna zła wola pojawia się tu najrzadziej – Ritchie omawia np. nadużycia, których dopuścili się południowokoreański biotechnolog Hwang Woo-suk czy niemiecki fizyk Jan Hendrik Schön, ale podkreśla, że to przypadki skrajne, które nie odzwierciedlają istoty problemu. Tym jego książka różni się od wielu innych publikacji, które często opisują barwne szczegóły słynnych skandali, ale raczej dla zaspokojenia ciekawości czytelników-laików niż odsłonięcia faktu, że pokusy zaszyte są niejako w samej konstrukcji systemu nauki. Ritchie poświęca sporo miejsca praktykom mniej oczywistym, które nie nadają się na nagłówki, a których zrozumienie nie powinno stanowić problemu dla wykształconego laika (zwłaszcza, że autor umie je wyjaśnić z rzadko spotykaną klarownością), takie jak tzw. p-hacking, czyli manipulowanie wartością p (p-value) w interpretowaniu i opisywaniu uzyskanych wyników.

Droga do publikacji artykułu w czasopiśmie naukowym niepokojąco przypomina czasem podróż w głąb ciemnego tunelu; gdy autor zabrnie dostatecznie głęboko, widzi już tylko majaczące w oddali wyjście (tj. ukazanie się pracy) i traci z oczu to, że udostępniony artykuł ktoś faktycznie może przeczytać (nawet jeśli będzie to narzędzie AI, ktoś będzie przecież zadawał mu prompty). Liczy się wyłącznie możliwość dopisania artykułu do naukowego CV, nawet jeśli sposób, w jaki opisano w nim badania, nie umożliwia ich replikacji. Nikt zresztą nie będzie ich nawet próbował powtórzyć, gdyż tego typu publikacje nie są mile widziane ani przez grantodawców, ani readakcje czasopism. Kryzys replikacji jest w środowisku naukowym odmieniany przez wszystkie przypadki, a jednocześnie systemowo pogłębiany; inicjatywy takie jak recenzja postpublikacyjna wydają się kroplą w morzu potrzeb. Stuart Richie proponuje szereg rozwiązań, które mogą wydawać się oczywiste, ale jeśli nie ma widoków na odgórną zmianę systemu, trzeba oddolnie wpływać na badaczy. Nie zmuszać, nie wdrażać sankcje, lecz wyrabiać przekonanie, że etos naukowca – to brzmi dumnie.

Marek Misiak

Stuart RITCHIE, ***Science fictions. Oszustwa, uprzedzenia, zaniedbania i szum informacyjny w nauce***, tłum .Fabian Tryl, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2024 .

Szansa na odnowienie refleksji



Ukazanie się przekładu dzieła Skinnera po blisko pięćdziesięciu latach od publikacji oryginału stanowi swoiste domknięcie epoki – oto wreszcie polski czytelnik otrzymuje w pełnej formie jedną z najważniejszych książek w historii badań nad myślą polityczną. Obecny przekład pozwala wreszcie odczytać *Foundations* w całej złożoności, jako projekt nie tylko historyczny, ale i teoretyczny.

Skinner rekonstruuje genezę kluczowych pojęć nowożytnej polityki: suwerenności, wolności, obywatelstwa i samorządu republikańskiego. Czyni to, wychodząc od późnośredniowiecznych sporów teologicznych i prawnych, a kończąc na kulturze włoskich republik miejskich XIII i XIV wieku. Nie skupia się na „klasykach" i „wielkich tekstach", lecz na językach politycznych – praktycznych formach wypowiedzi, w których idee były formułowane i używane. To zasadniczy rys jego metody, zgodny z założeniami szkoły z Cambridge: aby zrozumieć tekst, trzeba odtworzyć intencję autora w momencie wypowiedzi oraz kontekst, który umożliwił mu działanie za pomocą słów.

Pierwsza część *Foundations* poświęcona jest kulturze retorycznej przedhumanizmu włoskiego. Skinner pokazuje, że ideał wolności republikańskiej istniał na długo przed Machiavellim czy Brunim, już w praktyce pisarskiej i obywatelskiej Brunetta Latiniego, Giovanniego da Viterbo czy Albertina Mussato. M.in. w ich dziełach pojawia się obrona niezależności miast i cnota obywatelskiego samorządu. W tym sensie wolność ma wymiar nie metafizyczny, lecz instytucjonalno-polityczny: jest równoznaczna z brakiem dominacji i z udziałem obywateli w rządzeniu wspólnotą. To odkrycie pozwala Skinnerowi przesunąć punkt ciężkości historii myśli politycznej od Grecji ku Rzymowi. W jego ujęciu to Cyceron, Sallustiusz i Liwiusz, a nie Arystoteles czy Platon, stali się źródłem renesansowej ideologii republikańskiej. Argumentuje, że rzymska tradycja retoryczna stworzyła fundamenty dla późniejszej refleksji o cnotach obywatelskich i wspólnocie politycznej.

W dalszej części Skinner rozwija refleksję nad ideą suwerenności od Bartolusa z Sassoferrato po Jeana Bodina, ukazując jej ewolucję od pojęcia prawnego ku politycznemu. Łączy w ten sposób średniowieczną scholastykę z nowożytną teorią państwa. W jego interpretacji historia myśli nie jest więc zbiorem idei unoszących się ponad czasem, lecz procesem nieustannych przekształceń języków politycznych, w których aktorzy społeczni redefiniują swoje pojęcia, odpowiadając na konkretne problemy epoki.

Dla współczesnego czytelnika szczególnie interesujące mogą być rozdziały, w których Skinner interpretuje republikanizm jako alternatywę wobec liberalizmu i komunitaryzmu. W jego ujęciu tradycja republikańska rozwija własną koncepcję wolności negatywnej nie jako braku przymusu, lecz jako braku dominacji. Ta definicja pozwala odróżnić republikanizm od liberalizmu i daje mu autonomię teoretyczną, pozbawioną arystotelesowskich założeń teleologicznych.

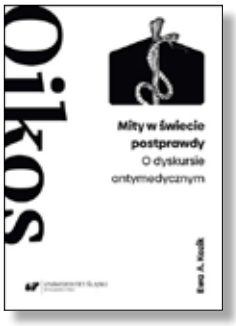
Polskie wydanie *Podstaw nowożytnej myśli politycznej* to nie tylko uzupełnienie luki w recepcji światowej humanistyki, ale także szansa na odnowienie refleksji nad metodologią historii idei w Polsce. W tradycji zapoczątkowanej przez Szackiego czy Swieżawskiego dzieło Skinnera może stać się punktem odniesienia dla badań nad renesansem i nowożytnością.

Podsumowując, książka Skinnera to pozycja fundamentalna, zarówno jako studium źródłowe, jak i manifest metodologiczny. Łączy w sobie historyczną precyzję z filozoficzną ambicją, a jej lektura uczy pokory wobec tekstów i języków przeszłości.

Rafał Wierzchosławski

Quentin SKINNER, ***Podstawy nowożytnej myśli politycznej. Tom I. Renesans***, tłum .Agnieszka Kuczkiewicz-Fraś, Renata Czekalska, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2024, seria: Biblioteka Myśli Politycznej .

Szlachetne zdrowie



Zdrowie jest jedną z najważniejszych wartości. Świadczą o tym życzenia, które przekazujemy zwyczajowo z okazji rozmaitych świąt. Potwierdzają to również badania socjologiczne, w których na pytanie o najważniejsze wartości zdrowie jest, obok rodziny, tą najczęściej wskazywaną. Jednocześnie mało jest rzeczy, które tak powszechnie denerwują Polaków, jak służba zdrowia. „Niewydolny system" stał się synonimem NFZ. Obserwowane jest powszechne niezadowolenie z funkcjonowania systemu opieki zdrowotnej w Polsce, brak zaufania do środowiska medycznego, a nawet niechęć wobec metod leczniczych stosowanych przez medycynę konwencjonalną. Z badań wynika, że nawet pacjenci, którzy generalnie ufają lekarzom, i tak po wizycie szukają informacji na temat leczenia swoich dolegliwości w internecie. Robi tak mniej więcej co trzeci z nas. Część znajdzie tam rzetelne dane i pogłębi swoją wiedzę, ale część trafi na bzdury, fachowo nazywane „dyskursem antymedycznym". Właśnie ten dyskurs wzięła na warsztat Ewa Kozik, etnolożka, autorka omawianej książki.

Obszerna część książki poświęcona jest analizie (po)nowoczesności, a więc świata, w jakim żyjemy, z takimi jego cechami, jak upadek autorytetów, ogólny brak zaufania, rozmycie się granicy pomiędzy naukowością a potocznością, poczucie braku stałości w otaczającej nas rzeczywistości. Jak pisze autorka, źródłem negowania nauki, demonizowania środowiska medycznego i farmaceutycznego oraz ulegania mitom z nimi związanym jest lęk. Współczesne mity mogą mianowicie stanowić „swoisty system obronny oraz ukorzeniający we współczesnym świecie, ulegającym (…) płynności oraz niosącym poczucie niepewności, dezorientacji i destabilizacji". Można to też interpretować jako wyraz buntu wobec tego stanu rzeczy i próbę odzyskania kontroli nad swoim zdrowiem i życiem, uważa Kozik.

Autorka pracując na bogatym materiale źródłowym, wyróżniła trzy funkcjonujące obecnie mity na temat medycyny i zdrowia. Są to: mit o możliwości samouzdrowienia; mit o tym, że lekarze chcą nam zaszkodzić; mit o tym, że medycyna konwencjonalna jest szkodliwa. Stosując netnografię, czyli obserwację i analizę tekstów pojawiających się w przestrzeni wirtualnej, badaczka przeanalizowała dyskurs antymedyczny, skupiając się nie tylko na obecnych tam treściach, ale również na emocjach z nimi związanych. W przeciwieństwie do nauki mity nie odwołują się bowiem do badań, nie dają się falsyfikować, odwołują się właśnie do emocji i najgłębszych przekonań, a zarazem są zawsze na podorędziu, nie trzeba ich szukać ani weryfikować. W tym sensie nauka zawsze będzie miała trudniej. Poza tym algorytmy śledzące naszą aktywność w internecie zamykają nas w tzw. bańkach. „Bańki informacyjne są unikatowe dla każdego użytkownika Internetu i transparentne, co znaczy, że nie zauważając ich działania każdy internauta poddaje się strumieniowi dedykowanych mu informacji, co ogranicza jego możliwości znalezienia treści niezgodnych z jego wcześniejszymi wyszukiwaniami, a co za tym idzie – nie ma on okazji skonfrontowania swoich poglądów z tym, czym interesują się inni użytkownicy". To również nie pomaga „przebijać się" rzetelnym informacjom.

Tym, co odróżnia mity od nauki, jest ich łatwa dostępność i przyswajalność, prosty język, kuszące formy. Być może nauka potrzebuje więcej popularyzacji, żeby być konkurencyjną w atrakcyjności i przystępności przykazu. Książka Ewy Kozik powinna być do tego asumptem.

Anna Jawor

Ewa A .KOZIK, ***Mity w świecie postprawdy. O dyskursie antymedycznym***, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice, seria: Oikos .

Entuzjastyczny polonista, czyli szkolny performer



Marek Pieniążek pracuje w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie i jest dyrektorem Centrum Badań nad Kulturą i Edukacją Regionalną. Wydał kilka autorskich tomików poetyckich oraz monografii poświęconych aktualnym zagadnieniom dydaktyki polonistycznej. We współczesnym świecie „masowej edukacji, mimo sztywnych regulacji systemowych i prób jej przyporządkowania mierzalności oraz wymiernym wskaźnikom zdawalności egzaminów" funkcjonuje dość pesymistyczny obraz polonisty jako mało efektywnego, standardowego reproduktora wiedzy, któremu system umożliwia dość prostą „mierzalność encyklopedycznie zdefiniowanych efektów kształcenia". Temu administracyjnemu światowi rutyny edukacyjnej, swoistej gry z przymusem szkolnego systemu edukacyjnego, przeciwstawia Pieniążek „lekcje nasycane indywidualnym uczniowskim poszukiwaniem, pytaniami, dyskusjami nad kształtem współczesności", które należy „systemowo i naukowo uprawomocnić, refleksyjnie dowartościować, wskazać, jak szczególne mają znaczenie, pokazać ich subtelną moc sprawczą". Kwestionuje bieżące i nieskuteczne systemowe regulacje administracyjne w zakresie edukacji polonistycznej, reprodukowanie dawnych edukacyjnych treści, próby ideologicznego sprostania przejściowym i doraźnym priorytetom władzy politycznej. Odważnie pisze, że „polonistyka na rozmaite sposoby deregulowana, wywołując w procesie wdrażania nowych ustaw napięcia, konflikty, poczucie uczestniczenia w nieczystej społecznej grze, w sferze obywatelskiej najsilniej uwidacznia się poprzez te właśnie cechy, obniżając przy tym rangę języka ojczystego". Postuluje autorskie wykorzystywanie w praktyce szkolnej narzędzi performatywnych, które wzbogacają transfer wiedzy oraz bardzo pozytywnie wpływają na osobowość uczących się. W takim ujęciu nauczyciel polonista staje się specyficznym performerem, który jest jednocześnie reżyserem i aktorem kulturowym w zakresie strategii nauczania odwołujących się do szeroko rozumianych kompetencji twórczych.

Pieniążek zaraża swoim entuzjazmem, zwracając uwagę na różnorodne możliwości i potencjał dyskursu edukacyjnego oraz kształcenia polonistycznego. Stawia na aktywny udział polonisty w otoczeniu szkolnym i społecznym, otwieranie młodych ludzi na rozumienie świata, tworzenie społecznej i edukacyjnej wspólnoty uczących i nauczanych. Proponuje twórcze praktykowanie edukacji polonistycznej (i szerzej, humanistycznej, w jej modelu nowej humanistyki zaangażowanej), nie przypisanej jedynie do wąsko rozumianego literaturoznawstwa, historii literatury czy językoznawstwa. Proces dydaktyczny ma być atrakcyjny dla ucznia, wspierający jego rozwój, dynamiczny, pulsujący i zmienny. Ma uczyć kompetencji wielokulturowych, nowatorskiego i adaptacyjnego myślenia, interdyscyplinarności, myślenia projektowego, zarządzania nadmiarem informacji. Polonistyka szkolna wymaga więc, jego zdaniem, specjalistycznej przebudowy. „Jego" polonistyka, zorientowana społecznie i technologicznie, może zajmować centralną pozycję w systemie edukacyjnym. Z entuzjazmem pisze o doniosłości polonistycznych zobowiązań we współczesnym świecie.

Podobnie jak Pieniążek uważam, że polonistyka jest ważną formą nauki o współczesnym (oczywiście także przeszłym i przyszłym) świecie. Ma być otwarta, refleksyjna, sprawcza, i kreatywna, wreszcie dialogująca z potrzebami społecznymi. Czy jest to wyłącznie model idealistyczny i utopijny? Głęboko wierzę, że nie. I nie chciałbym, jako polonista, się mylić.

Dariusz Rott

Marek PIENIĄŻEK, ***Polonistyczna sprawczość***, Wydawnictwo Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, Kraków 2025 .

Nieznośny ciężar męskości?



Monografia Przemysława Góreckiego porusza zagadnienie istotne w czasach współczesnych, a jednocześnie ze względu na swoje ideologiczne zabarwienie dosyć drażliwe, dyskusyjne, a może nawet kontrowersyjne. Jak pisze autor: „Kluczem, którego używam w selekcji materiału literackiego, jest taki przekaz literatury, który można uznać za wpisujący się w prąd szeroko rozumianych przemian obyczajowych zachodzących w Polsce okresu transformacji ustrojowej oraz członkostwa w Unii Europejskiej. Byłby to zatem stopniowy postęp obyczajowy i zmiany wiążące się między innymi ze zniesieniem cenzury instytucjonalnej i adaptowaniem do napływających z Zachodu systemów wartości i światopoglądów". Jacy autorzy powinni się zatem pojawić według zastosowanego klucza literacko-socjologicznego? Są to m.in.: Manuela Gretkowska, Olga Tokarczuk, Inga Iwasiów, Izabela Filipiak, Grażyna Jagielska, Wojciech Kuczok i inni.

Czym jest męskość, jak ją zdefiniować, jakich literaturoznawczych i socjologicznych narzędzi użyć, żeby powstała formuła jednoznaczna, ale i obiektywna, sprawiedliwa? Z subiektywnie rzecz jasna wybranych przykładów książek wyłania się obraz męskości dalekiej od ideału, będącej niemal obelgą, toksycznej, opartej na przemocy, brutalnej, prostackiej. Mężczyzna bywa postrzegany jako hegemon zarówno w relacjach ojciec-dziecko, jak i w sferze damsko-męskiej. Nie sposób oczywiście zaprzeczyć oczywistym faktom, że przez stulecia żyliśmy w kulturze patriarchalnej, wielokrotnie odmawiającej kobietom rzeczy podstawowych, jak choćby prawa do głosowania czy wykształcenia, co zresztą nadal niestety w wielu krajach jest normą motywowaną względami kulturowymi, religijnymi etc. Wydaje mi się jednak, że panujący przez stulecia status quo związany z sytuacją kobiet uległ znaczącej zmianie, przynajmniej w Europie i kręgu kulturowym, z którego się wywodzimy. Nie można nie zauważyć, że w ciągu ostatnich dekad proces feminizacji życia społecznego stał się faktem. Nikt chyba dzisiaj nawet nie podjąłby rozmowy ze zwolennikiem tezy o jakiejkolwiek „gorszości" kobiet od mężczyzn.

Analizowany temat nie mógłby się obyć bez takiego aspektu męskości, jakim jest homoseksualizm, o czym autor opowiada chociażby na przykładzie *Lubiewa* Michała Witkowskiego. To zresztą ciekawa książka, którą starano się zaszufladkować jako tzw. literaturę gejowską, cokolwiek to znaczy. Badacz podejmuje również tematykę kryzysu męskości, wieku średniego i starzenia się mężczyzny, choć ów kryzys po części może być „wypracowanym" przez popkulturę i niekoniecznie prawdziwym obrazem mężczyzny kupującego sportowy samochód i szukającego młodszej partnerki.

Książka stanowi kopalnię wiedzy odnośnie queer, gender studies etc. Nie musimy podzielać poglądów autora, ale nie sposób odmówić mu sprawności językowej i naukowej rzetelności, chociażby pod postacią licznych komentarzy, przypisów i bogatej bibliografii, która bez wątpienia może stanowić istotny punkt odniesienia dla innych badaczy, a poza tym ma walor zwyczajnie edukacyjny. Możemy nie zgadzać się z końcowym zdaniem książki, w którym padają słowa: „Wierzę, że czytanie jest przywilejem, dzięki któremu możemy pracować nad uwalnianiem się od ciężaru męskości", gdyż pobrzmiewa w nim chyba zbytni ciężar ideologiczny, ale cała monografia to zwarty i solidnie udokumentowany konstrukt.

Archetyp mężczyzny, który jest lepszy jedynie z uwagi na swą płeć, odszedł (miejmy nadzieję) w cywilizowanych społeczeństwach już do przeszłości. Najistotniejsze to zachować zdrowy obiektywizm zarówno w życiu codziennym, jak i analizach naukowych, bo prawdziwa męskość opiera się nie tylko na odwadze, ale i na tolerancji, co jest warunkiem sine qua non każdej relacji, osobistej i społecznej.

Jacek Hnidiuk

Przemysław GÓRECKI, ***Kruche jest piękne. Męskości w polskiej prozie emancypacyjnej po 1989 roku***, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2024, seria: Monografie FNP.

Katharsis dzisiaj?



Uniwersytet Śląski wydał monografię dotyczącą kwestii terapeutycznych. Jest to metodyczne i praktyczne nakreślenie pedagogicznych możliwości i pozytywnych skutków, jakie przynosi dorosłym pacjentom zaangażowanie teatralne. Sam teatr uzyskał przymiotnik egzystencjalny od niepełnosprawności, z którą zmagają się jego aktorzy, osoby z niedomaganiami fizycznymi i psychicznymi.

Pierwszą część książki stanowi wprowadzenie objaśniające teoretyczne i metodologiczne aspekty projektu zaangażowania niepełnosprawnych egzystencjalnie w przygotowanie spektaklu, próby, a w końcu samo przedstawienie. Zarysowana zostaje koncepcja badań z zakresu pedagogiki, andragogiki i teatrologii. Zaprezentowani zostają także rozmówcy biorący udział w badaniach i materiał performatywny, czyli teatralne spektakle, w których wystąpili. Dwie pozostałe części książki to analiza treści przedstawień i wypowiedzi aktorów, ich wzajemnych relacji, wpływu na poczucie tożsamości ich sytuacji egzystencjalnej, zmiany widzenia świata, sposobu myślenia i relacyjności. Zakończenie stanowi próba odpowiedzi na wymienione wyżej kwestie badawcze i refleksja dotycząca praktyk teatralnych w przestrzeni działań edukacyjnych.

Poza ściśle naukową warstwą monografii jest czysto ludzka, ta świadcząca o doświadczeniu zmagania się i niesienia niepełnosprawności. Aktorzy opowiedzieli o swoim życiu, przeżywaniu cierpienia i uzdrowieńczych relacjach. Badaczka podjęła się próby usystematyzowania tych wypowiedzi. Powstał swoisty kwestionariusz będący metodologiczną podpowiedzią dla podobnych analiz w przyszłości. Problemy szczegółowe niepełnosprawnych aktorów skupiają się wokół nienadążania za zmianami społeczno-kulturowymi i rozmijania się z zewnętrznymi wymaganiami/oczekiwaniami. Dochodzą do tego poczucie rzeczywistości, która zmienia się w coraz bardziej obcą, a także wewnętrzne, osobiste kryzysy. Teatr wówczas staje się dla takich osób wsparciem w przepracowywaniu kryzysów, pogłębieniem rozwoju osobistego prowadzącym nawet do rearanżacji tożsamości, miejscem spotkania i samorealizacji „osób pozbawionych głosu", w końcu inkluzją osób doświadczających marginalizacji w społeczności lokalnej.

Aktorzy, bohaterowie monografii, grają w Teatrze Przebudzeni w Ostródzie, w Teatrze Biuro Rzeczy Osobistych w Gdyni, w Teatroterapii Lubelskiej, w Teatrze Ubogi Relacji w Sopocie i Teatrze Zgoda w Warszawie.

Ciekawymi narratorami monografii są reżyserzy spektakli. Zdarza się, że z reżyserią związani zawodowo, ale w przeważającej mierze raczej z terapią zajęciową, pedagogiką specjalną, psychoterapią, psychodramą, animacją kultury. Autorka stosując poniekąd metodę Stanisławskiego, trzykrotnie przeprowadza z nimi wywiady narracyjne, usiłując dotrzeć do kolejnych warstw uczuć, emocji, wpływu tej pracy na osobistą egzystencję, ale i na postrzeganie samej istoty teatru. Wygląda na to, że się udało. Wyzwania reżyserskie są wielkie. Jedna z reżyserek mówi: „W Polsce jest dużo grup teatralnych. Powstają przez naśladownictwo, powstają z racji awansu zawodowego nauczycieli(…) Są teatry z tradycją, ale też z utrwalonymi błędami, z racji braku rozwoju instruktora prowadzącego czy jego specyficznej estetyki oraz infantylnego traktowana osoby upośledzonej umysłowo". Inna dodaje: „trzeba naprawdę bardzo uważać, żeby nie zrobić z nich pośmiewiska".

Być może odwieczna idea teatru, którą odkryli Grecy, jest nadal dostępna. Być może nie chodzi o spędzenie/zabicie czasu spektaklem i nie idzie o humanitarne pobudki, dla których widzowie przyjdą na przedstawienie wystawione przez maluczkich. Może katharsis da się jeszcze przeżyć?

Bogdan Bernat

Katarzyna MALISZEWSKA, ***Teatr egzystencjalny w perspektywie biograficznej. Konteksty pedagogiczno-andragogiczne***, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2024, seria: Nowa Edukacja.



Rys. Sławomir Makal

Krzysztof Goczyła

Pułapki frazeologii

Pułapka nr 1: Dosiego roku (?)

Poprawna pisownia tych tradycyjnych świątecznych życzeń to „Do siego roku!". W staropolszczyźnie funkcjonował zaimek „si" oznaczający „ten, tamten, ów". Do siego roku życzono sobie przy stole wigilijnym z intencją dotrwania w zdrowiu do nadejścia nowego roku. Teraz te życzenia znaczą to samo co życzenia szczęśliwego nowego roku i składamy je najczęściej na przełomie lat. Problemy ortograficzne z tym wyrażeniem niewątpliwie biorą się z przymiotnikowego brzmienia owego „do siego", choć nie za bardzo kojarzymy, co owo dosi miałoby znaczyć. Z okresem noworocznym kojarzy mi się też inne ciekawe zjawisko ortograficzne. „Szczęśliwego Nowego Roku!" – tak wyglądają popularne życzenia noworoczne. Z punktu widzenia ortografii wyglądają dość dziwnie, bo Nowy Rok pisany wielkimi literami to święto obchodzone tylko jednego dnia, 1 stycznia. Jednak nikt nie napisze „Szczęśliwego nowego roku!" – nowy rok jest tak dla nas ważny, tyle niesie nadziei na lepsze, że pisownia małymi literami nie przystoi. Jeszcze się na nas obrazi i nie spełni naszych oczekiwań.

Pułapka nr 2: Wszem i wobec (?)

Pełna pierwotna wersja tego wyrażenia to „Wszem w obec i każdemu z osobna". Występujące tu nieistniejące dziś słowo „obec" oznaczało ogół zebranych, ogół obecnych. Z czasem to słowo jako twór samodzielny zanikło i połączyło się z „w" tworząc owo „wobec", znaczące tyle co obecne „w ogóle". Trudno dociec, dlaczego pojawiło się w środku to „i". Być może konfuzję w narodzie powoduje to, że „wobec" jest w aktualnej polszczyźnie przyimkiem, co jednak czyni tę frazę z „i" jeszcze bardziej nielogiczną. Podsumowując: „wszem wobec" to tyle co „wszystkim w ogóle", a tę resztę: „i każdemu z osobna" pozostawiamy w domyśle.

Pułapka nr 3: Między Bogiem a prawdą (?)

Cóż takiego może znajdować się między Bogiem a prawdą? Prawidłowa forma tego wyrażenia to „Bogiem a prawdą". Niewątpliwie nieporozumienie powoduje tu spójnik „a", który niejako domaga się owego „między". Otóż jeszcze niedawno, nawet w połowie XX wieku, szczególnie z ust osób starszej daty, słyszało się zwroty typu „Przynieś masła a sera", w których „a" znaczyło to samo co „i". I tak to należy rozumieć w poprawnej formie: „Bogiem a prawdą".

Pułapka nr 4: I to by było na tyle (?)

Jest to żart językowy spopularyzowany przez satyryka Jana Tadeusza Stanisławskiego w jego felietonach, w których dworował sobie w bardzo inteligentny sposób z ówczesnej peerelowskiej rzeczywistości. Z punktu widzenia językowego jest to kontaminacja, czyli skrzyżowanie dwóch form poprawnych w jedną formę niepoprawną lub, jak w tym przypadku, żartobliwą. Te dwie językowo poprawne, choć bardzo kolokwialne formy, to na przykład „To tyle na dziś" i „To by było wszystko". Na marginesie – klasycznym wręcz przykładem kontaminacji jest często słyszane, bardzo rażące „przekonywujący", będące skrzyżowaniem słów „przekonujący" i „przekonywający". Stanisławski był tak przekonujący, że jego wynalazek językowy zagościł na dobre w językowym arsenale Polaków. Moim studentom zdecydowanie odradzam cytowanie tego zdania jako wieńczącego ich prezentacje, z różnym skutkiem zresztą, jak to ze studentami bywa.

Bogiem a prawdą, w tym felietonie, poza – mam nadzieję przekonywającym – uczuleniem Szanownych Czytelników na niektóre popularne pułapki frazeologiczne, składam wszem wobec tradycyjne świąteczne życzenia „Do siego roku!". I to tyle na dziś.

krissun@pg.edu.pl

Nie żyje prof. Jan Szmidt



Zmarł prof. Jan Szmidt, były rektor Politechniki Warszawskiej (2012–2020). Wcześniej (2002–2005) był prodziekanem, a następnie dziekanem Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych (2008–2012). W 2016 roku został przewodniczącym, a cztery lata później honorowym przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

Prof. Jan Schmidt był absolwentem Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych PW. Na tej samej uczelni uzyskał stopień doktora i doktora habilitowanego. W 2005 roku otrzymał tytuł profesora nauk technicznych. Jego badania naukowe koncentrowały się na mikroelektronice i technologii cienkich warstw, w tym warstw diamentopodobnych wytwarzanych metodami plazmowymi na potrzeby mikroelektroniki. Miał znaczący udział w tworzeniu polskiej szkoły naukowej w zakresie rozwoju technik plazmowych na potrzeby wytwarzania cienkich warstw dielektrycznych i półprzewodnikowych.

Był związany z Instytutem Mikroelektroniki i Optoelektroniki PW. Z jego inicjatywy nanotechnologia została wprowadzona do programu kształcenia Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych PW. Przyczynił się do powstania Studenckiego Koła Naukowego Mikroelektroniki i Nanoelektroniki.

Prof. Jan Szmidt został uznany za prostudencki autorytet w plebiscycie Pro Juvenes Parlamentu Studentów RP. Otrzymał też tytuł doktora honoris causa Politechniki Kijowskiej. Był członkiem Rady Patronackiej „Forum Akademickiego", a przez wiele lat po prostu przyjacielem redakcji. Zawsze odbierał telefon, gdy do niego dzwoniliśmy.

Redakcja

Zmarł prof. Wojciech Przetakiewicz

Jeśli ludzie są sobie niepotrzebni na co dzień, to tym bardziej od święta.

(W. Przetakiewicz)



W grudniu 2025 roku zmarł prof. Wojciech Przetakiewicz – wybitny naukowiec, nauczyciel akademicki i organizator nauki, a przede wszystkim wspaniały kolega i mentor. Przez wiele lat był związany z Wojskową Akademią Techniczną, Akademią Morską w Szczecinie oraz Instytutem Transportu Samochodowego w Warszawie. Był wieloletnim autorem „Forum Akademickiego", opublikował 6 artykułów poświęconych problematyce rzetelności akademickiej. Udzielił też FA wywiadu dotyczącego słabości postępowań awansowych.

Prof. dr hab. inż. Wojciech Przetakiewicz, pułkownik w stanie spoczynku, związał życie zawodowe i naukowe z wojskowością oraz inżynierią. Brał udział w kilkudziesięciu projektach badawczych, był autorem 9 książek, 168 prac naukowych oraz ponad 100 referatów konferencyjnych. Od 1971 roku pełnił funkcję rzeczoznawcy SIMP w zakresie metaloznawstwa i obróbki cieplnej.

Studia na WAT ukończył w 1973 roku, uzyskując tytuł magistra inżyniera. W 1980 roku obronił doktorat z inżynierii materiałowej, a w 1986 roku habilitował się na podstawie monografii o zjawisku zgniotu krytycznego w metalach. W 1993 roku otrzymał tytuł profesora nauk technicznych. Odbył staże naukowe we Francji i Kanadzie, które wzmocniły jego pozycję w środowisku międzynarodowym.

Karierę rozpoczął w Wojsku Polskim (1973–1976), a od 1976 roku pracował w WAT, przechodząc kolejne szczeble – od starszego asystenta, przez adiunkta i docenta, po profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego. Równolegle działał w AM w Szczecinie (od 1998 roku) i w ITS w Warszawie (2007–2015). Prowadził badania nad zagadnieniami o dużym znaczeniu praktycznym, w tym dla obronności państwa. Badał zmiany mikrostruktury metali i kompozytów pod wpływem obróbki plastycznej i cieplnej, zjawisko nadplastyczności, przemiany fazowe w stopach specjalnych, technologie obróbki powierzchniowej metali, właściwości tribologiczne kompozytów ceramicznych, spieków ciężkich oraz odporność materiałów wielofazowych na erozję kawitacyjną.

W latach 2000–2019 był członkiem Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów; należał do Rady Nauki przy MNiSW. Był prodziekanem, dziekanem i prorektorem WAT, a w Akademii Morskiej pełnił funkcję pełnomocnika rektora ds. nauki.

Pozostaje w pamięci jako człowiek skromny, spokojny, życzliwy i niezwykle pracowity. Wybitny uczony, oddany nauczyciel i prawdziwy mistrz, którego wiedza, postawa i dobroć na zawsze zapiszą się w historii polskiej nauki. Profesorze, Wojtku – dziękuję, że mogłem Cię poznać, uczyć się od Ciebie i być Twoim kolegą.

Leszek Chybowski







Akademickie Mistrzostwa Europy w sportach zimowych

15–18 grudnia 2025 r.
Val di Zoldo, Włochy

Fot. EUSA







